



Gdy choruje nasza psychika

Jak postrzega się świat w trakcie choroby?
Co pomaga przetrwać kryzys psychiczny?
W jaki sposób możemy się wspierać? — s. 4–35

Koniec obrzezania kobiet.
Kolejny etap walk
o równouprawnienie w Afryce — s. 36

Walter Benjamin.
Filozof zafascynowany
Goethem i Myszką Miki — s. 66

Państwo podziemne.
Łukasz Najder o kulturze
wykluczonych — s. 88

Ilustracja: Małgorzata Sieradzka

ISSN 0044-488X

INDEX 38376

9 770044 488201

Nr

784

CENA 22,99 zł (w tym 9% podatku) WYDANIE 14 (2020)

WRZESIEŃ (09) 2020

MISTRZ REPORTAŻU

O ŚWIECIE,
KTÓRY ZNÓW PŁONIE

Premiera: 30.09.2020 r.

Wojciech Jagielski opowiada o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Punkty zapalne XXI wieku, bunty i światowe skandale składają się na barwny obraz najnowszej rzeczywistości.

Strona świata to zbiór najaktualniejszych i najciekawszych tekstów Wojciecha Jagielskiego z ostatnich lat publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Zaktualizowane, ukazują świat, który znów stanął w płomieniach.

Barwna i wciągająca opowieść o Bliskim Wschodzie, Afryce, Indiach i krajach Kaukazu; opowieść o miejscowych władcach i przewrotach wywierających wpływ na cały świat; opowieść o skandalach i konfliktach, o których dopiero będzie głośno... **Mistrz reportażu o świecie, który znów płonie.**



znak



Dominika Kozłowska

Kiedy państwo nie chroni przed przemocą

ATMOSFERA OSTATNICH MIESIĘCY Z PEWNOŚCIĄ NIE wpływa pozytywnie na nasz dobrostan. Już sama pandemia jest wystarczająco silnym czynnikiem destabilizującym codzienne życie. Konflikty społeczne podsycane przez rządzących, hejt i mowa nienawiści, brak kultury szacunku i debaty – wszystko to sprawia, że pogłębia się nasze poczucie niepewności i wzrasta poziom lęku.

Warto jednak patrzeć na tę niepokojącą sytuację także w pozytywny sposób: dostrzegać możliwość obywatelskiego sprawstwa oraz coraz bardziej świadome podejście do zagadnienia zdrowia, w tym również psychicznego.

Nie tylko Temat Miesiąca, w którym piszemy o zdrowiu psychicznym, ale też cykl „Drugi plan” jest znakomitym komentarzem i pogłębioną diagnozą naszej społecznej i politycznej rzeczywistości. Ogromnie poruszył mnie esej Anny Matei, który poświęciła niezwykle Lidii Olejnik, byłej dyrektor Zakładu Karnego dla Kobiet w Lublińcu. Lidia Olejnik przez wiele lat pracowała z kobietami osadzonymi m.in. za zabicie męża lub partnera. Najczęściej morderczyni były ofiarami, przez lata bitymi, gwałconymi lub w inny sposób dręczonymi. Ich historie pokazują, jak ogromne są skutki zaniedbań ze strony państwa w przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie.

W Temacie Miesiąca i w cyklu „Drugi plan” przemawiamy głosem kobiet, ale podkreślić trzeba, że żadna z tych kwestii: ani przemoc domowa, ani zdrowie psychiczne, nie dotyczy w żadnym wypadku tylko jednej płci. To problemy systemowe i ogólnospołeczne. W pierw-

szym przypadku kobiety znacznie częściej są jednak ofiarami, w drugim – szybciej nauczyły się na temat przeżywanych kryzysów rozmawiać.

Gorąco polecam Czytelniczkom i Czytelnikom również rozmowę z kończącym właśnie kadencję rzecznikiem praw obywatelskich Adamem Bodnarem. Uprzytamnia ona, jak ogromne jest pole działania pracowników RPO i jak ważną rolę odgrywało jego biuro w ostatnich latach.

Praworządność, prawa osób LGBT+, prawa reprodukcyjne, zapowiedzi wypowiedzenia konwencji stańbulskiej o przeciwdziałaniu przemocy domowej – każdy z tych tematów w ostatnich latach budził ogromne emocje społeczne. Wyrazem społecznej mobilizacji były m.in. pokojowe i masowe protesty: czarny protest z października 2016 r. przeciwko projektowi ustawy „Stop aborcji” oraz protesty w obronie niezależności Sądu Najwyższego z lipca 2018 r. W ostatnich latach przekonaliśmy się, że społeczeństwo obywatelskie w Polsce ma się coraz lepiej. I choć nie znajduje to jeszcze wyraźnego przełożenia na jakość polskiej polityki, wierzę mocno w sens pracy organicznej. Istotne jednak, aby wzmacniać nie tylko poziom zaangażowania obywatelskiego. Każdy z nas powinien dbać również o własne zdrowie, zwłaszcza psychiczne, o duchowy dobrostan, szukać wewnętrznej równowagi. I w mądry sposób wspierać w tych dążeniach inne osoby. W tych niespokojnych czasach to szczególnie ważne. Z tego rodzi się siła do zmian. — 

SPIS TREŚCI



36 **Bliski kres obrzezania kobiet?**
Błażej Poptawski



50 **Drugi plan**
Anna Mateja



68 **Neapol**
Walter Benjamin, Asja Lācis
(tłum. Ireneusz Kania)



fol. Gutek Film/ Jacob Silberberg / Panos / Irtek Dorozński/ Gisèle Freund / RMN-GP / B&W

88

LUKASZ NAJDER

Państwo podziemne

Nasze przeświadczenie, że w dobie COVID-19 „wszyscy” odizolowali się od wszystkich w swoich przestronnych, zaizolowanych mieszkankach – i że „każdy” oddaje się w nich kulinarno-czytelniczej pasji – było w znacznej mierze iluzją wynikającą z braku zainteresowania tym, co poza nami, a nie oglądem rzeczywistości

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

ul. Tadeusza Kościuszki 37, 30-105 Kraków
tel. (12) 61 99 530, fax (12) 61 99 502
e-mail: miesiecznik@znak.com.pl
www.miesiecznik.znak.com.pl

redakcja: Mateusz Burzyk (sekretarz redakcji), Michał Jędrzejek, Ilona Klimek, Elżbieta Kot, Dominika Kozłowska (redaktor naczelna), Janusz Poniewierski, Ewelina Śliwa, Agnieszka Rzonca, Henryk Woźniakowski, Edyta Zielińska

zespół: Michał Bardel, Wojciech Bonowicz, Halina Bortnowska, Bohdan Cywiński, Bartłomiej Dobroczyński, Tomasz Fiatkowski, Tadeusz Gadacz, ks. Michał Heller, Józefa Hannelowa, Wacław Hryniewicz OMI, Jerzy Ilg, Piotr Kłodkowski, Maria Makuch, Janina Ochowska-Okońska, abp Grzegorz Ryś, Władysław Stróżewski, Karol Tarnowski, Łukasz Tischner, Stefan Wilkanowicz

współpraca: Andrzej Brzeziecki, Ewa Bolińska-Gostkowska, Iwona Boruszkowska, Marta Duch-Dyngosz, Monika Gałka, Krzysztof Kornas, Dobrosław Kot, Daniel Lis, Artur Madaliński, Anna Marchewka, Anna Mateja, Andrzej Muszyński, Małgorzata Nocui, Urszula Pieczek, Tomasz Ponikło, Miłosz Puczyłowski, ks. Grzegorz Strzelczyk, Marcin Wilk, Marcin Żyła

projekt graficzny pisma: Władysław Buchner, Rafał Buchner

automatyzacja składu: Paweł Żeleznikowicz (Kobugi)

dyrektor artystyczny: Władysław Buchner

łamanie: Ilona Klimek

fotoedycja: Marcin Kapica

korekta: Barbara Gąsiorowska, Magdalena Wołoszyn

ilustracje portretowe: Patrycja Podkościelny

nakład: 1800 egz.

promocja i reklama: tel. (12) 61 99 530, e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

prenumerata: tel. (12) 61 99 561, e-mail: prenumerata@znak.com.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń. Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

TEMAT MIESIĄCA

6 Kryzys to nie choroba

Dominika Dudek
w rozmowie z Elżbietą Kot

14 Na karuzeli

Justyna Bargielska

20 Przewodnik po wybranych zaburzeniach psychicznych

Ilona Klimek

22 Jestem tu dzisiaj dla ciebie

Karolina Zalewska-Lunkiewicz
w rozmowie z Urszulą Pieczek

28 Historia psychiatrii, czyli pole minowe

Mira Marcinów

SPOŁECZEŃSTWO • ŚWIAT

36 Bliski kres obrzezania kobiet w Afryce?

Błażej Poptawski

44 Bieg z zamkniętymi oczami

Krzysztof Marciniak

50 Drugi plan

Anna Mateja

PUBLICYSTYKA

56 Robić swoje

Adam Bodnar w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim

FELIETON

63 Ogrody pamięci

Janusz Poniewierski

64 Wrota Tannhäusera

Olga Gittkiewicz

65 Springer z trasy

Filip Springer

IDEE

68 Neapol

Walter Benjamin, Asja Lăcis
(tłum. Ireneusz Kania)

76 Ekstacyczny podróżnik

Adam Lipszyc w rozmowie z Markiem Maraszkim

STACJA: LITERATURA

82 Ruchy owada

Małgorzata Lebda

LUDZIE • KSIĄŻKI • ZDARZENIA

88 Państwo podziemne

Łukasz Najder

98 O Internecie, czyli o Polsce

Piotr Kosiewski

102 Świat z pralinką

Ilona Klimek

105 Życie Warszawy

Marcin Wilk

108 Żle napisany świat. Komuniści, władza i literatura

Krzysztof Wołodźko

112 Sokrates III RP

Andrzej Brzeziecki

114 Noty o książkach

116 Książki zapomniane

Tadeusz Zatorski

118 Jeź na autostradzie

Julia Fiedorczuk

120 Znak o znakach

Joanna Guszta



■ Ashley Judd w filmie Sandry Nettelbeck *Helen* (2009). W życie głównej bohaterki – jak się wydaje szczęśliwej żony, matki, nauczycielki muzyki – z dnia na dzień zaczyna wkradać się depresja. Helen nie potrafi już prowadzić zajęć ze studentami, coraz trudniej przychodzi jej wychodzenie z domu. Rodzina próbuje pomóc, lecz te starania nie przynoszą rezultatów. Realnym wsparciem okazuje się dopiero jej studentka, która sama zmaga się z zaburzeniami psychicznymi
fot. Alamy / BE&W

Bez wstydu

Pandemia koronawirusa sprawiła, że temat zdrowia psychicznego przebił się do szerszej świadomości. Specjaliści podkreślali w mediach, że długotrwałe zamknięcie, brak kontaktu z bliskimi oraz chaos wprowadzony do rytmu codzienności spowodują, iż psychiczne konsekwencje tej sytuacji będziemy odczuwać jeszcze długo po jej zakończeniu.

To niezwykle ważne, że próbujemy mówić i rozmawiać o zdrowiu psychicznym otwarcie, nie traktując tematu jako obcego i odległego. Przecież każdy z nas, nawet jeśli nie zmagamy się z zaburzeniami psychicznymi, zna kogoś z bliskiego otoczenia – rodziny, przyjaciół, kolegów i koleżanek z pracy – kto doświadcza ich na co dzień. W dobrze przeprowadzonej rozmowie kluczowy jest jednak język, który nie stygmatyzuje, nie generalizuje, lecz szanuje granice innych, próbując jak najlepiej zrozumieć ich sytuację i trudności. Wszyscy powinniśmy go szukać i przyswajać.

Jak dbać o zdrową głowę i dobre nawyki? Co robić, by dobrze radzić sobie z kryzysami psychicznymi? W jaki sposób wspierać osoby z zaburzeniami? Jakie tajemnice skrywają dawne szpitale psychiatryczne?

Odpowiadają:

Dominika Dudek, Justyna Bargielska, Karolina Zalewska-Łunkiewicz i Mira Marcinów

Kryzys to nie choroba

Dominika Dudek
w rozmowie z Elżbietą Kot

Badania przeprowadzone przez WHO w 2010 r. w Europie wskazują, że w każdym roku ponad 38% całej populacji cierpi na jakieś zaburzenie psychiczne, wliczając w to uzależnienia. Oczywiście to nie oznacza aż tak wysokiego odsetka chorób psychicznych

Z *Czy istnieją ludzie, którzy przez całe życie nie doświadczają kryzysów psychicznych, nie mają żadnych zaburzeń?*

Wszystko zależy od tego, jak zdefiniujemy kryzys, a jak zaburzenie psychiczne. Jeżeli za kryzys uznamy sytuacje trudne, stresowe w życiu, to oczywiście nie ma ludzi, którzy nigdy ich nie mieli. Natomiast to nie jest zaburzenie ani choroba. Są osoby, które znakomicie sobie radzą z kryzysami, co więcej: są takie, które wychodzą z nich umocnione. Wszystko zależy od zdolności adaptacyjnych, od poprzednich doświadczeń, od tego, jakich umiejętności ktoś nabył w ciągu życia.

Z *A jak wyznaczyć granicę między kryzysem a zaburzeniem lub chorobą?*

Odnosnie do zaburzeń posługujemy się systemami klasyfikacyjnymi: w Europie obowiązuje ICD-10, czyli Międzynarodowa Klasyfikacja Chorób wersja 10, cały czas trwają prace nad wersją 11, natomiast w USA DSM-5, czyli klasyfikacja zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego wersja 5. Oczywiście granice między zdrowiem a chorobą są dość płynne i zależą od bardzo wielu czynników. Generalnie choroba czy zaburzenie to stan wywołujący cierpienie człowieka lub jego otoczenia. Czasami bowiem pacjent nie jest świadomy swojej choroby lub wręcz czuje się w niej świetnie, np. w hipomanii. Robi sobie jednak dość duży bałagan w życiu. W przypadkach niektórych zaburzeń osobowości też bardziej cierpi otoczenie pacjenta niż on sam. Choroba powoduje trudności w prawidłowym funkcjonowaniu i rozwoju, realizowaniu swoich potrzeb

i planów. Z jednej strony mamy kryteria diagnostyczne, pytamy o objawy, ile ich jest, od jakiego czasu występują i w jaki sposób zaburzają funkcjonowanie pacjenta, ale z drugiej strony musimy sobie zdawać sprawę z kontekstu, w jakim człowiek żyje – kulturowego, religijnego, społecznego. W niektórych kontekstach pewne zachowania uchodzą za prawidłowe lub wręcz pożądane, podczas gdy w innych są postrzegane jako co najmniej dziwaczne. Na przykład średniowieczni asceci – gdyby dziś ktoś tak się zachowywał, pewnie namawialibyśmy go co najmniej, żeby się poddał diagnozie. Natomiast w średniowieczu ich zachowania uważano za pożądane i świadczące o dążeniu do świętości. Na pewno nie traktujemy jako treści urojeniowych czegoś związanego z wierzeniami religijnymi.

Z *Chociaż tło religijne jest chyba częste w przypadku już stwierdzonych chorób psychicznych?*

Tak, ale to jest co innego. Urojenia o treści religijnej nie są izolowane, tylko wpisują się w cały obraz chorobowy – np. ktoś ma urojenia wielkościowe, że Pan Bóg do niego przemówił i powierzył mu wielką misję, ale przez to całkowicie zmienia się jego zachowanie, sposób poruszania się i mówienia, stosunek do otoczenia itd. Nie patrzmy tu na jeden objaw, lecz na cały obraz funkcjonowania człowieka. Przekonania wynikające z wiary religijnej i wpisane w dany kontekst kulturowy nie mogą być rozpatrywane w kategoriach psychopatologicznych. Na przykład chrześcijanie wierzą, że podczas mszy opłatek i wino przemieniają się ciało i krew Chrystusa,

ale w społeczności, która nigdy nie zetknęła się z takimi wierzeniami, brzmiałoby to dziwacznie. W diagnostyce zaburzeń psychicznych kontekst społeczny i kulturowy musi być brany pod uwagę.

Z *Jaki procent ludzkości cierpi z powodu zaburzeń psychicznych?*

Badania przeprowadzone przez WHO w 2010 r. w Europie wskazują, że w każdym roku ponad 38% całej populacji cierpi na jakieś zaburzenie psychiczne, wliczając w to uzależnienia. Oczywiście to nie oznacza aż tak wysokiego odsetka chorób psychicznych. Mogą to być bowiem zaburzenia o charakterze psychotycznym, przy których człowiek traci kontakt z rzeczywistością, świat wyobrażeń wymyka mu się spod kontroli, ma urojenia lub halucynacje. Tak dzieje się np. w schizofrenii, która występuje u mniej więcej 1% ludzi, i to jest odsetek stały. Oprócz tego mamy jednak wiele zaburzeń o charakterze nerwicowym (jak np. zaburzenia lękowe, somatyzacyjne), uzależnienia, zaburzenia osobowości – to nie są choroby psychiczne, chociaż np. powikłaniem uzależnienia może być psychoza. Rzecz jasna, nie każdy człowiek przechodzi przez jakieś zaburzenia.

Z *Powszechne przekonanie jest chyba takie, iż łatwiej zdiagnozować chorobę somatyczną niż psychiczną. W przypadku chorób ciała mamy jasne normy, możliwość zrobienia różnych badań itd. A w przypadku chorób psychicznych jest to chyba trudniejsze?*

Czasem jest trudniej, czasem łatwiej, w medycynie soma- ➤

Edukacja i uświadamianie niebezpieczeństw – to element dbałości o zdrowie psychiczne. Istotne jest też, aby nie uciekać w rzeczywistość wirtualną

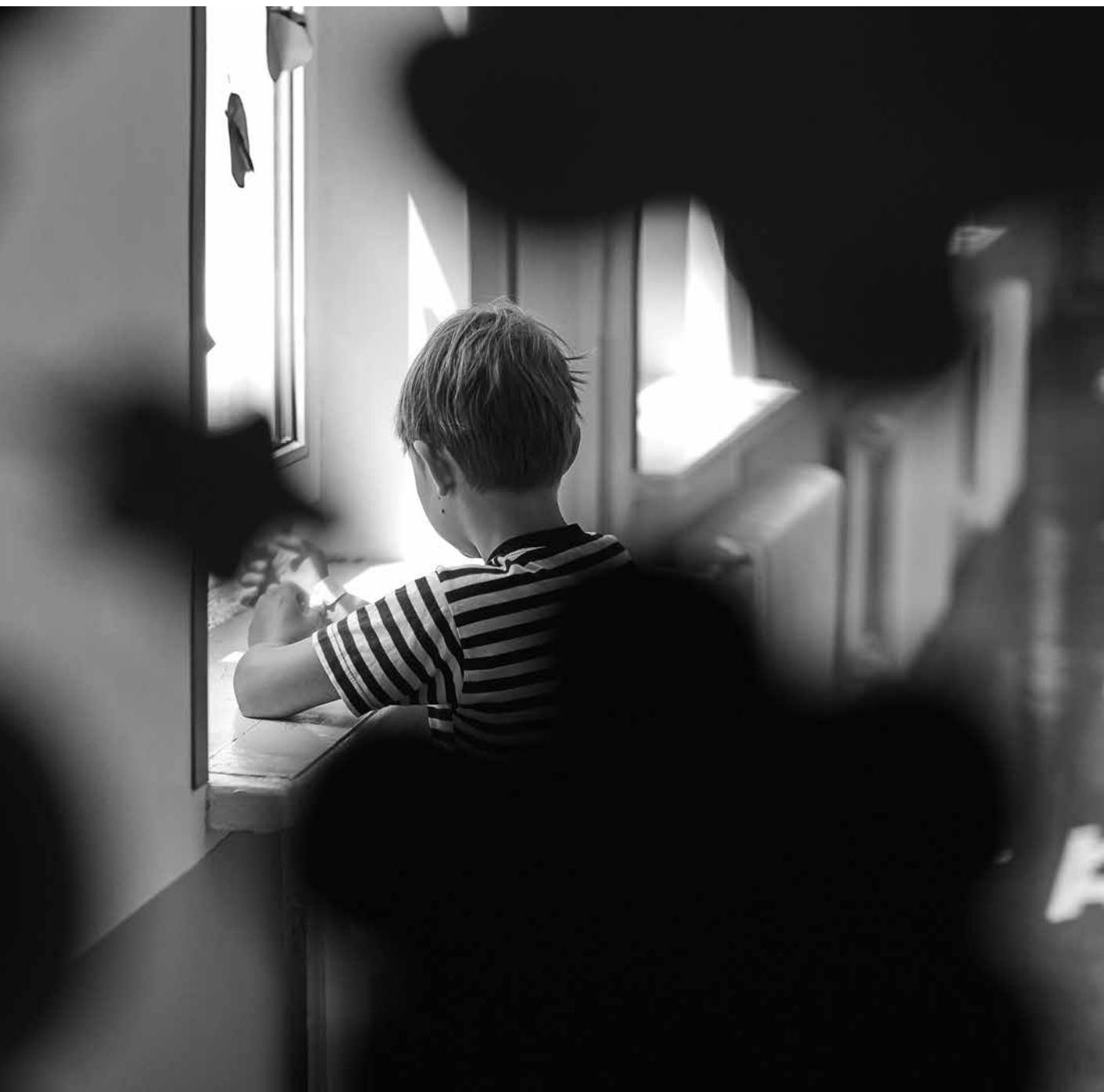
tycznej niekiedy też trudno postawić diagnozę. Psychiatria ma narzędzia i kryteria diagnostyczne. Dawno temu, kiedy będąc w liceum, zaczytywałam się w genialnym krakowskim psychiatrze Antonim Kępińskim, myślałam sobie – jakie to trudne, to są przecież tak subiektywne odczucia, trzeba wejść do duszy człowieka. Tak nie jest – badając pacjenta, rozmawiamy z nim, zbieramy wywiad, słuchamy, co mówi, jakie dolegliwości opisuje. Poznajemy historię dotychczasowych chorób, jego życia, całego kontekstu – na jakim etapie pojawiły się problemy, co się dzieje aktualnie w jego życiu prywatnym i zawodowym. To jest właśnie fascynujące, że w medycynie somatycznej ten kontekst ma o wiele mniejsze znaczenie, natomiast w psychiatrii może być kluczowy dla zrozumienia dolegliwości.

■ *W medycynie somatycznej opieramy się na ogół na własnych odczuciach, uznając, że powinniśmy szukać pomocy lekarza, natomiast w psychiatrii czasami*

oceny osób z naszego otoczenia są równie istotne. Bywa, że to bliscy mają rację, a chory nie chce tego przyznać lub nie zdaje sobie z tego sprawy.

Psychiatra z jednej strony zbiera wywiad, a z drugiej – trochę jak chirurg, który musi dotknąć np. brzucha pacjenta, mimo że ten opisał, jak i gdzie go boli – oprócz tego, że słucha, co pacjent mówi, słucha, jak to mówi. Obserwuje go już od momentu wejścia do gabinetu – jak jest ubrany, jak się porusza, jaką ma mimikę, czy odpowiada na pytania, czy mówi logicznie czy chaotycznie. Można spostrzec bardzo wiele, nawet jeśli pacjent nie chce odpowiadać na pytania. Możemy zobaczyć, czy jest smutny, wystraszony, czy siedzi spokojnie, czy jest pobudzony, niespokojny, czy chce rozmawiać, czy też jest nieufny i podejrzliwy. Na przykład w przypadku choroby dwubiegunowej widzimy pacjentkę ubraną w szare powyciągane swetry, rozczochraną i bez śladu makijażu, gdy jest w depresji, a w następnym ➔

□ Korytarz oddziału dziecięcego w Szpitalu
Psychiatrycznym im. J. Babińskiego w Łodzi
fot. Tomasz Stańczak / Agencja Gazeta



tygodniu przychodzi jak kolorowy motyl, wesoła i skracać dystans – możemy więc domniemywać, że przeszła w fazę maniacką.

W badaniu pacjenta czasem to, co on mówi, jest bardzo miarodajne – np. pacjent nerwiczny będzie dość dokładnie opisywał swoje dolegliwości i wywiad właściwie wystarcza do postawienia diagnozy. A pacjent psychotyczny może w ogóle nie mieć pojęcia, po co przyszedł – bo rodzice albo żona kazali, bo przecież nie jest chory, a tylko w jego życiu dzieją się straszne rzeczy. Opierając się tylko na tym, co mówi, trudno byłoby postawić diagnozę. Wtedy korzystamy z obserwacji pacjenta, ale też, oczywiście za jego zgodą, rozmawiamy z osobami z jego otoczenia.

Z Część chorób psychicznych polega właśnie na tym, że bardzo

trudno przekonać kogoś, że jest chory. Jak się wtedy postępuje?

To zależy od schorzenia. Pacjent w depresji będzie raczej szukać pomocy. W przypadku pacjenta psychotycznego często nie ma on wglądu w swoją chorobę i cała sztuka polega na tym, żeby namówić go na leczenie. Na pewno nie możemy mu powiedzieć, że będziemy leczyć jego urojenia, bo z definicji urojenia nie podlegają korekcie mimo dowodów na błędność przekonań. Wtedy raczej szukamy jakiegoś wspólnego mianownika, starając się zdefiniować to, co powoduje jego cierpienie – np., jeśli jest on przekonany, że sąsiedzi go inwigilują i zamontowali w jego domu kamery i podsłuchy, to nie przekonuję go, że to nieprawda, ale staram się doprowadzić go do konstatacji, że w związku z tym przekonaniem nie czuje się dobrze w domu, jest zestresowany.

I zazwyczaj pacjent to potwierdza. Wtedy staram się go namówić na leczenie, które zmniejszy poziom jego lęku i poprawi jakość życia. Kiedy leki zaczynają działać, to możemy stopniowo wracać do kwestii tych urojeń i starać się sprawić, żeby zaczął wątpić w swoje przekonania.

Z Badanie Epidemiologia zaburzeń psychiatrycznych i dostępność psychiatrycznej opieki zdrowotnej EZOP podaje, że ok. 1,5 mln Polaków korzysta z pomocy w zakresie zdrowia psychicznego, a powinno 6 mln. Czy uważa Pani, że te liczby obecnie wzrosły? I jak wyglądają w innych krajach?

To badanie przeprowadzone w latach 2009-2012, ale potem nie było już w Polsce podobnie rzetelnego badania epidemiologicznego. Rzeczywiście można zaob-

Problemy polskiej psychiatrii

W Polsce funkcjonuje ok. 1,5 tys. podmiotów udzielających świadczeń w zakresie opieki psychiatrycznej, lecz blisko 60% z nich działa prywatnie. Publiczna psychiatria jest jedną z najstabilniej dofinansowanych dziedzin medycyny. Przeznacza się na nią zaledwie 3,5% z budżetu Narodowego Funduszu Zdrowia. Dla porównania: Niemcy wydają na psychiatrię 14% wszystkich nakładów na leczenie. Znaczna część tych środków – bo aż 70% – jest przeznaczana w naszym kraju na leczenie szpitalne, a nie pomoc środowiskową, która w wielu przypadkach mogłaby stanowić dla pacjenta przyjaźniejsze i bardziej pomocne wsparcie. Taki stan rzeczy jest, niestety, w pewnym stopniu pozostałością po dawnym myśleniu o chorych psychicznie, których się stygmatyzuje, a przez to odcina od społeczeństwa i zamyka w murach szpitala położonego zwykle na obrzeżach miasta. Na milion mieszkańców przypada w Polsce zaledwie 90 lekarzy psychiatrii (przykładowo: we Francji jest ich 228, a na Litwie 225). Czas oczekiwania na wizytę to zatem kilka miesięcy, mimo że do tego specjalisty nie jest potrzebne skierowanie. Oczywiście można skorzystać z pomocy prywatnego specjalisty, lecz tutaj z kolei koszty są ogromne: konsultacja u psychiatry to przeważnie wydatek rzędu 100–250 zł, a za jedną

wizytę u psychoterapeuty płaci się zwykle 100–160 zł. Najgorzej jest z psychiatrią dziecięcą, gdzie na ok. 400 tys. potrzebujących fachowej pomocy jest jedynie ok. 400 psychiatrów dziecięcych. Przyczyną aż 23% zgonów wśród nastolatków są samobójstwa. Temat kryzysu dziecięcej psychiatrii był podejmowany m.in. na łamach „Tygodnika Powszechnego” (20/2019): *Usłysz swoje dziecko. Raport o zdrowiu psychicznym najmłodszych*. By uzdrowić polską psychiatrię, prowadzi się obecnie proces decentralizacji, czyli odejścia od zamkniętego leczenia w szpitalach na rzecz opieki w środowisku pacjenta. Kluczowy jest tutaj pilotażowy program tworzenia Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego, o czym mówi więcej Karolina Zalewska-Lunkiewicz w zamieszczonym w tym numerze wywiadzie *Jestem tu dzisiaj dla ciebie*.

Od 2018 r. psychiatria (a od 2017 r. psychiatria dziecięca) jest na liście dziedzin priorytetowych, co oznacza, że rezydenci wybierający tę specjalizację otrzymują wynagrodzenie o ok. 600 zł wyższe niż ci decydujący się na specjalizację niedeficytowe. To rozwiązanie ma sprawić, że wzrośnie liczba młodych lekarzy, którzy zdecydują się związać przyszłość z psychiatrią.

serwować rozpowszechnianie się zaburzeń psychicznych – a może raczej częstsze zgłaszanie się po pomoc. Badania WHO pokazują, że między rokiem 2005 a 2015 nastąpił wzrost rozpowszechnienia zaburzeń psychicznych o 16%. Uważa się, że najwięcej jest zaburzeń depresyjnych, a zaraz po nich lękowych.

Z *Mówi się nawet o epidemii depresji. Czy rzeczywiście, jak prognozuje WHO, w 2030 r. depresja będzie najczęstszą chorobą na świecie?*

Tak. Ale też zwiększa się świadomość w społeczeństwie. Dawniej gdy ktoś miał depresję, zalegał w łóżku, cierpiał, a potem szedł do lasu i się wieszał. Teraz szybciej zgłasza się po pomoc, która jest bardziej dostępna; coraz częstsza jest postawa, że pójdzie do psychiatry czy psychologa klinicznego to żaden wstyd.

Z *A co można zrobić, żeby jeszcze bardziej zwiększyć świadomość społeczną w tej kwestii?*

Mam nadzieję, że różne działania, które podejmujemy głównie w Polskim Towarzystwie Psychiatrycznym, ale nie tylko, prowadzą do zmniejszenia tej stygmatyzacji. PTP włącza się np. w liczne działania medialne, dzięki którym coraz więcej mówi się o psychiatrii. Również coraz więcej znanych ludzi przyznaje się do swoich zaburzeń emocjonalnych czy wręcz zaburzeń psychicznych i do tego, że szukali pomocy.

Jednak nie każde zaburzenie psychiczne musi być zadaniem dla psychiatry. Na przykład łagodniejsze zaburzenia depresyjne mogą być diagnozowane i leczone przez lekarzy

Psychiatra oprócz tego, że słucha, co pacjent mówi, słucha, jak to mówi. Obserwuje go już od momentu wejścia do gabinetu – jak jest ubrany, jak się porusza, jaką ma mimikę

rodzinnym. W ciągu ostatnich kilkunastu lat wiele się tu zmieniło, my bardzo współpracujemy z lekarzami rodzinnymi, prowadzimy dla nich szkolenia, jako zespół ekspertów PTP i we współpracy ze stowarzyszeniami pacjentów i lekarzami pierwszego kontaktu przygotowaliśmy bardzo porządne standardy diagnozowania i leczenia depresji w warunkach POZ.

O ile dawniej często diagnozowano i leczono źle, na depresję dawano tylko leki uspokajające, o tyle teraz lekarze rodzinni całkiem dobrze radzą sobie z leczeniem depresji czy zaburzeń lękowych.

Z *Z doniesień medialnych od dłuższego czasu wynika, że stan polskiej psychiatrii, zwłaszcza dziecięcej, jest fatalny, brakuje lekarzy, środków, szpitale są przepełnione albo zamykane.*

Poważny kryzys dotknął zwłaszcza psychiatrię dziecięco-młodzieżową. Jednak warto zauważyć, jak wiele zmienia się na lepsze. Oczywiście nie w każdym miejscu sytuacja jest taka sama, ale mimo wszystko współczesna psychiatria wygląda zupełnie inaczej niż ta sprzed lat. Kiedy pod koniec lat 80. XX w. odwiedzałam pewną panią w szpitalu psychiatrycznym, to naprawdę wyglądało strasznie – wszystko zaniedbane, jakieś błakające się osoby bez płci i wieku, żebrzące o papierosy. A teraz to jest nowoczesny, wyremontowany ośrodek, bardzo dobrze leczący pacjentów.

Mamy też coraz bardziej nowoczesne leki, które są skuteczne i nie dają efektów ubocznych. Kiedyś pacjenci leczeni psychiatrycznie wyglądali jak zombie, a teraz

mogą funkcjonować normalnie, ich sposób zachowania nie wskazuje na to, że są przewlekłe leczeni. Pozytywna jest też reforma psychiatrii – program pilotażowy finansowania psychiatrii na podstawie stawki kapitałowej, czyli określonej kwoty, jaką lekarz otrzymuje na leczenie pacjenta, i organizacji opieki psychiatrycznej w ramach Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego, które zapewniają pacjentom natychmiastową i kompleksową opiekę. Hospitalizacja jest traktowana jako ostateczność i chodzi o to, żeby była możliwie jak najkrótsza, a ciężar leczenia ma zostać przeniesiony do opieki środowiskowej, oddziałów dziennych i warsztatów terapii zajęciowej. Pacjent unika w ten sposób leczenia w oderwaniu od swojego środowiska, a zespół terapeutyczny przyjeżdżający do domu chorego ma możliwość lepszego zrozumienia sytuacji i kontekstu społecznego.

Tu się wydarzyło dużo dobrego – zaangażowany jest bardzo Marek Balicki, niegdyś minister zdrowia, obecnie pełnomocnik MZ ds. reformy psychiatrii; ośrodek krakowski jest liderem we wprowadzaniu tej reformy, nie można pominąć nazwiska pracownika naszej Katedry Andrzeja Cechnickiego, który pręźnie działa i rozwija psychiatrię środowiskową. Dzięki jego inicjatywie w Krakowie powstał np. pensjonat „U Pana Cogito” zatrudniający osoby z doświadczeniem kryzysu psychotycznego.

Z Czy nie jest jednak tak, że psychiatria w Polsce to na razie najslabiej dofinansowana gałąź medycyny i niektóre ośrodki nadal mogą naprawdę odstraszać

pacjentów? Pisał o tym chociażby Janusz Schwertner w reportażu Miłość w czasach zarazy o młodych osobach LGBT.

Bardzo cenię redaktora Schwertnera – jego teksty poruszają serca i umysły. Tak – brakuje pieniędzy, brakuje sprzętów, wiele oddziałów nie było od lat remontowanych. Warto jednak pokazywać, jak heroicznie pracują lekarze i pielęgniarki w bardzo nieraz trudnych warunkach. Trzeba też pamiętać, że oddziały psychiatrii dziecięco-młodzieżowej mają swoją specyfikę i często czyściutkie, świeżo wyremontowane sale już po kilku tygodniach są zdewastowane, ze ścianami pełnymi wulgarnych napisów i rysunków. I temu nawet najbardziej zaangażowany personel nie zapobiegnie.

Gwoli sprawiedliwości – podobnie jak psychiatria dorosłych, również psychiatria dziecięco-młodzieżowa jest teraz reformowana, w co bardzo mocno zaangażowana jest Małgorzata Janas-Kozik z Prezydium Zarządu Głównego PTP. No i społeczeństwo nie pozostaje obojętne na trudności – tej zimy otrzymaliśmy ogromną pomoc od WOŚP, która zakupiła m.in. umeblowanie dla wielu ośrodków dziecięco-młodzieżowych.

Z *Współcześnie jednym z bardziej popularnych trendów w kulturze jest pokazywanie i doradzanie nam, że możemy sami ulepszyć swoje życie w różnych aspektach albo zapobiec różnym chorobom. Czy zatem są jakieś sposoby na to, żeby zadbać o swoje zdrowie psychiczne?*

Takie pytania często padają, ale muszę Panią rozczarować. Uważam,

że nie ma uniwersalnych recept. Można opowiadać różne banały – o zachowaniu równowagi w życiu, zwłaszcza między pracą a wypoczynkiem, otwarciu się na bliskich, rozmawianiu o swoich problemach, życzliwości...

Z *Istotne jest też uprawianie sportu, dobry sen, odpowiednia dieta, hobby...*

Każdy z nas to słyszał. Oczywiście są grupy podwyższonego ryzyka, np. osoby z obciążeniem rodzinnym chorobami psychicznymi, które powinny siebie obserwować. Dużym problemem jest też nadużywanie substancji psychoaktywnych, zwłaszcza przez ludzi młodych, bo to może wyzwać psychozy. Edukacja i uświadamianie niebezpieczeństw – to też jest element dbałości o zdrowie psychiczne. Istotne jest również, aby nie uciekać w rzeczywistość wirtualną, nie zastępować nią kontaktów w realnym świecie.

Podobnie jak w wielu innych chorobach: im szybciej rozpocznie się leczenie, tym większa szansa całkowitego powrotu do zdrowia. A zatem warto zwrócić się o pomoc, kiedy tylko czujemy, że przestajemy sobie radzić ze stresem, problemami. W profilaktyce wtórnej oczywiście ważna jest ciągłość terapii i kontynuowanie leczenia podtrzymującego nawet po ustąpieniu objawów.

Z *Czy zgadza się Pani ze stwierdzeniem, iż rosnąca liczba zaburzeń i chorób psychicznych jest związana także z tym, że współczesny świat jest trudniejszym miejscem do życia niż kiedyś? Postęp wiąże się z rosnącą kon-*

kurencją, która zaczyna się już w dzieciństwie, a równocześnie rośnie niepewność jutra, zarówno jeśli chodzi o kwestie ekonomiczne, jak i np. zmiany klimatu. I coraz więcej z nas nie wytrzymuje tej presji.

Nie całkiem się z tym zgadzam. Każdy okres historii ma swoje trudności, swoje plusy i minusy. Każdemu pokoleniu pod pewnymi względami jest łatwiej, a pod innymi trudniej. Czy podczas wojny albo w czasach stalinowskich było łatwiej zachować równowagę psychiczną? Było inaczej. W PRL-u też życie nie rozpieszczało. Inaczej może wyglądały stosunki międzyludzkie, bo ludzie więcej się odwiedzali, rozmawiali ze sobą, a teraz rzeczywiście bywa tak, że można mieć setki znajomych na Facebooku, ale nikogo, do kogo można się przytulić i z nim naprawdę porozmawiać.

Z *Czy naprawdę pewne nasze problemy nie wynikają z tego, że styl naszego życia właściwie pod każdym względem się zmienił, i to zarówno w stosunku do tego, do czego przystosowaliśmy się jako gatunek, jak i w ostatnich dziesięcioleciach? Albo z sytuacji społeczno-politycznej?*

Każda epoka ma swoje bolączki i swoje problemy. Zmiany stylu życia są procesem ciągłym, płynnym i towarzyszą nam od zarania dziejów. Oczywiście ewolucja nie nadąza za postępem cywilizacyjnym i nasz mózg neolitycznego łowcy-zbieracza musi sprostać wyzwaniom XXI w.

Z *A czy popularyzacja wiedzy psychologicznej nie skutkuje*

czasami tym, że szukamy wytłumaczenia swoich problemów lub niepowodzeń właśnie w problemach psychicznych, przeszłości, rodzicach itd., podczas gdy to po prostu jest nasz los? Czy czytanie tak popularnych obecnie poradników psychologicznych może nam zaszkodzić?

Na pewno mamy większy wgląd w siebie, jesteśmy skłonni do psychologizowania. Wspomniany Antoni Kępiński pisał w książce *Melancholia* o ucieczce w chorobę przed trudnościami i pustką własnego życia, zwracając uwagę, że niekiedy „chory nurza się w depresji jak w przyjemnym, ciepłym błotku”. Jednak popularyzacja wiedzy o zaburzeniach psychicznych jest chyba dobrym kierunkiem, zmniejszającym stygmatyzację i ułatwiającym zwrócenie się o pomoc.

Z *Czy każdy człowiek powinien przejść raz w życiu psychoterapię? Robimy sobie przecież przeglądy stanu naszego ciała, więc może i kontrola duszy byłaby wskazana?*

Oczywiście, że nie. Psychoterapia to jest rodzaj leczenia. To nie jest żadna „kontrola duszy”. To długotrwały, nieraz kilkuletni, proces poznawania siebie i źródeł swoich zaburzeń emocjonalnych. A naprawdę – nie wszyscy jesteśmy obciążeni zaburzeniami psychicznymi, a nawet ośmielę się powiedzieć, że większość z nas całkiem dobrze radzi sobie z wyzwaniami, jakie stawia życie. To trochę tak, jakby postulować, że każdy powinien zrobić sobie operację plastyczną. Poza tym taki postulat byłby absolutnie nie do zrealizowania. A ta „kontrola duszy” to może po prostu uważ-

ność na swoje emocje i na uczucia innych ludzi.

Z *Gdyby polskie społeczeństwo było pacjentem, to jak by Pani Profesor oceniła jego stan psychiczny?*

Fatalnie. Za dużo wypuszczonych demonów, za dużo nienawiści, za dużo kompleksów maskowanych przez bogoojczyźniane postawy wielkościowe, za dużo hipokryzji. Gdyby taki pacjent zjawił się w moim gabinecie, byłabym świadoma, że leczenie będzie długie i bolesne, będzie wymagało psychoterapii wglądowej, edukacji, ogromnej pracy nad sobą. Za wszelką cenę chciałabym uniknąć konieczności hospitalizacji i leczenia wstrząsowego. I niestety, liczyłabym się z tym, że osoba ta może przerwać terapię i nie dać sobie pomóc... — **Z**



fot. Anna Kaczmarz / Dziennik Polski / Polska Press / East News

Dominika Dudek

Psychiatra, prof. nauk medycznych, kierownik Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum UJ, specjalistka w zakresie psychiatrii klinicznej, zaburzeń depresyjnych oraz choroby dwubiegunowej, redaktor naczelna czasopisma „Psychiatria Polska”, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego

Na karuzeli

JUSTYNA BARGIELSKA

Nie mogłam się zgodzić na to, że mam chorobę afektywną dwubiegunową. Chciałam, żeby moje skoki ze spadochronem, pisanie w miesiąc całych książek, moja nierozsądna zdolność do błyskawicznego zakochiwania się, żeby to wszystko, co nadawało mojemu życiu sens, a przede wszystkim blask, wynikało z tego, kim i jaka jestem, a nie – co mi jest

ÓSMEGO MARCA – TO BYŁA NIEDZIELA – ZADZWONIŁAM DO MAMY, ŻE jestem chora i czy mogłabym u niej dojść do zdrowia. Dziećmi miał się zająć ich ojciec, do którego też wykonałam telefon. Moja mama oczekiwała, że przyjadę z gorączką, zapaleniem oskrzeli, jakąś chorobą, na którą pomagają kompoty z malin i inhalacje. Pościeliła mi łóżko i naszykowała piżamę. Pożegnałam się z dziećmi, którym udzieliłam bardzo zwięzłych informacji na temat tego, co się dzieje, wsiałam do taksówki, pojechałam do rodziców. Owszem, udało mi się z tej taksówki wysiąść. Usiadłam na schodach ganku domu rodziców, do łóżka, które przygotowała mama, musiał praktycznie przenieść mnie tata. Przetaszczyć. Byłam 10 kg lżejsza niż dwa miesiące wcześniej, nadal jednak moje legendarnie ciężkie kości stanowiły dla taty wyzwanie, zresztą całość sytuacji była co najmniej niezrozumiała, jeśli nie pełna grozy: wiedzieli, że od lat się leczę psychiatrycznie, ale ponieważ pierwszą diagnozę dostałam już po wyprowadzeniu się z domu, nie mieli pojęcia, z czym to się w istocie wiąże. Jak to wygląda. Tata przyniósł z piwnicy kompot z malin, podpisany „kompot z malin 2019”, a mama pomogła mi się przebrać w piżamę i położyć do łóżka. Mama jest chodzącą apteką, to na swój sposób przerażające, bo np. baterię antybiotyków wszystkich generacji zdobyła, zaczynając brać, kiedy jej je przepisywano, i przestając brać, gdy tylko robiło jej się lepiej. Mama najwyraźniej jest w teamie superbakterii i wspólnie planują wybić ludzkość w ciągu kolejnych dwóch dekad. „Ja mam leki – powiedziałam. – W torbie”. W torbie były wenlafaksyna, alprazolam i trazodon (z oczywistych względów będę posługiwała się nazwami substancji, a nie preparatów). Mama przyjrzała się im:

„Nie znam – stwierdziła – Na co to?”. Zastanawiałam się przez chwilę. „Na mnie” – odpowiedziałam.

Mój plan ratunkowy zakładał, że posiedzę u mamy kilka dni, żeby w bezpiecznym otoczeniu zacząć brać wenlafaksynę, którą zapisano mi wtedy po raz pierwszy. Moje historie z antydepresantami miały zawsze zabójcze początki; zanim ustąpiły efekty uboczne, musiałam mieć kogoś, kto mnie pozbiera z podłogi w łazience, jeśli zemdleję. Nigdy nie myślałam o tym, że należałoby zagwarantować sobie obecność kogoś, kto mnie podniesie w salonie czy sypialni, ale podłoga łazienki z jakichś względów jawiła mi się jako przedsiónek piekła. Mieszkalam z dwójką nastoletnich dzieci i choć fizycznie podniesienie mnie nie stanowiłoby dla nich wyzwania, ogromnie pilnowałam, żeby nie tylko nie były aktorami

fot. Albert Zawada / Agencja Gazeta

żałosnego *teatrum* mojej choroby, lecz by nawet nie miały wstępu na widownię. Nie zawsze tak było: ze dwa czy trzy razy ramiona mojej wyższej ode mnie o głowę, ale młodszej o 28 lat córki i sposób, w jaki podawała mi papierową torebkę, żebym w nią oddychała, jej spokojny głos, mówiący, że nie umieram, że już nieraz przez to przechodziłam i wiem, że się skończy, że po prostu trzeba poczekać, ratowały mnie z otchłani. Ale potem zarówno ojciec mojej córki, jak i terapeuta, z którym umówiłam się na *one night stand* (szczerze nienawidzę psychoterapii, mimo że podejmowałam wiele prób), wyjaśnili mi, że dzieci nie są po to, żeby wyciągać nas z otchłani, i że szukając pomocy u córki, krzywdzę ją. Jeśli chodzi o poczucie winy wobec dzieci, był to celtycki *menhir* do mojego ogródka. Ten ogródek składał



się zresztą z samych kamieni. Dlatego przez kilka następnych dni na pytanie mamy, czy dzwoniłam do dzieci, mówiłam, że jutro zadzwonię.

Pierwszej nocy obudziłam się o czwartej rano, w ciemnościach, wiedziałam, że już nie zasnę. Dosłownie dziesięć centymetrów od mojej głowy leżał preparat żelaza, który miałam brać, żeby, jak to ujął internista, przestać się czuć jak zombie: nie jedząc, zafundowałam sobie potężną anemię. Preparaty żelaza należy brać na czczo – to była jedna z moich okresowych potężnych anemii, jak nietrudno się domyślić – i czułam, że jeśli teraz sięgnę po tabletkę i szklankę z wodą, po raz pierwszy od dawna zacznę dzień w dobry, rojujący, bohaterski sposób. Zajęło mi to dwie godziny: około piątej zgasła latarnia naprzeciwko mojego okna, zaczęło się robić szaro, potem mniej szaro, potem jasno. Około szóstej udało mi się wziąć tabletkę. Dwie godziny. „To nie jest takie proste – tłumaczyłam sobie. – To nie jest takie proste wziąć tabletkę i popić ją wodą”.

W istocie było to jedno z największych wyzwań, jakie w ciągu tego epizodu choroby postawiło przede mną życie. Dokładnie tak samo jak cała reszta testów, które jeszcze zdawałam, ale z ogromnym trudem: szczególnie nie lubiłam jedzenia. Ubieranie się i mycie też nie należały do moich ulubionych przygód codzienności. Chodzenie do sklepu? Mount Everest. Konieczność zmobilizowania się do opieki nad dziećmi sprawiała, że zaczynałam na nie patrzeć z niechęcią i przerażeniem, trochę jak na sadystycznych strażników mojego więzienia o z dnia na dzień stopniowo zaostrzanym rygorze. Kochałam je, ale chciałam, żeby zniknęły. A potem docierało do mnie, że to ja powinnam zniknąć, bo łatwiej jest zniknąć jednej osobie, i fiksowałam się na tej myśli, co dawało mi niejaka ulgę. Gdybym przy sobie miała w tamtym okresie kogoś, kto pytałby, o czym teraz myślę, dziewięć na dziesięć razy usłyszałby, że wyobrażam sobie swoją śmierć. To było stosunkowo niegroźne: ryzyko samobójstwa w nasilonej depresji podobno wcale nie jest wyjątkowo duże, na to trzeba mieć siłę, a w pewnym momencie całą siłę zużywa się na wzięcie tabletki preparatu żelaza i popicie jej wodą. „Myśli samobójcze” są wówczas, wybaczenie określenie, niejaka fanfaronada.

„Już nie chcę tak żyć”

POLEŻAŁAM U MAMY DWIE DOBY, MIĘDZY CZWARTĄ A SZÓSTĄ RANĄ OBSERWUJĄC ORZECH ZA OKNEM, A NA NIM RUCH SIERPÓWEK, KTÓRE NAJWIĘCEJ postanowiły uwić tam gniazdo, i wenlafaksyna zaczęła działać: najpierw fundując najsilniejszy atak paniki, jaki mi się kiedykolwiek trafił. Nie mogąc oddychać, czując, że po kolei tracę władzę nad kończynami, jak drętwieje mi twarz, będąc przekonaną, że albo zaraz się zśikam, albo zwymiotuję – no, ale jak zwymiotować z tą zdrętwiałą twarzą? – wymogłam na tacie, żeby zadzwonił na pogotowie. Tata opisał dyspozytorowi sytuację, ten przełączył do karetki, ratownik kazał dać się na głośnomówiący, powiedział tacie, że córka ma mówić, i spytał, co się dzieje. Powiedziałam, zgodnie ze swoim najgłębszym przekonaniem, że umieram. „Pani nie umiera – wyjaśnił spokojnie ratownik – pani hiperwentyluje. Pani dyszy jak pies, przecież słyszę”. Ratownik spytał, czy tata ma w domu papierowe torebki. „Z Lubaszki” – powiedział tata i przyniósł jedną. Po minucie już nie umierałam. „No

i co – spytał ratownik – nie umarła pani?” „Nie – przyznałam – ale ja już nie chcę tak żyć”. „Z tym to już nie do mnie” – odparł ratownik i się rozłączył.

Leki antydepresyjne, to wiedza powszechna, potrzebują czasu, żeby się rozkręcić. Czasu liczonego w tygodniach, niekiedy miesiącach. Na mnie działały znacznie szybciej, stawiały mnie na nogi w tydzień. Jeśli dawało mi to do myślenia, to tylko w ten sposób, że najwyraźniej muszę być histeryczką, a epizod depresyjny, który właśnie przechodzę, nie był specjalnie ciężki. Ale ponieważ leki antydepresyjne już działały, nie przejmowałam się tym, co było, z dnia na dzień jaśniej patrzyłam w przyszłość i z dnia na dzień ta przyszłość wydawała mi się tracić wszelkie ograniczające ją parametry. I nieuchronnie przychodził moment, w którym stawało się jasne, że mogę wszystko. Tym razem, po wenlafaksynie, jasność przyszłości zbiegła się z ogłoszeniem lockdownu i zamknięciem szkół. Nadal nie jedząc – ale już się tym w ogóle nie martwiąc – spakowałam się, podziękowałam mamie i tacie za opiekę i wróciłam do domu. Pandemia oznaczała dla mnie praktycznie całkowite odcięcie źródeł zarobkowania – trzy czwarte mojego budżetu stanowią spotkania autorskie i warsztaty – ale po pierwszym szoku dość szybko uznałam, że sobie poradzę. Umiem bardzo ładnie pisać. Wszyscy w tym kraju będą chcieli, żebym coś dla nich napisała. To będzie bardzo twórcza pan-przygoda.

I faktycznie, może nie wszyscy, ale spora część kraju chciała, żebym coś napisała: do niektórych podmiotów kierowałam propozycje ja,

Szczególnie nie lubiłam jedzenia.
 Ubieranie się i mycie też nie należały do
 moich ulubionych przygód codzienności.
 Chodzenie do sklepu? Mount Everest.
 Konieczność zmobilizowania się do opieki
 nad dziećmi sprawiała, że zaczynałam
 na nie patrzeć z niechęcią i przerażeniem

inne się do mnie zgłaszały, praktycznie siedziałam i ciągle pisałam, jednocześnie cały czas poświęcając również na ogarnięcie z dziećmi nauki zdalnej, która w początkowym okresie pandemii była porywająca jak zdobywanie Dzikiego Zachodu, ćwiczenie jogi, jazda na rowerze stacjonarnym, oglądanie całego sezonu serialu naraz, czytanie codziennie co najmniej jednej książki, długie spacery z psem po lesie, praca nad swoim charakterem i bardzo twórcze gotowanie. Gotowanie, ale niekoniecznie jedzenie. Odkąd zaczęłam brać wenlafaksynę, minęły może trzy tygodnie, u większości osób dopiero zaczynałyby mijać efekty uboczne, a ja już byłam w pełni na chodzie. A nawet – w biegu. Po miesiącu odbyłam telemedyczną kontrolę psychiatryczną online i pani doktor zleciła zwiększenie dawki. Zrobiłam to i bardzo prędko zorientowałam się, że jestem, znowu, w więzieniu.

Gdyby ten epizod choroby rozgrywał się w normalnych warunkach epidemiologicznych, naturalną kolejną rzeczą byłyby teraz

szkód, odstawiłabym antydepresanty bez konsultacji z lekarzem, co by mnie trochę wyhamowało. Przez jakiś czas na lekkim moralnym kacu wyjaśniałabym – albo i nie – nieporozumienia z tego szalonego okresu, jednocześnie funkcjonując dość wydajnie, wspominając właśnie miniony złoty okres jednak z sentymentem, jako nieodłączną część, bo ja wiem: bycia artystką?

Tym razem nie mogłam wyjść i narozrabiać, a teksty musiałam pisać tylko te, za które mi miano zapłacić, czyli nie wiersze i poematy, bo inaczej ja i dzieci zwyczajnie nie mielibyśmy z czego żyć. Stopniowo zwiększałam, zgodnie ze schematem rozpisany przez panią doktor, dawkę wenlafaksyny i moja panika rosła. Co ciekawe, nieco łagodziła ją sytuacja lockdownu: zewnętrzny kryzys po części mógł tłumaczyć mój własny strach, cenna była też świadomość, że stan ducha i umysłu, z którym ja od kilkudziesięciu lat uczyłam się z mniejszym lub większym powodzeniem żyć, jest teraz udziałem wszystkich. Ale obostrzenia zelżały, a ja czułam się jak zwierzę w klatce: z tym że dość specyficzne zwierzę, bo widzące w zasięgu łapy klucz do tej klatki, a w samej łapie mające przeciwny kciuk, za pomocą którego mogłoby tę klatkę samo sobie otworzyć.

Szwankująca biochemia mózgu

ŻEBY BYĆ SPRAWIEDLIWĄ WOBEC MOJEJ PANI DOKTOR, MUSZĘ PRZYZNAĆ, ŻE zanim kazała mi zwiększyć dawkę wenlafaksyny, co najmniej dwukrotnie proponowała mi rozważenie, czy nie lepiej bym się odnalazła w spektrum choroby afektywnej dwubiegunowej. Mam taką niedojrzałą wizję świata, w której jedne choroby są mniej stygmatyzujące niż inne: wiele lat temu diagnozę depresji przyjęłam z gorzką dumą, uznając, że po prostu jestem wrażliwsza niż inni, boleśniej mnie wszystko obchodzi, mam cieńszą skórę, na swój pokręcony sposób jestem wyjątkowa. Powtarzam, dawno to było temu i fakt ten może mnie odrobinę tłumaczyć. Na ChAD jednak, już jako osoba dorosła, dojrzała, pochlebiam sobie, że wewnątrzsterowna, o ukształtowanym światopoglądzie, żarliwie nie chciałam się zgo-

spontaniczne, inicjowane przeze mnie spotkania z dawno niewidzianymi znajomymi, codzienne poprawianie życiówki w biegu na dziesięć kilometrów, podpisywanie umów na książki lub deklarowanie redakcyjnej napisania artykułów, które nigdy nie miały powstać, ale mówiąc o nich, byłabym tak przekonująca, że nie sposób by mi było odmówić, jednocześnie pisanie książek i tekstów, których kompletnie nikt nie zamawiał, ale które wychodziły mi naprawdę nieźle, nadużywanie alkoholu i ryzykowne zachowania seksualne, z których przynajmniej część kończyłaby się konkluzją, że poznałam miłość życia. Zanim narobiłabym sobie prawdziwych kłopotów, nieodwracalnych

dzić – i tutaj dobrego wytłumaczenia już nie mam. Chciałam, żeby moje napady nadaktywności, czy to to twórczej, czy emocjonalnej, były kwestią mojego wolnego, nieznoszącego ograniczeń charakteru, a nie szwankującej biochemii mózgu. Chciałam, żeby moje skoki ze spadochronem, bicie rekordów czasowych w czasie kąpieli w otwartych akwenach w styczniu, pisanie w miesiąc całych, owszem, niedużych, książek, nawet moja nierozsądna zdolność do błyskawicznego zakochiwania się, żeby to wszystko, co nadawało mojemu życiu sens, a przede wszystkim blask, wynikało z tego, kim i jaka jestem, a nie – co mi jest.

Gdy pandemia nieco zelżała, zapisałam się na wizytę twarzą w twarz u jednego z niewielu psychiatrów, którzy przyjmowali w gabinetach: miałam dość telemedycyny czy spotkań online, bo czułam, że nie są to media, które choć w części oddałyby groźną moc szaleństwa, które mnie z dnia na dzień ogarniało. Wybrałam go dość przypadkowo. Sądję, że tak naprawdę postawił diagnozę po pierwszych 30 sek. mojej obecności w jego gabinecie, w ciągu których zdążyłam go przemeblować („czy jeśli postawimy mój fotel tam, a pański fotel tu, myśli pan, że będziemy mogli zdjąć maseczki, kurczę, nie sądziłam, że ten fotel jest taki ciężki, może lepiej go przepchnę, na pewno ma filcowe podkładki pod nogi, nie powinnam porysować podłogi, jednak nie ma, no, szkoda, ale, wie pan, powinien był je mieć, a teraz proszę wstać, przestawimy pański”) oraz zaplanować długofalowe zmiany dekoracyjne („te storczyki to pan tu przyniósł, czy są na stanie kliniki, bo wie pan, storczyki to fatalny wybór estetyczny, one wyglądają dobrze tylko w naturalnym środowisku, ewentualnie w oranżeriach, w większych grupach, to, z czym mamy tutaj do czynienia, to kapitulacja idei dzikiego piękna na rzecz jarmarcznej tandety, to jak obwożenie jednorożca po festynach, a, pana żona hoduje storczyki, nie oceniam tego, ale to cholernie słabe”). Na szczęście poświęcił mi godzinę, choć nie musiał: zapłaciłam za 40 min. Wszystkie leki, które brałam dotąd, zostały mi odstawione i od tamtej pory biorę kwetiapinę: stabilizator nastroju. „Nie musimy nazywać tego chorobą afektywną

Ryzyko samobójstwa w nasilonej depresji podobno wcale nie jest wyjątkowo duże, na to trzeba mieć siłę, a w pewnym momencie całą siłę zużywa się na wzięcie tabletki preparatu żelaza i popicie jej wodą. „Myśli samobójcze” są wówczas niejaka fanfaronada

dwubiegunową – powiedział pan doktor, kiedy mu wyjaśniłam, że jestem artystką, artystką! – po prostu niech pani bierze leki na ChAD”. Zalecił też, żebym po tygodniu brania według schematu sama regulowała sobie dawkę aż do następnej kontroli. Mógł mi zacytować Siri Hustvedt, którą z kolei w *Pokoleniu wyżu depresyjnego* cytuje Michał Tabaczyński, i powiedzieć, że „wielu poetów i pisarzy cierpiało na to, co teraz nazywamy chorobą afektywną dwubiegunową, w tym Paul Celan, Anne Sexton, Robert Lowell, Theodore Roethke, John Berryman, James Schuyler czy Virginia Woolf”. I dalej Hustvedt: „Moje własne postrzeganie pisarstwa pacjentów dwubiegunowych – czy każdego pacjenta z problemem psychiatrycznym – wskazuje na to, że ich proza czy poezja jest jednocześnie bardziej dynamiczna, muzyczna i pomysłowa, a także bardziej oryginalna niż tak zwanych »normalnych ludzi«. Ale nie zrobił tego, za co mu dziękuję, bo po pierwsze, to prawda tak znana, że aż nudna, a po drugie, bo ta lista w żaden sposób nie wydaje mi się pocieszająca, a moje pomysły i muzyczne poezja i proza byłyby mi chętniej widzianym tytułem do chwały, gdybym była zdrowa. Tak jak żąda się odsunięcia od startów w biegach narciarskich astmatyków, tak w niektórych moich paranoicznych wizjach widzę, jak żąda się odsunięcia od tworzenia ChAD-owców. Odkąd przyjąłm tę diagnozę, zdarza mi się czuć jak Caster Semenya literatury, z tym że akurat nie piszę, bo stabilizator nastroju stabilizuje mi nastrój. A wiadomo, że pisać muszę, więc dawkuje go bardzo oszczędnie.

Rozmawiałam ostatnio z przyjacielem o tym, że boję się, że za nie tak znowu długi czas przyjdzie ponownie ten moment, w którym nie będę miała siły wstać z łóżka, taki mój *minidoomsday*. Odpowiada mi, że czyta filozofa Marka Fishera, który pisze, że zaburzenia psychiczne i afektywne to po części konsekwencja życia w systemie neoliberalnym czy, jak on to nazywa, postfordowskim kapitalizmie, bo ze swoimi cyklami wzrostu i recesji jest on nieuchronnie dwubiegunowy. I jeszcze odpowiada mi, że Fisher nie pyta, co jest ze mną nie tak, ale co jest nie tak ze społeczeństwem. Nie lekceważy psychiatrii ani farmakologii, ale przypomina, że problem może mieć także inne, ważne podłoże, o którym się nie mówi. Przyjaciel napisał w swojej ostatniej książce cały tłusty rozdział o antypsychiatrii i teraz, mówi, patrzy na to trochę inaczej, niż kiedy pisał, a tak naprawdę o tym, czym jest depresja czy ChAD, wie coś niecoś dopiero od niedawna. Podtekst tej wypowiedzi jest taki, że m.in. ja dałam mu swoimi zaburzeniami tak popalić, że po prostu musiał pogłębić temat. Z tym że książka wydana, sprzedana, pies pogrzebany. „Inna rzecz – dodaje na koniec – że kiedy słucham, jak ty przez to przechodzisz, jak czekasz na *minidoomsday*, jak cieszysz się, że marzec masz za sobą, to takie rozważania jak postfordyzm, neoliberalizm wydają mi się niewyobrażalnie dalekie od tego, co ważne”. Nie mówię nic, bo co mądrego mogłabym powiedzieć?

Jesteśmy dzielni

W PIĄTEK PRZED NIEDZIELĄ ÓSMEGO MARCA, KIEDY TO TRAFIŁAM DO MAMY, wybrałam się, w stanie już bardzo złym, na saunowanie z morsowaniem w gronie znajomych. Jadąc tam, czułam się bardzo źle. Rozbierając się, czułam się bardzo źle. Pocąc się w saunie, czułam się bardzo źle i bardzo źle się czułam, wskakując z innymi nago do Wisły. Pamiętam, że kazali mi podziwiać bobry, które podpłynęły do brzegu, a potem rozświetloną panoramę Starego Miasta. „Nie mogę tego podziwiać – chciałam im odpowiedzieć – mnie tu nie ma”. W istocie z każdą chwilą narastało we mnie wrażenie, że moje ciało nie tylko traci fizyczny kontakt z rzeczywistością, ale jednocześnie przestaje należeć do mnie. Dość ekstremalne bodźce fizyczne, które zazwyczaj sprawiały mi głęboką przyjemność, tym razem po prostu do mnie nie docierały. Podobnie obolała ze swej nieśmiertelnej strony dusza, wobec niejakej martwości mojego ciała, też postanowiła się wyłączyć. „Co ci jest?” – pytali przyjaciele, a ja odpowiadałam, że nic, trochę mi słabo, bo mam anemię. Koleżanka dała nam wszystkim po kawałku palo santo na pożegnanie i pamiętam, co pomyślałam: że to drewnienko będzie idealne do zagryzania na nim zębów. Na drugi dzień, w sobotę, jeszcze poszłam do pracy: poprowadziłam wielogodzinną imprezę dla setki maluchów, a w niedzielę się zapadłam.

Jeśli napiszę, że wszyscy mieliśmy ciężko przez poprzednie miesiące, będzie to, zakładam, prawdą równie dobrze statystyczną, jak i głoszoną z pozycji międzyludzkiej solidarności. Lubimy sobie ostatnio mówić, że byliśmy i jesteśmy dzielni, i ja też często słyszę, że jestem dzielna, że sobie świetnie radzę, że znakomicie to wszystko ogarniam. Gdy kończę ten tekst, jest noc w połowie lipca, tym razem za oknem rośnie lipa. Widziałam ją

za dnia, wiem, że tam jest, kwitnie i pachnie upajająco, gdybym wyciągnęła rękę przez okno, mogłabym jej dotknąć. Tylko że w tej chwili widzę ciemność. Oczywiście obudzę się rano i lipa znowu tam będzie, i będę się tak budzić jeszcze przez wiele dni, może tygodni, niemniej nieuchronnie nadchodzi moment, w którym obudzę się, a ciemność nie ustąpi. Mam narzędzia i metody, żeby ten moment odwlec, ale jeśli będę je stosować tak, aby za wszelką cenę uniknąć bólu, mogę się pożegnać z zawodem, jaki uprawiam, przynajmniej uprawianym na takich warunkach, na jakich ja to – z dumą – robię. Z kolei używane, żeby ból tylko złagodzić, prędzej czy później staną się nieskuteczne. Wtedy konieczne będzie włączenie antydepresantów, które, wiadomo, powodują ryzyko nagłej zmiany fazy, ciemność zniknie, ale za cenę patrzenia prosto w słońce. Chciałabym kiedyś zsiąść z tej karuzeli. Jest to życzenie tyleż niemądre, co rozczulające nawet mnie samą: ta karuzela to moje życie, to, w którym zawsze wszystko działo się trochę na ukos, na opak, często na niepotrzebnie wysokim C, i nie będę miała innego. Pozostaje się przyzwyczaić i wierzyć, że operator karuzeli jest trzeźwy, życzliwy i ma licencję. — 

Justyna Bargielska

Poetka, prozaiczka. Dwukrotnie otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia – za tom *Dwa fiaty* (2009) oraz książkę prozatorską *Obsoletki* (2010). Ostatnio opublikowała *Dziecko z darów* (2019)

Przewodnik po wybranych zaburzeniach psychicznych

Badania Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie pokazują, że ok. 25% Polaków doświadcza w ciągu swojego życia zaburzeń psychicznych. W zasadzie pewne więc jest to, że każdy z nas – nawet jeśli sam nie będzie zmagał się z zaburzeniami psychicznym – w którymś momencie spotka się z osobą, która ich doświadcza. Przyglądamy się zatem wybranym z najczęstszych zaburzeń, by dzięki podstawowej wiedzy móc zrozumieć chorych choć odrobinę lepiej

Opracowała: Ilona Klimek

Zaburzenie lękowe



Rodzaj nerwicy, jedno z najbardziej rozpowszechnionych zaburzeń psychicznych, stale cierpi na nie ok. 2–5% populacji, a w którymś momencie swojego życia doświadczy ich 15–20%: częściej kobiety, nierzadko dzieci, zwłaszcza w rodzinach skonfliktowanych. Lęk

pojawia się w postaci przewlekłego lub okresowo nasilającego się stanu, a także w formie nagłych napadów. Najczęściej trudno wskazać jego przyczynę. U większości pacjentów dominują napięcie i trwoga, trudno im znaleźć sobie miejsce, narzekają na liczne dolegliwości układów krążenia i oddechowego, niejednokrotnie szukając jedynie somatycznego ich podłoża. Jedną ze szczególnych postaci lęku są tzw. *panic disorder*, czyli gwałtowne napady lęku, które trwają zazwyczaj od kilku minut do kilku godzin i paraliżują, sprawiając, że doznająca ich osoba ma poczucie zbliżającej się katastrofy. Zaburzenia lękowe mogą też przybierać formę fobii, gdy mamy do czynienia z lękiem w określonych sytuacjach lub podczas kontaktu z pewnymi przedmiotami.

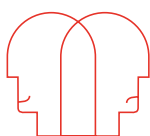
Schizofrenia



Uznawana za jedno z najcięższych zaburzeń psychicznych, cierpi na nią ok. 1% populacji, często stygmatyzowana, co nieślusownie prowadzi do odbierania podmiotowości chorym, którzy przecież – mimo zaburzeń – nie są po prostu schizofrenikami, tylko nadal w pierwszej kolejności ludźmi. Schizofrenia aż

do końca XX w. była rozpatrywana w odmiennym paradygmacie niż medyczny, np. w kontekście religijnym, moralnym, prawnym czy społecznym. Termin „schizofrenia” bliski dzisiejszemu rozumieniu wprowadził w 1911 r. szwajcarski psychiatra Eugeniusz Bleuler, by określić zaburzenia polegające na rozszepieniu psychicznym utrudniającym spójny ogląd rzeczywistości. Podstawowy wyróżnik zaburzeń schizofrenicznych stanowi właśnie dezintegracja psychiczna, która decyduje o dysfunkcjonalności przeżyć i reakcji chorego w stosunku do wewnętrznych i zewnętrznych potrzeb. Schizofrenia najczęściej objawia się m.in.: urojeniami, omamami, brakiem wglądu dotyczącego swojego stanu psychicznego, formalnymi zaburzeniami myślenia, niedostosowaniem do rzeczywistości społecznej, wahaniami nastroju i zaburzeniami jaźni.

Zaburzenia afektywne dwubiegunowe



Dotyczą ok. 3–5% populacji, „klasycznym” przykładem tego spektrum zaburzeń jest choroba afektywna dwubiegunowa (ChAD), w której przebiegu występuje jeden lub więcej epizodów maniakałnych. U większości epizody depresji dominują jednak nad manią. Mniej więcej u 60% osób choroba rozpoczyna się depresją. Podczas epizodu manii chorzy m.in. podejmują pochopne i ryzykowne decyzje (np. o rozwodzie czy zmianie pracy), popadają w stowotok i nadmierne pobudzenie psychoruchowe, nawiązują przelotne relacje, również seksualne, czy nadużywają alkoholu. Natężenie manii określane jest w skali od łagodnej hipomanii do szata maniałnego. ChAD jest uważana

za chorobę, w której duże znaczenie odgrywają czynniki biologiczne, w tym genetyka, natomiast mniejsza jest rola czynników stresogennych. Badania osobowości przedchorobowej pokazały, że ChAD pojawia się częściej u osób z takimi cechami, jak ekstrawersja, syntonizm (chętne i łatwe budowanie bliskich relacji), cyklotymia (skłonność do łagodnych wahań nastroju i aktywności).

Zaburzenia depresyjne



Pierwsze opisy depresji zawierają prace Hipokratesa, który określał ją terminem „melancholia”. Natomiast prekursor nowoczesnej klasyfikacji chorób afektywnych był J.P. Falret, który opisał depresję oraz stany mieszane.

Problem depresji dotyczy ok. 6% populacji, dwukrotnie częściej kobiet niż mężczyzn. Chorobę wywołują zwykle trzy (w różnych proporcjach) czynniki: predyspozycje genetyczne, fizyczny stan organizmu oraz stresujące wydarzenia życiowe (te zwykle są główną przyczyną pierwszego epizodu depresyjnego). Za podstawowe wyznaczniki diagnostyczne uznaje się niemiłą przez co najmniej 14 dni zaburzenia nastroju – smutek i przygnębienie; obniżenie percepcji emocjonalnej – niemożność cieszenia się sprawami, które kiedyś sprawiały przyjemność; poczucie wyczerpania i utraty energii. O depresji tak pisał Antoni Kępiński: „Czas depresji jest złym czasem, od którego chciałoby się uciec, ale nie ma gdzie; chory jest w nim zamknięty, przegnieciony przeszłością, teraźniejszością i bez perspektyw przyszłości. W czasie tym niewiele się dzieje; przeżycia monotonnie obracają się koło tych samych wątków”.

Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne



Zespół natręctw charakteryzujący się obecnością nawracających, uporczywych myśli – obsesji, np. myśl o skrzywdzeniu dziecka u kochającej go matki czy o agresywnym zachowaniu u osoby spokojnej, i/lub przymusowych czynności – kompulsji, np. dotyczących zachowania czystości, sprawdzania kolejności czy wykonywania pewnych gestów. Nasilenie objawów bywa bardzo różne, w skrajnych przypadkach chory nie jest w stanie podejmować podstawowych czynności życiowych, ponieważ uniemożliwiają mu to natrętne rytuały oraz rodzące się w głowie obsesje. U osób zmagających się z tym

rodzajem zaburzeń dominuje myślenie abstrakcyjne, magiczne, symboliczne, które stanowi zazwyczaj tło dla rozdrabniania i „przeżuwania” każdego fragmentu rzeczywistości. Mimo że chorzy starają się przeciwstawiać swoim obsesjom i kompulsjom, to im bardziej koncentrują się na myśleniu o danej rzeczy, tym silniej i dotkliwiej ona powraca.

Reakcja na ciężki stres i zaburzenia adaptacyjne



Kategorię zespołu stresu pourazowego (PTSD) wprowadzili w 1980 r. Amerykanie badający weteranów wojny w Wietnamie i Korei. Zgodnie z dzisiejszą wiedzą, wystąpienie PTSD poprzedza wyjątkowo silny czynnik stresowy, np. zagrożenie śmiercią czy poważnym zranieniem. Osoby dotknięte traumą ponownie wspominają uraz (np. poprzez natrętne myśli czy koszmary sennie), unikają bodźców wywołujących temat (mogą temu towarzyszyć: paraliż emocjonalny, niemożność przeżywania uczuć, izolacja od ludzi) oraz wykazują nadmierną pobudliwość (bezsennność, drażliwość, wybuchy gniewu, trudności z koncentracją). U części pacjentów po ciężkim stresie następuje trwała zmiana osobowości. Zaburzenia

adaptacyjne mogą natomiast wystąpić u osób podatnych na wydarzenia stresowe, które jednak – w przeciwieństwie do doświadczających PTSD – nie przeżyły czegoś, co w ogólnie przyjętym rozumieniu wykracza poza ludzkie doświadczenie. Sytuacje związane z zaburzeniami adaptacyjnymi mogą – choć nie muszą – być negatywne, należą do nich np. śmierć kogoś bliskiego lub rozstanie z bliską osobą, zmiana miejsca pracy lub zamieszkania czy choroba somatyczna.

Zaburzenia spowodowane nadużywaniem substancji psychoaktywnych



Zaburzenia związane z nadużywaniem alkoholu, opiatów, kanabinoli (np. marihuany), leków uspokajających i nasennych, kokainy, substancji psychostymulujących (np. amfetaminy, kofeiny), substancji halucynogennych, wyrobów tytoniowych czy lotnych rozpuszczalników. Do nadużywania substancji dochodzi, gdy przyjęcie danego środka zaczyna dominować nad wcześniejszymi zachowaniami, które miały niegdyś dla pacjenta dużą wartość. Najważniejszymi objawami uzależnienia są głód, czyli pragnienie spożycia bądź zastosowania substancji, oraz „pamięć” – tzn. cecha polegająca na tym, że przyjęcie substancji nawet po długim okresie abstynencji powoduje nawrót objawów. To właśnie dlatego wielu ludzi, którzy zmagali się z uzależnieniem od alkoholu, po przejściu terapii odwykowej decyduje się już zupełnie nie sięgać po używkę. W ostatnich latach odchodzi się od stosowania określenia „uzależnienie” w stosunku do części osób przyjmujących substancje psychoaktywne, mówi się natomiast o szkodliwym ich używaniu bądź nadużywaniu.

Zaburzenia odżywiania



Do najczęstszych zaburzeń odżywiania należą jadłowstręt psychiczny, czyli anoreksja, oraz żarłoczność psychiczna, nazywana bulimią. Z ich powodu cierpi ok. 8–9% społeczeństwa, a śmiertelność w tej grupie jest bardzo wysoka, bo sięga aż 20%. Mimo to dzięki leczeniu i terapii

(zwłaszcza poznawczo-behawioralnej) objawy ustępują u zdecydowanej większości chorych. Anoreksji i bulimii bardzo często towarzyszą depresja i/lub zaburzenia lękowe. Wśród zaburzeń odżywiania można także wyróżnić grupę niespecyficzną, nie w pełni sklasyfikowaną, do której umownie zalicza się m.in.: zespół gwałtownego objadania się, zespół jedzenia nocnego, ortoreksję – obsesję na punkcie zdrowego odżywiania, oraz bigoreksję – obsesję na punkcie postrzegania własnego ciała, powodującą dysmorfię mięśniową, tzn. ciągłe poczucie niezadowolenia z osiągniętych efektów treningu i potrzebę zwiększania masy mięśniowej.

Korzystałam z: *Psychiatria. Podręcznik dla studentów medycyny*, red. Marek Jarema, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2016
Psychiatria. Podręcznik dla studentów medycyny, red. Adam Bilikiewicz, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2006

Jestem tu dzisiaj dla ciebie

Karolina Zalewska-Lunkiewicz

w rozmowie z Urszulą Pieczek

Jeśli się decydujemy, że chcemy poświęcić chwilę i wesprzeć osobę w depresji, musimy nie tylko wygospodarować na to czas, ale też mieć świadomość, że to może nie być łatwe

Z *Dlaczego mamy trudność w rozmawianiu o zdrowiu psychicznym?*

Po pierwsze, temat zdrowia psychicznego jest uważany za wstydliwy. Łatwiej przyznać się do chorowania somatycznego, np. grypy, lub operacji kardiologicznej niż do hospitalizacji z powodu kryzysu psychicznego. Po drugie, często termin „zdrowie psychiczne” wprowadza się w skojarzeniach mimo wszystko do terminów mu przeciwnych – „zaburzenia psychicznego” czy „choroby”. A pojęcie choroby psychicznej jest silnie stygmatyzujące. Proces stygmatyzacji osób z zaburzeniami psychicznymi to zjawisko nadal powszechne, zresztą nie tylko w Polsce.

Z *Na czym polega?*

Gdy dochodzi do stygmatyzacji, wszelka odmienność od tzw. normy dotyczącej stanów psychicznych zaczyna być rozumiana jako coś niebezpiecznego. Społeczeństwo odsuwa się od osób, które inaczej postrzegają świat i inaczej na niego reagują. Stygmatyzacja utrzy-

muje się na wysokim poziomie m.in. dlatego, że nadal brakuje dobrej edukacji i profilaktyki w tym zakresie: nie mówi się wiele o zdrowiu psychicznym w szkole. Za godny naśladowania przykład może posłużyć norweski system edukacji – dzieci oczywiście nie poznają psychopatologii, ale uczą się nazywać swoje emocje i wiedzą, że czasem można doświadczać trudności w myśleniu i przeżywaniu, że osoby, które przez nie przechodzą, nie muszą być traktowane jako gorsze; dowiadują się, co jest dla dobrego nastroju ważne.

Inną przyczyną stygmatyzacji jest język stosowany przez media. Prócz takiej sytuacji, gdy zachowuje ktoś wokół nas, o temacie choroby psychicznej dowiadujemy się najczęściej, kiedy w przestrzeni publicznej wydarzy się coś złego. Przykładem jest atak na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Całe rozumienie tej sytuacji media oparły na chorobie psychicznej, schizofrenii sprawcy. Zachowanie agresywne automatycznie kojarzone jest wówczas z chorobą psy-

chiczną, więc poruszanie tematu zaburzeń psychicznych wzbudza niepokój.

Z *Proszę powiedzieć o tym, czym jest zdrowie psychiczne.*

Zdrowie psychiczne można ujmować np. jako poczucie komfortu psychicznego, dobrostan psychiczny, utrzymywanie dobrych relacji społecznych i uwarunkowania tychże. Opiera się ono na sprawnych procesach samoregulacji, m.in. umiejętności rozumienia swoich emocji, mówienia o nich i ich kontrolowania. Bywa, że od wczesnych etapów rozwoju nie uczy się nas, jak prawidłowo (lub że w ogóle można) wyrażać zróżnicowane stany emocjonalne, co skutkuje później napięciami kumulowanymi przez lata. Tak tworzą się blokady, które mogą się objawić w postaci zaburzenia definiowanego klinicznie. Kolejne aspekty zdrowia psychicznego to zdolność do wglądu i autorefleksji (rozumienia siebie), dobra samoocena, umiejętności radzenia sobie ze stresem, pokonywania frustracji, a także rezyliencja, czyli zdolność „odbijania się” od kryzysów, wychodzenia z nich silnymi. Wiele koncepcji dotyczących zdrowia psychicznego odnosi się do podatności na stres, a więc na pewne czynniki, które płyną do nas z zewnątrz. Kumulacja napięć z nich wynikających w powiązaniu z biologiczną podatnością powoduje utrwalenie określonych zaburzeń.

W jaki sposób temu zapobiegać? Należy edukować od małego, jak radzić sobie z napięciami, stresorami (czym one w ogóle są). Mówię tu o podstawach sta-

nowiących profilaktykę w zakresie dobrostanu psychicznego.

Z *Bogdan de Barbaro twierdzi, że we współczesnej kulturze istnieje tendencja do medycyzacji smutku. Innymi słowy – nie pozwala się go przeżywać jako naturalnej odpowiedzi na wydarzenia losowe, a od razu mówimy, że jesteśmy w depresji, dzieci przestają być po prostu niegrzeczne, tylko uważa się, że mają ADHD. Kiedy zasadne jest sięganie po pomoc psychologiczną czy psychiatryczną?*

Jako diagności często mamy problem z klasyfikowaniem tego, czy już powinniśmy mówić o zaburzeniu na poziomie klinicznym czy może jedynie o dysfunkcji w jakimś obszarze. Każdy z nas reaguje odmiennie, wyjściowo operujemy więc innym repertuarem zachowań i reakcji – osoby bardziej neurotyczne są skłonne do intensywnego przeżywania, przejmowania się trudnościami i lęku. U nich pojawia się dużo smutku, ale to nie oznacza, że już mają depresję – one po prostu takie są.

Sygnaty alarmowe dla depresji to pewna doza cierpienia i poczucie winy, które wydaje się zupełnie nieuzasadnione. Kiedy obserwujemy, że ktoś nie odczuwa przyjemności, energii i chęci do robienia czegoś, co wcześniej sprawiało radość, powinniśmy się zaniepokoić i sprawdzić kilka takich sygnałów. Jeżeli taka osoba niezależnie od zewnętrznych przyczyn mówi: „Nie mam siły, motywacji, żeby o siebie zadbać”, i obserwujemy u niej natężenie zachowań utrudniających wykonywanie codziennych obowiązków, powinniśmy to traktować poważnie.

Jeśli taki stan (według kryteriów) utrzymuje się dwa tygodnie, to dostateczny powód, by np. zachęcać do wizyty u lekarza pierwszego kontaktu, który może wskazać konsultację z psychologiem czy psychiatrą. Należy monitorować ten stan, po to aby nie rozwinął się do tego stopnia, kiedy konieczna będzie hospitalizacja.

Z *Myślę, że nie będzie przesadą, kiedy powiem, że każdy z nas miał kontakt z osobą z zaburzeniami depresyjnymi czy depresją. Odnoszę wrażenie, że mimo powszechności tego zjawiska depresja wciąż jest bagatelizowana, mylona z lenistwem, sprowadzana do fanaberii czy wymówki. Osoby chore słyszą komunikaty: „Weź się w garść”, „Nie przesadzaj, inni mają gorsze problemy”, „Przestań się nad sobą użalać” albo: „Zajmij się pracą, to ci przejdzie”. Skąd wynika takie przekonanie? Nie chcę wierzyć, że ze złej woli.*

Według raportów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) z depresją walczy dziś 350 mln osób na całym świecie. Depresja to cierpienie. Bagatelizowanie, o którym Pani mówi, po pierwsze, wynika z niewiedzy, jak odróżnić zaburzenie od np. lenistwa, które zarzuca się osobom z depresją. Po drugie, często szukamy prostych porad, bo chcemy pomóc. Wydaje nam się, że udzielenie wskazówki będzie dobre. Natomiast faktem jest, że osoby, które chorują na depresję czy schizofrenię, cierpią, ponieważ czują się niezrozumiane i trudno im nawiązać dialog z otoczeniem. Kiedy zatem słyszą pseudoporady takie jak: „Weź się w garść”, blokują się jeszcze bardziej. Bariera staje

się coraz większa, osoby w kryzysie psychicznym czują się wyizolowane i samotnione. Paradoks „prostego pocieszenia” polega więc na tym, że ich stan się nie poprawia, lecz może nawet ulec pogorszeniu.

Z *Jaki komunikat będzie zatem właściwy?*

Zamiast takich pseudoporad może lepiej byłoby powiedzieć: „Widzę, że coś dzisiaj cię trapi, opowiesz o tym?”, „Nad czym się zastanawiasz?”, „Zastanawiam się, co może być powodem, że nie masz ochoty, żeby wyjść”, „Rozumiem, że to jest dla ciebie trudne”, „Nie musimy od razu wychodzić do tłocznej restauracji, ale spędźmy czas razem”. Edukacja w tym kierunku byłaby pomocna każdemu z nas, moglibyśmy bardziej adekwatnie

reagować, rozumieć osobę doświadczającą zaburzenia, a nie mówić jej: „Dobrze wiesz, że leżenie w łóżku nic nie zmieni”. Owszem, nic nie zmieni, może pogłębić złe samopoczucie, ale kiedy przyjmujemy postawę kogoś, „kto wie lepiej”, to na pewno nie służy to tej drugiej stronie. Warto oprzeć się na takich argumentach: „Kiedy wstajesz z łóżka, zupełnie inaczej działa twój organizm”, „Może zaczniesz zauważać inne rzeczy, nie będziesz sama / sam ze swoimi myślami”, „Może to będzie dla ciebie pomocne”, „Spróbuj wstać, jestem tu dzisiaj dla Ciebie”. Ważne jest, by nie składać deklaracji bez pokrycia, obietnic, z których nie można się wywiązać, czyli jeśli mówimy: „Ja ci potowarzyszę”, to nie oznajmiamy za chwilę: „Muszę już iść, bo się umówiłam / umówiłem”. Jeśli się

decydujemy, że chcemy poświęcić chwilę i wesprzeć tę osobę, musimy nie tylko wygospodarować na to czas, ale też mieć świadomość, że to może nie być łatwe.

Z *Dlaczego pytanie o „dzisiaj” jest tak istotne?*

Działamy tu i teraz, bo dzięki temu na drugi dzień może się coś zmienić, przyjdzie moment, w którym ta osoba „zaskoczy”. Często jednak musimy się wykazać cierpliwością, w miarę regularnie pokazując naszą stałą gotowość na to, że gdy dla kogoś przyjdzie właściwy moment, to podejmiemy z nim dialog.

W psychoterapii bieżący stan pacjenta jest dla nas kluczowy. Na tym właściwie zasadza się idea leczenia terapeutycznego: na gotowości, czekaniu i zaangażowaniu,



□ Kadr z pierwszego sezonu *Terapii*, serialu, którego koncept opiera się na ukazaniu indywidualnych sesji psychoterapeutycznych pięciorga pacjentów
fot. Collection Christopher / East News

by wzmocnić poczucie stałości. W skrócie – jestem tu dla ciebie, choć może ty dzisiaj jeszcze nie jesteś gotowy / gotowa. Kiedy więc spotkam się z tobą za tydzień, to może coś się zmieni i zechcesz ze mną porozmawiać.

Daniel Fisher, znany amerykański psychiatra, który był kilkakrotnie hospitalizowany z powodu psychozy, wyraźnie mówi o tym, że dla niego lecącym czynnikiem okazała się świadomość, że ma wsparcie w kuchni. Kiedy Fisher podzielił się refleksją, że doświadczenie przebywania w szpitalu psychiatrycznym sprawiło, iż chce nieść pomoc chorym i zostać psychiatrą, jego kuzyn miał powiedzieć: „Tak, wierzę w ciebie, któregoś dnia ci się uda”. Zapewne stwierdził to na tyle autentycznie, że Fisher odczuł siłę tego wsparcia. To czynnik mobilizujący do wychodzenia z trudnych stanów – kuzyn był przy nim, Fisher mógł na niego liczyć, wiedział, że nie spotka się z oceną. Kiedy jesteśmy autentyczni i cierpliwi w przekazie, wtedy jesteśmy pomocni.

Z Inną postawą jest zrywanie kontaktu, często niewynikające z braku zainteresowania. Przeciwnie. Osoby mające w swoim otoczeniu chorego na depresję wycofują się, bo nie chcą urazić kogoś, kto na ich oczach się zasmuca i kruszeje.

Możliwe wówczas, że ktoś reaguje strachem, który może wiązać się z jego osobistym sposobem funkcjonowania i patrzenia na świat. Warto podkreślić, że każdy z nas jest inny i chyba nie istnieje ogólna porada, jeden złoty środek na to, jak postępować wobec osoby z depresją. Zachęcam jednak, by

się mobilizować, nie odpuszczać, nie wycofywać się. Jeśli nawet ktoś nie podejmuje dialogu, jedynie płacze, bądźmy obok. I najważniejsze: nasza wspierająca obecność nie oznacza, że my kogoś leczymy. Przestrzegalabym przed stawianiem sobie za cel bycie lekarzem osoby, która zmaga się z realnym zaburzeniem. Zadaniem bliskich jest wówczas zachęcać ją, by skorzystała z profesjonalnej pomocy, a nie odrabiać pracę za specjalistów, bo często bliscy nie posiadają do tego kompetencji. To, co mogą dać, to autentyczne wsparcie, gotowość, towarzyszenie, cierpliwość oraz zachęcanie, by taka osoba poszukała pomocy.

Z *Osobom cierpiącym na depresję, będącym w głębokim smutku, wydaje się, że ten stan nie minie. Depresja jest uleczalna, ale jednak nadal często można usłyszeć, że choroby psychicznej nie da się wyleczyć.*

To mit, który często dotyczy zwłaszcza schizofrenii. Niektórzy psychiatrzy stoją na stanowisku, że to choroba nieuleczalna, ale przecież jest bardzo wiele przypadków wyleczeń – byli pacjenci doskonale sobie radzą po ciężkich epizodach psychozy, mają długie okresy remisji. Jeśli np. przez 20 lat funkcjonują bez objawów, to czy nie możemy uznać, że zostały wyleczone? Oczywiście zawsze jest ryzyko, że kolejny epizod nastąpi, ale to nie znaczy, że nie jesteśmy w stanie opanować tych stanów poprzez leczenie – w wielu przypadkach można to zrobić i ludzie żyją pełnią życia, bez większych trudności.

Nie możemy oczekiwać, że każdy w społeczeństwie będzie ekspertem w zakresie psychopa-

tologii i będzie znał odpowiedź na pytania dotyczące trwałości depresji czy schizofrenii. Epizod depresji może przyjmować kilka poziomów ciężkości, a także współtowarzyszyć innym typom zaburzeń. Jedni przechodzą depresję w cięższy sposób, epizody powracają w krótszych odstępach czasu, są uporczywe, u innych jednorazowe i można je opanować. Nie można zatem generalizować, bo tak naprawdę depresja ma wiele twarzy, manifestuje się na różne sposoby i dużo zależy m.in. od indywidualnej podatności, osobowościowego podłoża, stylu życia, a także od zaburzeń współwystępujących, jak zaburzenia osobowości (szczególnie chwiejnej emocjonalnie typu borderline), czy uzależnienia, zwłaszcza od alkoholu, które bardzo często idzie w parze z powracającymi epizodami depresyjnymi. Depresja może towarzyszyć również schorzeniom i stanom somatycznym. Osoby, które cierpią na niewydolność serca, miały udar lub doświadczyły zmian w obszarze ośrodkowego układu nerwowego, są narażone na wystąpienie epizodów depresyjnych. Okoliczności, w których depresja może się pojawić jako objaw towarzyszący albo choroba sama w sobie, jest całe spektrum.

Z *Poruszyła Pani bardzo istotny wątek. Mówi się: „W zdrowym ciele, zdrowy duch”, dlatego też pacjenci, którzy przeszli bardzo poważne operacje zakończone sukcesem, często automatycznie uważane są za osoby w pełni zdrowia. A przecież ciężkie choroby somatyczne nie pozostają bez śladu na psychice.*

Polska służba zdrowia powoli, ale coraz szerzej otwiera się



na przyjmowanie tego do wiadomości. Leczenie powinno odbywać się w formule holistycznej, tzn. z uznaniem że to, co się dzieje z ciałem, ma wpływ na psychikę (i odwrotnie). Nareszcie zatrudnia się psychologów na oddziałach somatycznych. W tej chwili np. nie ma jednostek leczniczych o profilu onkologicznym, w których nie byłoby możliwości konsultacji psychologicznych.

Posłużę się przykładem z mojego regionalnego podwórka – na każdym oddziale Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach pacjenci i ich rodzice mogą skorzystać z konsultacji psychologa dziecięcego, który oprócz własnej pomocy może również zasugerować konieczność dodatkowej konsultacji psychiatrycznej. Pacjent wypisany ze szpitala, jeśli to wyraźnie potrzebne, wychodzi z zaleceniem kontaktu ambulatoryjnego w poradni psychologicznej czy psychoterapii. Coraz więcej psychologów kształci się w obrębie psychologii chorób somatycznych i coraz częściej lekarze informują swoich pacjentów o możliwości skorzystania z pomocy psychologicznej. Pacjenci zupełnie inaczej przechodzą rekonwalescencję przy chorobach somatycznych, np. nowotworowych, kiedy są wspierani psychologicznie, ponieważ mogą otrzymać fachową pomoc, kiedy przestają wierzyć w to, że wyzdrowieją, kiedy tracą nadzieję. Innym przykładem znaczenia prowadzenia dialogu między psyche i somą jest opieka psychologiczna roztaczana nad pacjentami kardiologicznymi, zarówno tymi kwalifikowanymi do przeszczepu, jak i tymi po zabiegu kardiochi-

Nie twierdzę, że leki przepisuje się nadmiarowo, ale odnoszę wrażenie, że czasem tabletka to szybki środek na psychiczny ból

rurgicznym. Są oni diagnozowani przez psychologa i mogą korzystać z rozmowy psychologicznej, treningów relaksacyjnych redukujących poziom stresu.

Z *Poruszający reportaż Miłóść w czasach zarazy Janusza Schwertnera pokazuje olbrzymi problem ze zdrowiem psychicznym wśród nastolatków. Czy ta grupa wiekowa jest dziś szczególnie narażona na zaburzenia?*

Prawdopodobnie nie jest tak, że nagle współcześni nastolatki stali się bardziej problematyczni. Adolescencja i dorastanie to w kontekście faz rozwojowych człowieka czas krytycznych zmian – biologicznych, hormonalnych, które nie pozostają oderwane od kształtującej się psychiki, to preludium do stawiania się dorosłym. Pamiętajmy, że zmiany hormonalne mają wpływ na emocjonalność dojrzewającej młodzieży. Chcę przez to podkreślić, że to nie tyle nastolatek ma być w pełni świadomy tego, co się z nim dzieje, ile raczej rodzic, wychowawca powinien rozumieć, towarzyszyć mu w tych zmianach

i w razie potrzeby zadbać o to, by skorzystać z fachowej pomocy.

Nie sposób mówić o zdrowiu psychicznym młodzieży w oderwaniu od zmian środowiskowych – te czynniki są ze sobą ściśle związane. Pewne zmiany społeczno-kulturowe mogą wpływać na treść problemów współczesnej młodzieży i na to, że obecnie szczególnie trudno budować swoją tożsamość, uczyć się wchodzenia w świat. Czasem w tym gąszczu zmiennych informacji, bodźców, trendów nastolatki nie potrafią znaleźć punktu zaczepienia, tak kluczowego w okresie budowania osobowości.

Z *W reportażu Schwertnera pojawiły się też sformułowania, które mocno skrytykowało Polskie Towarzystwo Psychiatryczne, np. „faszerowanie lekami” czy „igranie z życiem pacjentów”. Czy reporterzy powinni unikać takich wypowiedzi, ponieważ podważają one zaufanie do leczenia psychiatrycznego?*

W mediach często pojawiają się słowa bardzo ekspresyjne, mające zwrócić uwagę widza, słuchacza, czytelnika. O ile spełniają funkcję tylko „wykrzyknika”, nie mam nic przeciwko, ale kiedy nieostrożnie osądzają bez wnikliwej analizy, to chcę powiedzieć: „Stop”. Zdarzają się nadużycia tak w psychiatrii, jak i innych obszarach opieki (nieprzymienne historie na temat ośrodków adopcyjnych czy domów dla seniorów są nam znane), i dobrze, kiedy media rzetelnie nagłaśniają sprawę. Problem jednak w tym, że aby stwierdzić fakt „faszerowania lekami”, potrzebna jest specjalistyczna wiedza, więc w tej kwestii

mógłby się wypowiedzieć uczciwie lekarz (lub dla zwiększenia obiektywizmu – kilkoro lekarzy). Wspomniałam już o mediach i o tym, że pewien sposób prezentowania informacji sprzyja stygmatyzowaniu samych pacjentów, może też sprzyjać czynieniu psychiatrii bardziej ponurą czy wręcz przemocową, co tym bardziej będzie zniechęcało ludzi do leczenia. Ważne jest więc przekazywanie informacji na temat konkretnego przypadku tak, by unikać generalizacji.

Z *Czy istnieją w Polsce jakieś pilotażowe programy dotyczące zdrowia psychicznego np. w szkołach albo w mniejszych ośrodkach miejskich?*

Raczej nie na dużą skalę. Zasadniczo szeroko pojęta edukacja dla zdrowia włączona jest w podstawę programową w szkołach, ale treści wplatane są w różne lekcje, podczas których brakuje czasu na ich dokładne omówienie. Być może niektóre szkoły próbują wprowadzać tego typu zagadnienia bardziej szczegółowo i w sposób zwarty na godzinach wychowawczych w ramach programu wychowawczo-profilaktycznego. Najczęściej programy profilaktyczne dla młodzieży i dzieci w zakresie zdrowia psychicznego dotyczą problematyki sięgania po środki psychoaktywne. Te działania mają najdłuższą tradycję, są spopularyzowane. Pojawiają się także próby poruszania problematyki przemocy. Natomiast o zaburzeniach: depresji, schizofrenii czy zaburzeniach lękowych, się nie mówi lub mówi się w szkołach rzadko. Na poziomie ogólnospołecznym pojawiają się kampanie takie jak *Schizofrenia* –

otwórzcie drzwi czy *Wiele twarzy depresji* popularyzujące informacje o zdrowiu psychicznym, lecz to nadal za mało. Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale niewiele mówi się w Polsce o zdrowiu psychicznym i zaburzeniach psychicznych w tzw. normalny sposób. Od 2018 r. trwa projekt pilotażowy stworzenia sieci Środowiskowych Centrów Zdrowia Psychicznego (ŚCZP), które miałyby zapewniać łatwy dostęp do kompleksowej pomocy psychiatrycznej, psychologicznej i społecznej blisko miejsca zamieszkania osoby potrzebującej. W założeniu Centra miałyby opierać się na idei szybkiej interwencji, dostępnej, zanim rozwinie się poważny psychologicznie kryzys. Dotychczas na 314 powiatów, blisko 2,5 tys. gmin w Polsce zgodnie z internetową mapą Centrów (dostępna na stronie: www.czp.org.pl), powstało ich 29 i obejmują 27 powiatów, 6 dużych miast i dodatkowo niespełna 10 gmin. W kwietniu 2020 r. Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej ogłosiło konkurs z funduszy Unii Europejskiej na sześć takich Centrów na terenie kraju, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży. To pokazuje, że dopiero powoli rozwijają się w Polsce systemowe regulacje i programy dotyczące opieki w zakresie zdrowia psychicznego.

Z *A przecież, mówiąc pół żartem, pół serio, podobno „każdy z nas jest zaburzony, ale nie każdy jest zdiagnozowany”.*

To stwierdzenie dotyczy pojęcia normy, która ma szczególne znaczenie w psychologii i psychiatrii. A kto wie, czym jest norma? Zaburzenie to odbieganie od pewnego wzorca, który przecież sami kreu-

jemy. Albo odbieganie od naszych przekonań kulturowych, które w innym obszarze świata mogą nie być takie same. Norma to także kryterium ilościowe. Prawie każdy z nas ma pewne elementy neurotyczne, ekstrawertyczne, każdy z nas może w jakimś momencie życia potrzebować wycofać się ze społecznej aktywności. Wszystko jest w takim ujęciu uzależnione od natężenia cechy, zachowania, chroniczności wzorca oraz odpowiedzi na pytania: czy cecha umożliwia adaptowanie się do otoczenia? Czy pozwala nie czuć się w tym świecie wyalienowanym, wyobcowanym? Pojęcie normy jest więc względne. Diagnoza dotycząca zaburzenia pojawia się w którymś momencie na kontinuum, ale znowu to, czy natężenie jakiejś właściwości będziemy rozpoznawać jako zaburzenie, związane jest z tym, jakie jej nasycenie w naszej kulturze uznajemy za normę, a jakie już nie. — **Z**



foto: z archiwum Karoliny Zalewskiej-Łunkiewicz

Karolina Zalewska-Łunkiewicz

Dr, psycholożka, terapeutka pracująca w nurcie psychodynamicznym, socjoterapeutka. Adiunkt w Zakładzie Psychologii Klinicznej i Zdrowia na Wydziale Psychologii SWPS Uniwersytetu Humanistycznospołecznego Filia w Katowicach. Interesuje się aspektami rozwoju osobistego. Bada dorosłych i młodych dorosłych doświadczających hospitalizacji psychiatrycznej w kontekście radzenia sobie z zadaniami rozwojowymi i podejmowaniem ról płciowych

Historia psychiatrii, czyli pole minowe

MIRA MARCINÓW

Obłąkanych w okresie przedpsychiatrycznym odnajdziemy w najróżniejszych miejscach. Są w przytułkach u braci miłosierdzia, w Tollhäuserach (domach wariatów) i w „szalonych kamienicach”. Przez wieki szaleniec będzie zmieniał swój status, raz jako opętany, innym razem jako „święty”, czarownica czy „wioskowy głupek”

HISTORIĄ PSYCHIATRII ZAJMUJĘ SIĘ systematycznie od kilkunastu lat, a mimo to opowiadanie o początkach tej dyscypliny, śledzenie sposobów kształtowania się pojęcia choroby psychicznej i przywoływanie najważniejszych wydarzeń z dziejów szpitali psychiatrycznych wciąż nastrocza mi wielu trudności. Sama historia psychiatrii jest bowiem stosunkowo nową i niespokojną dziedziną wiedzy. Co więcej, stanowi ona, jak zauważa znany badacz przeszłości nauki o zaburzeniach psychicznych Edward Shorter, „istne pole minowe”. Tu wystarczy jedno nowe odkrycie, jeden nowy dokument, a rozbita zostanie w proch cała argumentacja danego historyka psychopatologii. W żadnym innym dziale historii medycyny nie znajdziemy też tak burzliwych polemik między

specjalistami, tylu sporów, przeciwstawnych obozów i wykluczających się wizji przeszłości badanej dyscypliny co tutaj.

W licznych nieporozumieniach dotyczących korzeni psychiatrii zastanawia mnie kwestia, w jakim stopniu spory o przeszłość tej dyscypliny wiedzy i praktyki w istocie maskują konflikty dotyczące jej statusu we współczesnym świecie. Szczególnie odpowiedź na pytanie o początki myślenia psychiatrycznego stanowi wsparcie dla poglądów głoszonych przez zwolenników bądź przeciwników psychiatrycznego sposobu klasyfikowania i leczenia osób cierpiących psychicznie. W badaniach nad kształtowaniem się pojęcia choroby psychicznej chodzi zatem nie tyle o wojnę wczorajszą, ile o dzisiejszą. Zwykle nie dostrzegamy niebezpieczeństw zawartych w języku tej dyscypliny. Lecz taki język nie jest niewinny.

Myślę, że właśnie dlatego tak trudno przejść z metaopowieści do samej opowieści o historii psychiatrii. Ilekroć zbliżam się do opisu jakiegoś wydarzenia z przeszłości szpitali psychiatrycznych, napotykam mur niejednoznaczności. To nie jest prosta historia, jeśli takie w ogóle istnieją. Jednak w drapieżnym skrócie można by przecież dzieje psychiatrii przedstawić dość łatwo. Historia ta zaczynałaby się pod koniec XVIII w. w paryskich szpitalach Salpêtrière i Bicêtre. Pierwszymi jej bohaterami byłiby twórcy „terapii moralnej”: Philippe Pinel – uważany za ojca psychiatrii, William Tuke – założyciel nowoczesnej instytucji dla chorych umysłowo Retreat w Anglii i działający we Florencji Vincenzo Chiarugi. Następnie na scenę wkraczałby obóz przeciwny: somatycy, którzy chorobę umysłową rozumieją jako zaburzenie uwarunkowane wyłącznie zmianami w ciele, zwolennicy

Gehirnmythologie (mitologii mózgowej), z Wilhelmem Griesingerem na czele. Kolejno pojawiliby się freudyści ze swoim wywrotowym sposobem myślenia o chorobach umysłowych i z uwzględnianiem nieświadomości. A po nich następni rewolucjoniści: ci od zwrotu psychofarmakologicznego, a dalej ci od antypsychiatrii. Opowieść kończyłaby się dzisiaj, gdy nie mamy zintegrowanej wizji psychiatrii, lecz wiele zwalczających się podejść. Dlaczego więc chcący zrozumieć przeszłość psychiatrii głębiej, niż proponują to popularnonaukowe komiksowe opisy historii psychiatrii, nie mogą poprzestać na tym skrócie?

Niektórzy twierdzą, że historia szpitali psychiatrycznych stwarza szczególnie podatne pole dla chwytliwych koncepcji mówiących o tym, że psychiatria powstała, by zamykać w tych cieszących się złą sławą instytucjach wszystkich, którzy zakłócają porządek społeczny: odmieńców, buntowników, osobników w jakiś sposób niewygodnych politycznie. W tej interpretacji nie chodzi już nawet o zaszyfrowane w dyskusjach nad wartością psychiatrii spory o jej przeszłość i teraźniejszość, ale o znacznie szersze debaty na tematy społeczno-polityczne. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że historia psychiatrii stała się jednym z narzędzi rozwiązywania współczesnych konfliktów. A odmienne wizje przeszłości omawianej dziedziny biorą się z obecnej niezgody na jedną spójną definicję pojęcia normy i zaburzenia psychicznego.

Po jednej stronie tej batalii stoją więc zwolennicy klasycznej historii psychiatrii (zwanej również akademicką), którzy silnie podkreślają jej rozwojowy charakter, a choroby psychiczne traktują jak wszystkie inne choroby somatyczne. Z takiego podejścia wyłania się obraz psychiatrii jako nauki opartej na gromadzeniu faktów o zaburzeniach psychicznych. Przeciwnicy takiego myślenia – nieklasyczni historycy psychiatrii (nazywani również rewizjonistami) – chorobę umysłową traktują nie tyle jako „realną chorobę”, ile jako konstrukt społeczny. To ujęcie krytyczne wobec wizji postępu wiedzy w psychiatrii. Obydwa obozy toczą zażartą walkę, która w równej mierze dotyczy przeszłości psychiatrii, jak i jej teraźniejszości. Ta walka również ma swój specyficzny początek.

Moda na historię psychiatrii

OSOBLIWA MODA NA HISTORIĘ PSYCHIATRII POJAWIŁA SIĘ WRAZ Z ROZKWITEM ruchu antypsychiatrycznego, będącego odrodzeniem idei romantycznych, kiedy to obłęd był ujmowany w kategoriach katalizatora zachowań twórczych. Za inicjatora krytycznego podejścia do dziejów psychiatrii uważany jest węgierski psychoanalityk Thomas Szasz. Początki tego nurtu przypadają na lata 60. XX w. Wtedy to wydano sztandarowe dzieło Szasza *Mit choroby psychicznej*, gdzie wyrażony został sprzeciw wobec psychiatrów. Sprzeciw ten nie dotyczył jednak ich nadzoru nad pacjentami, ale tego, że nazywali siebie naukowcami. Ojciec antypsychiatrii proponuje, by wyrażenie „choroba psychiczna” potraktować jako metaforę, figurę językową i na jej miejsce wprowadzić eufemistyczne określenie „zaburzenia psychicznego”. Miał być to pierwszy krok na drodze obalenia głównych fałszywych kon-

struktów myślowych współczesnej psychiatrii.

Podwaliny pod koncepcje antypsychiatryczne na płaszczyźnie praktycznych działań położyła kontrowersyjna organizacja scjentologiczna. Założył ją w roku 1951 Lafayette Ronald Hubbard jako swoistą alternatywę dla psychologii, psychoterapii i właśnie psychiatrii, a zatem dla dziedzin, które według nauk scjentologów miały przyczynić się do śmierci wielu ludzi. Prawdziwie leczące były zgodnie z tym podejściem jedynie tzw. technologie Hubbarda. Kościół scjentologiczny w swych początkach zasadzał się więc na ataku m.in. na psychiatrię. Dopiero następna dekada przeniosła ową krytykę na płaszczyznę teoretyczną. I choć sama antypsychiatria niejednokrotnie odcinała się od scjentologii, to obydwie ruchy połączyły swe siły, by stosunkowo niedawno, bo w roku 2005, otworzyć w Los Angeles szokujące muzeum „Psychiatria: Przemysł Śmierci”, poświęcone mrocznej stronie nauki o terapii osób chorujących psychicznie.

To właśnie powyższe zjawiska doprowadziły do przewrotu w historycznych badaniach nad psychiatrią, która odtąd przestała być postrzegana w tradycyjny sposób: w kategoriach rozwoju i kumulacji wiedzy o osobach chorujących psychicznie i sposobach ich leczenia. Przyczyniła się do tego jeszcze jedna niezwykle ważna postać: Michel Foucault, którego myśl konwencjonalnie opatrywano etykietą antypsychiatrii, czemu zresztą sam autor *Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu* 

To w hipnozie upatruje się najczęściej bliskiej poprzedniczki psychoanalizy, a co za tym idzie, psychoterapii

konsekwentnie się sprzeciwiał. Foucault nie tyle zastanawiał się bowiem nad realnością choroby umysłowej, ile sugerował, że posługiwanie się tym określeniem jest niebezpieczne. Przypisuje się mu trzecią drogę w podejściu do historii psychiatrii, obok klasycznego i antypsychiatrycznego widzenia dziejów tej dziedziny. Foucault stał na najbliższym mi stanowisku problematyzacji pojęcia choroby psychicznej. Wskazywał, że nie można go używać niewinnie, podobnie jak trudno pisać o prostym postępie w historii nauki o zaburzeniach psychicznych. Co więcej, wywołał swoiste zamieszanie wokół wartościowania samych narodzin psychiatrii, o którym to zamieszaniu muszę napisać nieco więcej.

Mit początków psychiatrii nie mógł być przyjmowany z tą samą naiwnością co historie narodzin innych dziedzin wiedzy medycznej, również z powodu oczywistego związku psychiatrii z psychoanalizą. Szczególnie że twórca tej drugiej zasłynął z rewizjonistycznej wizji historii i przywiązania do prowadzenia demaskatorskich badań nad początkami jako kluczem do zrozumienia danego zjawiska. Z podejrzliwością wobec przeszłości wiąże się szczególnie

jeden z tekstów Zygmunta Freuda *Romans rodzinny neurotyków* (*Der Familienroman der Neurotiker*) z roku 1909, gdzie przedstawiona zostaje fantazja dziecka o byciu adoptowanym. Jak zauważa Maria Janion, „Freuda najbardziej fascynował *Familienroman*, czyli scenariusz jednego z podstawowych fantazmatów, dotyczący początków i pochodzenia”.

Trudne początki psychiatrii

TYM TRUDNIEJSZA ROBI SIĘ ODPOWIEDŹ NA PYTANIE, jak narodziła się psychiatria. Już w sam kontekst powstania nowoczesnego szpitala psychiatrycz-

nego wpisana jest niejednoznaczność. Mamy rok 1793. Paryż po rewolucji francuskiej, w którym znajdujemy dwa szpitale ogólne (*hospitaux généraux*): Bicêtre przeznaczony dla mężczyzn i Salpêtrière dla kobiet. Status tych instytucji, w których trzymano głównie obłąkanych, był różny od innych szpitali. Miejsca te pełniły funkcje nadzorcze, a nie lecznicze. Rząd jako-biński powierza wówczas kontrolę nad obydwooma szpitalami stosunkowo młodemu, bo zaledwie 38-letniemu, lekarzowi – wspomnianemu Pinelowi. Ten z kolei w reformatorskim geście rozkuwa z kajdan obłąkanych w Bicêtre, co zresztą uwiecznione zostało na wielu obrazach. Warto jednak zaznaczyć, że samo polecenie wydał ówczesny dyrektor szpitala Jean-Baptiste Pussin. Dwa lata później Pinel ponawia ten ruch w Salpêtrière, gdzie pełni już funkcję dyrektora.

Ten symboliczny gest z roku 1793 stanowi osobiwy mit założycielski psychiatrii. Osobiwy, bo nie ma zgody co do tego, czy Pinel postąpił słusznie. W końcu francuski lekarz zastąpił łańcuchy kaftanami bezpieczeństwa. Lecz nie o środki przymusu tu chodzi, tylko o to, jak zinterpretować tak zarysowane narodziny psychiatrii. Jedni sądzą, że dopiero za sprawą Pinela dostrzeżono w szaleńcu już nie tyle zbrodniarza, ile człowieka chorego, cierpiącego, potrzebującego medycznej pomocy. Inni, przedstawiciele nieklasycznych historii psychiatrii, zdają się interpretować ten fakt zgoła przeciwnie: jako posiadający dla samych obłąkanych negatywny wydźwięk. Z jednej strony progresywna historia psychiatrii wskazuje na ten moment jako na początki psychiatrii uważanej od tej pory za samodzielną dyscyplinę wiedzy i humanitarną dziedzinę praktyk terapeutycznych. Z drugiej strony mamy hipotezę „wielkiego zamknięcia” autorstwa wzmiankowanego Foucaulta. Hipotezę mówiącą, że w dobie klasycyzmu dokonano masowego internowania wykluczonych, do których zaliczano szaleńców, a ich domniemany akt uwolnienia przez Pinela miał w istocie utrwalić izolację obłąkanych poprzez wykluczenie ich ze sfery rozumu. Po latach Foucault podczas wykładów w Collège de France nieco zmodyfikuje swoją interpretację rewolucji psychiatrycznej. Położy nacisk na kluczowy dla zrozumienia, czym jest psychiatria, problem władzy. Jednak wciąż Pinel, jako ojciec tej dyscypliny, będzie traktowany jako osoba, która posiada wiedzę, a zatem władzę nad obłąkanymi. Sztandarowa postać nowożytnej psychiatrii przestaje być bohaterem, a staje się przedstawicielem władzy dyscyplinarnej, będącej



□ Ilustracja przedstawiająca mesmeryzm pochodząca z książki Ebenezera Sibly'ego *A Key to Physics and the Occult Sciences* (Klucz do fizyki i nauk okultystycznych) wydanej w Londynie w 1794 r.

fot. Alamy / BE&W

warunkiem ukonstytuowania się wiedzy psychiatrycznej.

Protopsychoterapia – leczenie moralne

JEST JESZCZE JEDNA KONTROWERSJA związana z nazwiskiem ojca psychiatrii. Pinel – obok wspomnianego Tuke’a i Chiarugiego – uważany jest za twórcę terapii moralnej chorych umysłowo, zastosowanej po raz pierwszy pod koniec XVIII w. To Pinel wprowadził pojęcie *le traitement moral*, co przetłumaczono u nas jako terapię moralną właśnie. Znaczenie tego sformułowania odnosi się do leczenia umysłowego czy też psychologicznego, polegającego na celowym wykorzystywaniu relacji lekarz–pacjent i bezpośrednim wpływie na psychikę pacjenta. W podejściu tym, obejmującym rozmowę z pacjentem, klasyczni historycy psychiatrii dopatrywali się kroku naprzód w stosunku do wcześniejszych, brutalnych metod leczenia obłąkanych. Widzieli w nim prototyp psychoterapii. Przeciwna interpretacja wskazywała, iż był to w istocie krok do tyłu, który utorował drogę „moralnemu zarządzaniu” chorymi umysłowo i zahamował rozwój terapii somatycznej, w której poprzez zmiany organiczne dochodzi się do przywrócenia zdrowia psychicznego pacjenta. Według Pinela to jednak właśnie terapia moralna miała decydować o różnicy między nowoczesnymi zakładami psychiatrycznymi a zwykłymi przytułkami dla obłąkanych.

Nawet jeśli na moment odrzucić kontrowersje związane z jej warstwą interpretacyjną i pozostać na poziomie znajomości faktów, historia początków leczenia

chorych umysłowo wciąż nie jest prosta. Niektórzy historycy wykazują, że metodę terapii moralnej zastosował jako pierwszy – już w roku 1793 – Vincenzo Chiarugi z Florencji. W jego wykonaniu polegała ona na rozbudzaniu i pielęgnowaniu nadziei wśród chorych umysłowo. Twarde dowody w postaci pism poświęconych *le traitement moral* znajdujemy dopiero u Pinela, który w roku 1800 po raz pierwszy użył tego określenia. Jak pisze w swoim *Traktacie medyczno-filozoficznym*, pacjentów należy „poddąć swego rodzaju leczeniu psychologicznemu [*d’institution morale*], aby wykształcić i wzmocnić w nich władzę umysłową”.

Dalszy opis autorstwa Pinela wskazuje, że inspiracją dla stworzenia tej metody leczenia był sposób traktowania pacjentów, który przyjęła żona ówczesnego dyrektora szpitala w Bicêtre – Marguerite Jubline Pussin. Miała ona uratować kilku chorych psychicznie przed śmiercią głodową, zdobywając ich zaufanie. Pinel opisuje w traktacie sytuację, gdy madame Pussin – jak ją nazywa, nie zdradzając nigdzie jej imienia – przekonała do spożycia posiłku pacjenta będącego na skraju wyczerpania głodowego. Długo z nim rozmawiała, sama nieraz zachowywała się jak obłąkana, czym udało jej się pozyskać sympatię i ufność chorego. Według opisu samego ojca terapii moralnej metoda ta nie powstałaby bez inspirującego wpływu pani Pussin. W początki terapii moralnej wpisana więc została formacyjna rola kobiet. Podobnie jak w początki nurtu psychoanalitycznego, o których nieraz mówi się nieco humorystycznie (i mizoginistycznie), że psychoanaliza rozpoczęła się dzięki kobietom, pierwszym pacjentkom Freuda, które były na tyle gadatliwe, że przyczyniły się do stworzenia formuły, w której to pacjent mówi, a analityk słucha. Jednak udział kobiet, a właściwie konkretnej kobiety, w powstaniu terapii moralnej jest o wiele poważniejszy. Opierając się wyłącznie na relacji Pinela, można by napisać, że Marguerite Jubline Pussin była twórczynią *le traitement morale*. A opublikowany kilka lat temu w „The British Journal of Psychiatry” artykuł o początkach psychiatrii *The man behind Philippe Pinel: Jean-Baptiste Pussin* powinien nosić tytuł: „The woman behind Philippe Pinel: Marguerite Jubline Pussin”.

Nie sposób zyskać pełnego wyobrażenia o tym, jak wyglądało stosowanie techniki terapii moralnej. Jej niejasne początki mają też mglistą kontynuację w postaci spopularyzowania tej metody leczenia w Anglii przez kwakra Williama Tuke’a, któremu dziś zarzuca się naiwność i nadmierną wiarę w zwycięstwo siły woli nad chorobami psychicznymi. Niektórzy badacze historii psychopatologii przekonują jedynie, że „reformatorzy moralni, jak Tuke i Pinel, widzieli w szaleństwie załamanie wewnętrznej, racjonalnej dyscypliny chorego”. Inaczej niż przedstawiciele – uważanej za przeciwieństwo – terapii somatycznej, nazywanej również leczeniem fizycznym lub cielesnym, gdzie poprzez zmianę organiczną, bez moralizatorstwa, dochodzono do przywrócenia zdrowia psychicznego pacjenta. W historii idei leczenia chorych umysłowo szczególnie na terenie Francji doszło więc do podziału metod terapeutycznych na leczenie: moralne oraz fizyczne.

Warto zwrócić uwagę, że interesująca mnie idea terapii psychicznej trafiła na podatny grunt również w Stanach Zjednoczonych, gdzie Benjamin Rush (uważany za ojca amerykańskiej psychiatrii) prowadził pod koniec

XVIII w. rozważania na temat perswazji moralnej, wyprzedzając – zdaniem jego biografów – późniejsze koncepcje leczenia psychologicznego. Co więcej, ówczesne prowadzone badania statystyczne wykazały, iż skutki leczenia tym „naiwnym” (w naszych oczach) podejściem w szpitalu założonym przez Rusha niewiele różniły się od efektów uzyskiwanych we współczesnych, nowoczesnych instytucjach.

Dopiero jednak terapia moralna w rozumieniu badaczy z okresu niemieckiego romantyzmu antycypowała nowożytną psychoterapię. Znani pionierzy leczenia psychicznego: Johann Ch.A. Heinroth, Carl W. Ideler, Heinrich W. Neumann i inni, zwracali szczególną uwagę na rozmowę z chorym. I na odwoływanie się – podczas prekursorskich sesji *talking cure* – do pragnień, namiętności i poczucia winy, będących przyczyną cierpienia pacjenta. Tak rozumiana terapia psychologiczna dominowała do poł. XIX w., by następnie zostać niemal zupełnie wyrugowaną przez metody somatyczne. Warto zaznaczyć, że myślenie w kategoriach leczenia umysłowego powróciło do łask z końcem XIX stulecia. Jedno z pierwszych pism Freuda, pochodzące z 1890 r., a jednocześnie jego pierwsze dzieło poświęcone metodom terapii, dotyczyło właśnie kuracji psychicznej, a zatytułowane zostało *Terapia psychiczna (terapia duszy)*.

Protopsychotherapia – mesmeryzm i hipnoza

NAWET POWYŻSZA MINIOPOWIEŚĆ O POCZĄTKACH MYŚLENIA PSYCHIATRYCZNEGO i psychoterapeutycznego budzi liczne kontrowersje. Powszechnie przyjmuje się bowiem, że nowożytnej psychoterapii nie było przed psychoanalizą. Ta natomiast wyrosła z magnetyzmu zwierzęcego (mesmeryzmu), którego swoiste rozwinięcie w 2. poł. XIX w. stanowiła technika

hipnotyczna. Hipoteza mówiąca o tym, że psychoterapia tkwi korzeniami w wyżej omówionej terapii moralnej, budzi wiele kontrowersji, bo zwraca uwagę na związki psychoterapii z manipulacją, moralizatorstwem, społecznym nadzorem i umieszczaniem obłąkanego w sferze społecznego wykluczenia. Argument ten wielokrotnie podnosili krytycy psychoterapii, stąd zapewne tak trudno przedostać się tej hipotezie do głównego nurtu historiografii psychiatrycznej.

Lecz powtarzana opowieść o wprowadzeniu

psychoterapii do Francji dzięki Mesmerowi ma również punkty kontrowersyjne. Niemiecki lekarz Franz Anton Mesmer stworzył metodę, którą sam nazwał „magnetyzmem zwierzęcym”. W określeniu „zwierzęcy” (*animal*) chodziło mu o procesy, które zachodzą w świecie organizmów żywych. O podkreślenie, że jego doktryna dotyczy nie metali, ale materii żywionej. Pisał, że nośnikiem wzajemnego wpływu między ciałami niebieskimi i organicznymi jest fluid magnetyczny. Jego przepływy można odpowiednio kierować: wzmacniać je lub osłabiać. Mesmer na początku korzystał z namagnesowanych metali, które przeciągał wzdłuż ciała pacjenta w celu manipulowania fluidami. W roku 1774 nastąpiła zmiana w modelu terapii magnetyzmem. Wtedy to Mesmer zauważył, że jego ciało może również zachowywać się jak magnes. A właściwie stwierdził, że ciało lekarza jest najlepszym magnesem. W jego ujęciu terapia magnetyzmem polegała więc na oddziaływaniu na chorego poprzez wywołanie u niego specyficznego stanu snu magnetycznego, połączonego z konwulsjami (napadami). W tym celu stosował tzw. głąski mesmeryczne, rodzaj bezpośredniego oddziaływania magnetyzera na pacjenta. Warunkiem niezbędnym każdej terapii było doprowadzenie chorego do stanu, który objawiał się wspomnianym atakiem spazmów i paroksyzmów. Chodziło o kryzys (*crise*) – wstrząs, moment przełomowy, najcięższy etap w chorobie. A najlepszym sposobem na wywołanie tego kryzysu był właśnie magnetyzm zwierzęcy. Czyli wzmocnienie przepływu

Historia psychiatrii stała się jednym z narzędzi rozwiązywania współczesnych konfliktów. A odmienne wizje jej przeszłości biorą się z niezgody na jedną definicję pojęcia normy i zaburzenia psychicznego



■ Doktor Philippe Pinel nakazuje zdjąć kajdany chorym psychicznie kobietom przetrzymywanym w paryskim szpitalu Salpêtrière, rycina na podstawie obrazu Tony Roberta-Fleury'ego z 1795 r. fot. Alamy / BE&W

fluidu magnetycznego u chorego. Fluidu, który ożywia nerwy, czyniąc je drażliwymi. Te zaś, jeśli są osłabione, tzn. chore, pod wpływem magnetyzmu podatne są na wstrząsy.

Kiedy w roku 1778 Mesmer przyjeżdża do Paryża, to równie często co bezpośredni kontakt z pacjentem stosuje balię wypełnioną opilkami żelaza (*baquet de Mesmer*). Ten wynalazek umożliwił mu wprowadzenie osobiwej terapii grupowej. Z wanny wypełnionej opilkami wychodziły żelazne pręty. Wokół naczyń stawali pacjenci, trzymając tyki w rękach i pobierając leczniczy fluid. Zarówno przy głaskach magnetycznych, jak i w przypadku balii jedynym czyn-

nikiem leczącym według Mesmera był fluid magnetyczny. Spotkania z jego zastosowaniem, mające prowadzić do całkowitego wyleczenia, trwały zwykle pół roku bądź dłużej. Mesmer przekształcił swoją naukę w rodzaj mody. W owym czasie pisano o epidemii magnetyzmu zwierzęcego. O tym, że „wszyscy mesmeryzują”.

Według twórcy magnetyzmu zwierzęcego sama metoda leczenia była fizjologiczna. A zatem nie były brane w niej pod uwagę czynniki psychologiczne. Co więcej, Mesmer miał na swoim koncie wiele uzdrowień. Na jakiś czas stracił jednak zaufanie społeczne, gdy postawiono mu zarzut o nadużycia seksualne wobec 18-letniej pacjentki Marii Theresii Paradis cierpiącej na ślepotę histeryczną. Dla naszej historii początków ważne jest jednak co innego: to, co wówczas określano jako magnetyzm, i leczenie wywodzące się z magnetyzmu. W poł. XIX w. nastąpił poważny zwrot w ramach zachodnioeuropejskiej protopsychologii, kiedy to termin „magnetyzm zwierzęcy” został zastąpiony przez pojęcie „hipnotyzmu”. Swoje zastosowanie znalazły nowe techniki leczenia, gdzie zjawisko hipnozy było interpretowane na różne sposoby, m.in. przez psychologiczne rozumienie sugestii – zgodnie z wykładnią tzw. szkoły z Nancy. To w hipnozie bowiem upatruje się najczęściej bliskiej poprzedniczki psychoanalizy, a co za tym idzie, psychoterapii. I mimo że potocznie o hipnozie mówi się z nieufnością,

to wciąż te korzenie psychoterapii budzą mniej kontrowersji niż te Pinelowskie. Tam gdzie da się porównać psychoanalizę do terapii moralnej – jak to robi np. Jeffrey Masson w *Przeciw terapii* – tam jest ona stracona jako moralizująca, opresyjna siła.

Świat przedpsychiatryczny

WRACAJĄC DO GESTU ZAŁOŻYCIELSKIEGO PSYCHIATRII, JAK DO REFRENU tej opowieści o początkach myślenia w kategoriach norm i chorób psychicznych: o co chodzi z tym powtarzaniem jak mantra historii psychiatrii rozkuwaniem z kajdan obłąkanych, czyli jak wyglądało życie przed powstaniem psychiatrii?

Świat bez psychiatrii to rzeczywistość, wobec której nie możemy stosować pojęć zdrowia i choroby psychicznej. Choć obłąkanych w okresie przedpsychiatrycznym odnajdziemy w najróżniejszych miejscach. Są i u czubków, jak nazywano (od ich spiczastych kapturów) braci miłosierdzia, którzy tworzyli pierwsze przytułki dla obłąkanych. Znajdziemy ich również w Tollhäuserach (domach wariatów) i w „szalonych kamienicach” (jedną z pierwszych w Polsce stworzono w poł. XVII w. w Krakowie na ul. Szpitalnej 13). Przez wieki szaleniec będzie zmieniał swój status, raz jako opętany, innym razem jako „święty”, czarownica czy „wioskowy głupek”. Przed powstaniem nowoczesnych szpitali psychiatrycznych szaleńca traktowano przede wszystkim jak złoczyńcę stanowiącego zagrożenie dla społeczeństwa. Dylemat *mad or bad* (szalony czy zły?) rozwiązywano wobec obłąkanego na korzyść tego drugiego członku. Człowiek szalony był przede wszystkim niebezpieczny. Stąd te łańcuchy, w których zastał chorych umysłowo Pinel. Taka też była funkcja wielkich „szpitali ogólnych” – przytułków, o których była mowa. Trzeba było nadzorować tych, z którymi rodziny czy inne grupy społeczne nie potrafiły sobie dać rady. A nie leczyć. Dopiero właśnie pod koniec XVIII w. postawiono pytanie: jak zmienić domy wariatów w instytucje lecznicze? I padły pierwsze odpowiedzi: zastosować dyscyplinę, wprowadzić spokój, odbyć rozmowę. Nowa była też myśl, że samo przebywanie w szpitalu może mieć funkcję terapeutyczną. Choć wartość tego pomysłu wśród historyków psychiatrii wzbudziła nowe kontrowersje.

*

NA KONIEC CHCIAŁAM ZAZNACZYĆ, ŻE W TEJ SWOISTEJ POKORZE PISANIA o przeszłości psychiatrii nie jestem osamotniona. Henri Ellenberger w monumentalnej pracy poświęconej dziejom psychiatrii dynamicznej i idei nieświadomości zastanawia się nad złożoną przeszłością psychopatologii i pyta: czy jakakolwiek inna gałąź psychologii zawiera więcej legend oraz niedomówień niż historia psychoterapii? Ta retoryka miała zmusić samego autora i innych badaczy do bardziej systematycznych studiów i przemyśleń na temat dziejów psychiatrii i psychoterapii. Ale wciąż zdecydowanie za mało miejsca poświęca się historii tej dziedziny wiedzy i praktyki. Jakby nauka o osobach chorujących psychicznie i sposobach ich leczenia nie miała przeszłości, lecz wyłącznie przyszłość. Mam nadzieję, że udało mi się pokazać, iż jest inaczej. Mimo że podczas przygotowywania tego tekstu zdecydowanie

dotknął mnie tzw. efekt Dunninga-Krugera, polegający na tym, że jako osoba wykwalifikowana w historii psychiatrii zwątpiłam w to, że mogę cokolwiek o tej dziedzinie napisać, podczas gdy osoby niewykwalifikowane w niej mogłyby pisać z pewnością siebie, jak kształtowało się myślenie o chorobach psychicznych.

Pomimo tych problemów przychodzi mi do głowy refleksja płynąca z (nie)pisania o historii psychiatrii: skoro tak trudno opowiedzieć o historycznych początkach pojęć zdrowia i choroby psychicznej, to z jaką delikatnością i świadomością komplikacji i niuansów powinniśmy mówić o problemach psychicznych obecnie? Mimo niewątpliwych trudności myślę, że warto się z tym tematem zmierzyć, szukać języka do mówienia o tym, co niełatwe, o cierpieniu psychicznym i o naszych dalekich obłąkanych krewnych, pierwszych pacjentach szpitali psychiatrycznych, pierwszych odbiorcach terapii psychicznej. — **Z**

Tekst stanowi rozbudowaną wersję artykułu opublikowanego na portalu „Granice nauki”

Mira Marcinów

Dr psychologii, pracuje w PAN w Warszawie. Wydała książki: *Na krawędzi wolności: szaleństwo jako wybór w filozofii Henryka Struvego* (2012), *Niezabliżniona rana Narcyza* (2018, z Bartłojem Dobroczyńskim), *Historia polskiego szaleństwa* (2017), za którą była nominowana do Poznańskiej Nagrody Literackiej. W kwietniu ukazał się *Bezmatek*, jej prozatorski debiut

▣ Tradycyjne narzędzia służące do obrzezania kobiet, Ibadan, Nigeria, 2007 r.
fot. Jacob Silberberg / Panos / Forum





Spółeczeństwo • Świat

Bliski kres obrzezania kobiet w Afryce?

BŁAŻEJ POPŁAWSKI

W maju 2020 r. Sudan zdelegalizował zabieg okaleczania narządów płciowych dziewczynek. Dotąd przechodziło go ponad 85% mieszkanek kraju. To kolejny etap walki o równouprawnienie kobiet w postkolonialnych demokracjach

W DWUDZIESTCE KRAJÓW, gdzie zjawisko dyskryminacji kobiet jest najbardziej odczuwalne w skali globu, znalazło się aż 19 państw z Afryki. To dane z ostatniego raportu o rozwoju społecznym sporządzanego przez Program ONZ ds. Rozwoju (UNDP). Analizy te opierają się na porównaniu kilku wskaźników, z których jeden – wskaźnik nierówności płci (*Gender Inequality Index*) – odzwierciedlać ma dyskryminację kobiet w trzech obszarach: ➤

zdrowia reprodukcyjnego (śmiertelność matek, dzietność wśród niepełnoletnich), pozycji społecznej (udział kobiet w parlamencie, odsetek kobiet, które zdobyły wykształcenie średnie i wyższe) oraz rynku pracy. Choć sytuacja Afrykanek – streszczając wnioski raportów ONZ – poprawia się z dekady na dekadę, to nadal jest zła. Są one grupą szczególnie narażoną na prześladowanie i wykluczenie społeczne. Jedną z kwestii związanych ze zdrowiem reprodukcyjnym, która budzi od lat ogromne kontrowersje, jest praktyka obrzezania kobiet.

Obrzezanie kobiet

RYTUALNE OKALECZENIE ŻEŃSKICH NARZĄDÓW PŁCIOWYCH jest brutalnym aktem przemocy, praktyką niebezpieczną dla zdrowia i życia oraz destrukcyjną dla integralności i godności kobiet. Podkreślić trzeba, że nie ma żadnych wskazań medycznych – inaczej jest u mężczyzn, u których obrzezanie zmniejsza ryzyko zakażenia chorobami przenoszonymi drogą płciową oraz częstość występowania raka prącia.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), próbując stworzyć globalną mapę ilustrującą skalę okaleczania narządów płciowych kobiet, wyróżniła cztery rodzaje praktyk określanych zbiorczo jako *female genital mutilation*. Pierwszy to klitoridektomia, czyli usunięcie łechtaczki, drugi ekscyzja – usunięcie łechtaczki z wargami sromowymi. Pierwszy i drugi typ zabiegu są stosowane najczęściej. Kolejny rodzaj to infibulacja nazywana także obrzezaniem faraonским – nazwa wzięła się prawdopodobnie od starożytnych Nubijczyków, którzy najpierw służyli w armii faraona, a w VIII i VII w. p.n.e. rządili Egiptem. Polega ona na usunięciu łechtaczki, warg sromowych mniejszych oraz na nacięciu i zaszyciu warg sromowych większych z pozostawieniem niewielkiego otworu na mocz i krew menstruacyjną. Blizna powstała w ten sposób musi zostać rozcięta przed stosunkiem seksualnym i porodem, co powoduje dodatkowy ból. Ze stosowania tej metody, postrzeganej jako najbardziej barbarzyńska, znane są mieszkanki Rogu Afryki. Światem wstrząsnęły wydane w 1998 r. wspomnienia Waris Dirie, Somalijki, która została poddana temu zabiegowi jako mała dziewczynka, a potem uciekła do Londynu i została modelką oraz działaczką w ONZ. Ostatni typ obrzezania obejmuje pozostałe praktyki uszkadzające kobiece narządy płciowe, takie jak: nakłucia, wyskrobanie i kauteryzacja okolicy

narządów płciowych (tzw. przyżeganie), czyli przypalanie okolic genitaliów.

Zabiegów tych dokonuje się zwykle między 4. a 12. rokiem życia, choć – według analiz WHO – ostatnio coraz silniejsza jest tendencja, by praktyki te wykonywać na dziewczynkach nawet w dniu przyjścia na świat. Takie „operacje” przeprowadzają najstarsze kobiety lub lokalne akuszerki, jak i działające nielegalnie kliniki medyczne (dotyczy to zwłaszcza Egiptu, Gwinei, Kenii, Nigerii i Sudanu).

Podczas okaleczania narządów płciowych korzysta się z niesterylnych, wielokrotnie już używanych narzędzi (żyletek, noży, kawałków szkła, kamienia). Zabiegi wykonuje się w warunkach niehigienicznych, bez znieczulenia, robią je niewykwalifikowane znachorki. Do szycia ran często wykorzystuje się prymitywne narzędzia, np. igły akacji i nici wyprodukowane ze zwierzęcych jelit.

Dziewczynkom po zabiegu zwykle nie podaje się żadnych leków, nawet środków przeciwbólowych. Naraża to je na liczne choroby – do najczęstszych należą teżec, niedokrwiistość, stany zapalne miednicy, nawracające zakażenia dróg moczowych, depresja, stres pourazowy. Około 10% kobiet poddanych infibulacji staje się bezpłodne, u większości porody przebiegają ze znacznymi komplikacjami. Znajdują się także w grupie większego ryzyka zarażenia HIV.

Szacuje się, że obrzezanie dotyka rocznie co najmniej 15 mln dziewczynek. Liczba okaleczonych w ten sposób kobiet sięga 150–200 mln. Mieszkają one w ok. 30 krajach, zwłaszcza w Afryce i na Bliskim Wschodzie, a także Azji Południowo-Wschodniej (Indonezja), Azji Zachodniej (Kurdystan), Ameryce Łacińskiej (Amazonia). Według prognoz analityków UE do 2030 r. okaleczonych może zostać kolejnych 70 mln dziewcząt w 25 krajach.

Połowa zabiegów obrzezania jest przeprowadzana w Afryce. Wśród regionów, w których ponad 85% kobiet jest okaleczanych, znajdują się państwa położone w Rogu Afryki (Somalia, Dżibuti, Etiopia, Erytrea), kraje znad Zatoki Gwinejskiej (Sierra Leone, Gwinea), a także państwa Sahelu (Sudan, Mali) oraz Egipt. Do krajów, w których odsetek ten jest mniejszy, ale przekracza 25%, zalicza się głównie kraje Afryki Zachodniej (Wybrzeże Kości Słoniowej, Burkina Faso, Liberia, Gambia), a także Republikę Środkowoafrykańską oraz Kenię. W większości z nich okaleczanie narządów płciowych kobiet jest nielegalne.

Zauważyć można, że lista krajów, gdzie odsetek obrzezanych kobiet jest największy, koresponduje z listą państw, z których pochodzi najwięcej migrantów afrykańskich przebywających obecnie w Europie i Ameryce Północnej. Uchodźcy polityczni i zwykli migranci zarobkowi (najczęściej ich pierwsza, rzadziej już druga generacja) przenoszą swoje zwyczaje i tradycje do nowych miejsc zamieszkania. Problem okaleczania narządów płciowych kobiet zyskał w ten sposób charakter ogólnoświatowy, dotyka wielokulturowych społeczeństw globalnej Północy. Amnesty International szacuje, że w Europie żyje już ok. 500–700 tys. obrzezanych kobiet (większość w Wielkiej Brytanii, Francji i w Niemczech). Organizacja apeluje do władz UE o sprawne reagowanie i przeciwdziałanie temu procederowi. Skuteczność agend unijnych na polu walki z obrzezaniem kobiet jest jednak niska. Parlament Europejski, owszem, przyjął kilka rezolucji w sprawie walki z okaleczaniem żeńskich narządów płciowych (2001, 2009, 2012). Implementacja zapisów unijnych przebiega jednak powoli. Zabiegi obrzezania przybyszów z Afryki i Azji są dokonywane w tajemnicy, otacza je zmowa milczenia, skutkiem czego ich wykrywalność przez Europol jest minimalna.

Przyczyny okaleczania kobiet

OBRZEZANIE KOBIEC W ZACHODNIOEUROPEJSKIM PRAWODAWSTWIE uznaje się za formę przestępstwa motywowanego kulturowo. To czyn dokonany przez członka mniejszości kulturowej, etnicznej, religijnej, przez ową społeczność tolerowany, ale stanowiący przestępstwo w systemie prawnym kultury dominującej. Definicja ta jest użyteczna przy konstruowaniu programów przeciwdziałania obrzezaniu kobiet w Europie czy Stanach Zjednoczonych. W realiach afrykańskich ujęcie takie jest już mocno dyskusyjne.

Praktyka okaleczania narządów płciowych kobiet jest głęboko zakorzeniona w systemach wierzeń wielu grup etnicznych. W licznych mitach afrykańskich pojawia się wątek posiadania przez niemowlę dwóch płci, a lechtaczka bywa postrzegana jako męski element u dziewczynek. Aby jednostka mogła właściwie funkcjonować w określonej roli społeczno-kulturowej, powinna zostać pozbawiona tego atrybutu. W niektórych krajach Afryki Zachodniej (Nigeria, Gwinea, Burkina Faso) wierzy się, że nieobrzezane kobiety nie mogą

rodzić dzieci, że niewycięta lechtaczka może urosnąć do rozmiarów męskiego penisa lub też, że nastąpi nagły zgon noworodka, gdy ten dotknie lechtaczki matki podczas wychodzenia z jej kanału rodowego. To tylko przykłady mitów związanych ze zdrowiem reprodukcyjnym o zaskakująco silnej skali oddziaływania społecznego.

Praktyka okaleczania narządów płciowych jest często formą inicjacji kulturowej członka wspólnoty tradycjonalistycznej. To tzw. rytuał przejścia, głęboko zakorzeniony w systemie aksjologicznym grupy, sygnalizujący wchodzenie jednostki w dorosłość (w przypadku gdy jest on dokonywany u nastoletnich dziewczynek). Często towarzyszą mu przyjęcia i spotkania rodzin. Ból fizyczny zadany jednostce wyzwala entuzjazm we wspólnocie, staje się okazją do święta.

Obrzezanie jest też narzędziem kontroli seksualności kobiet wpisanym w patriarchalny porządek społeczny. Poddanie kobiety temu zabiegowi gwarantować ma jej czystość i honor, hamować popęd seksualny, obniżać libido. To dowód dziewictwa i wierności, zabezpieczenie przed promiskuityzmem. Kobieta nieposiadająca takiego „oznakowania seksualnego” postrzegana bywa jako źle prowadząca się, nieczysta, co może przyczynić się do społecznego ostracyzmu, wykluczenia z rodziny, wspólnoty sąsiedzkiej, wyznaniowej, a także z rynku matrymonialnego (decyzja o obrzezaniu córki to także swego rodzaju wybór ekonomiczny rodziców – kobiety poddane obrzezaniu są chętniej wybierane na żony).

Wbrew wielu opiniom obrzezanie kobiet nie jest elementem żadnej wielkiej religii świata. To zwyczaj starszy nie tylko od islamu, ale także od judaizmu i chrześcijaństwa. Według Herodota obrzezanie praktykowane było już u Egipcjan, Fenicjan i Babilończyków. Nawet jeśli widać wyraźną korelację między stopniem zislamizowania danego kraju a częstotliwością okaleczania narządów płciowych kobiet, to podkreślić trzeba, że praktyka obrzezania nie została zapisana w Koranie (wzmianki o niej pojawiają się jedynie w wybranych hadisach, czyli relacjach o życiu Mahometa, powstałych na podstawie ustnych opowieści po jego śmierci). Tezę tę potwierdzają liczne przykłady z kontynentu afrykańskiego. W Etiopii trzy na cztery kobiety są obrzezane – a muzułmanie stanowią zaledwie 30% populacji tego kraju, reszta należy do Kościoła prawosławnego (ok. 40%) lub Kościołów protestanckich



(ok. 20%). W Liberii, gdzie połowa kobieta jest okaleczona, 85% społeczeństwa to chrześcijanie, islam wyznaje jedynie 10–15% populacji. Z kolei w Nigrze, którego społeczeństwo w 99% to muzułmanie, odsetek obrzezanych kobiet jest mniejszy niż 5%.

Reakcja społeczności międzynarodowej

Z PRAKTYKĄ OBRZEZANIA KOBIET PRÓBUJĄ RAZEM WALCZYĆ trzy agencje ONZ: WHO, Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (UNICEF) i Fundusz Ludnościowy Narodów Zjednoczonych (UNFP). Czynią to przy wsparciu wielu organizacji pozarządowych. Warto przy tym dodać, że instytucje ONZ nie są nawet w stanie zgromadzić wiarygodnych i kompletnych statystyk z większości państw afrykańskich; do tego część danych przytaczanych w oficjalnych sprawozdaniach uznać należy za mało wiarygodne (np. zaskakująco niski odsetek obrzezanych kobiet w Kamerunie i Ghanie czy niemalejący odsetek w Egipcie, gdzie okaleczanie narządów płciowych zostało zakazane w 2008 r., a w 2016 r. uznano je za przestępstwo). Na podstawie tego rodzaju danych trudno jest zaprojektować efektywną kampanię edukacyjną czy innego rodzaju akcję afirmatywną.

Coraz częściej przedstawiciele ONZ sugerują, że walkę z obrzezaniem Afrykanek powinny prowadzić lokalne instytucje – zarówno panafrkańskie, takie jak Unia Afrykańska, jak i regionalne: Wspólnota Wschodnioafrykańska (EAC), Południowoafrykańska Wspólnota Rozwoju (SADC), Unia Arabskiego Maghrebu (AMU). Cedowanie odpowiedzialności na kraje afrykańskie budzi z kolei uzasadniony sprzeciw tamtejszych polityków apelujących o wsparcie finansowe niezbędne ich zdaniem do prowadzenia skutecznych działań na polu walki z okaleczaniem kobiet. Spór ten trwa od lat i trudno przewidywać, kiedy się zakończy.

Pierwsza międzynarodowa konferencja poświęcona problemowi obrzezania kobiet w Afryce została zwołana w 1979 r. w Chartumie. Datę tę uznać można za cezurę zaangażowania się ONZ w walkę z tą praktyką. W Chartumie zderzyły się wówczas dwie opcje: obrzezanie zostało potępione przez polityków euroamerykańskich, znaczna część liderów afrykańskich dążyła zaś do legalizacji okaleczania. Stopniowo głosy przeciwników okaleczania kobiet przeważały. Już w 1984 r. podczas konferencji w Dakarze, na skutek presji WHO i UNICEF, podjęto decyzję o zakazie okaleczania kobiet w szpitalach (akt taki uznano za przykład ciężkiego naruszenia

etyki zawodowej lekarzy, nawet w przypadku gdy lekarz dokonujący obrzezania dysponował zgodą pacjenta na dokonanie okaleczenia). Kolejne spotkania międzynarodowe, zorganizowane w Addis Abebie na przełomie lat 80. i 90., dążyły do całkowitego wyeliminowania medykalizacji obrzezania kobiet w Afryce. W okresie tym zaobserwować można było zmianę w oficjalnym dyskursie polityków podejmujących tę kwestię. Odchodzono od stosowania terminów takich jak „obrzezanie”, które wiele osób kojarzyło się ze sferą religijną. Coraz częściej używano określenia „okaleczenie”, akcentując w ten sposób szkodliwość praktyk, cierpienie oraz kategorie winy i kary.

ONZ wzywała państwa afrykańskie do wprowadzenia ustawodawstwa zakazującego obrzezania, zrównującego te praktyki ze stosowaniem tortur (zapis taki pojawił się np. w art. 15 Konstytucji Somalii przyjętej w 2012 r.). Część rządów rzeczywiście wprowadziła takie przepisy, ale ich egzekwowanie do dzisiaj jest mało efektywne. Gorzkie refleksje działaczy organizacji obywatelskich walczących z obrzezaniem słyszalne są wyraźnie co roku 6 lutego. Obchodzony jest wówczas Międzynarodowy Dzień Zerowej Tolerancji dla Okaleczania Żeńskich Narządów Płciowych. Dzień ten ustanowiono w 2003 r. z inicjatywy pierwszej damy Nigerii Stelli Obasanjo.

Walkę o prawa reprodukcyjne kobiet widać także w obszarze regulacji panafrkańskich. Organizacja Jedności Afrykańskiej, poprzedniczka Unii Afrykańskiej, początkowo niechętnie angażowała się w kampanie przeciwdziałania obrzezaniu kobiet. Symptomatyczne, że na konferencji zorganizowanej przez Komisję Praw Człowieka w 1991 r. w Wagadugu, podczas której wezwano państwa do wprowadzenia regulacji prawnych zakazujących praktykowania zwyczajów niebezpiecznych dla zdrowia reprodukcyjnego kobiet, nie był obecny żaden oficjalny wysłannik OJA. Tabu w kwestii obrzezania kobiet przełamano kilka lat później. Dopiero na szczycie OJA w 1995 r. wydano deklarację dotyczącą zdrowia rodziny, w której pojawił się zakaz okaleczania seksualnego kobiet.

W XXI w. idea równości płci i przeciwdziałania obrzezaniu kobiet występuje już we wszystkich podstawowych aktach normatywnych Afryki. W art. 4 aktu założycielskiego Unii Afrykańskiej (2001) zapisano, że promowanie równości płci stanowi jedno z podstawowych zasad UA. Bardziej szczegółowe zapisy

❑ Waris Dirie na
pokazie Paprocki &
Brzozowski w Warszawie,
22 maja 2018 r.
*fot. Kamil Piłkiewicz /
East News*



Wbrew wielu opiniom obrzezanie kobiet nie jest elementem żadnej wielkiej religii świata. To zwyczaj starszy nie tylko od islamu, ale także od judaizmu i chrześcijaństwa

w tej materii pojawiły się w Afrykańskiej Karcie Praw Człowieka i Ludów. W art. 2 zawarto zasadę antydyskryminacyjną ze względu na płeć. Z kolei w art. 18 zapisano, że: „Rodzina jest naturalną komórką i podstawą społeczeństwa. Będzie chroniona przez państwo, które będzie troszczyło się o jej zdrowie fizyczne i moralne. Państwo ma obowiązek wspomagania rodziny w jej funkcji strażnika moralności i tradycyjnych wartości uznawanych przez społeczność. Państwo zapewnia eliminację wszelkiej dyskryminacji kobiet oraz zapewnia ochronę praw kobiety i dziecka określonych w międzynarodowych deklaracjach i konwencjach”.

Teoretycznie zapisy takie uznać można za wystarczające uzasadnienie do walki z praktyką obrzezania kobiet. Według Karty dyskryminacją jest bowiem każde wyróżnienie, wykluczenie, ograniczenie lub inne traktowanie wynikające z płci, które uniemożliwia lub utrudnia korzystanie przez kobiety – niezależnie od ich statusu małżeńskiego – z praw człowieka i podstawowych wolności we wszystkich sferach życia. Sygnatariusze Karty zobowiązali się do przeprowadzania szeroko zakrojonych akcji afirmatywnych, zwalczania dyskryminacji poprzez właściwe stosowanie środków prawnoinstytucjonalnych, uwzględnianie tzw. perspektywy płci w podejmowanych decyzjach, a także działania na rzecz zmiany społeczno-kulturowych wzorców zachowań opartych na idei wyższości jednej z płci.

Wśród systemów kontrolnych Karty wyróżnia się Afrykańską Komisję Praw Człowieka i Ludów oraz Afrykański Trybunał Praw Człowieka. Niekiedy do systemów ochrony praw człowieka w Afryce zalicza się także tzw. system arabski, w którym przyjęto dwa istotne dokumenty dotyczące ochrony praw człowieka, a mianowicie: Kairską Deklarację Praw

Człowieka (podpisaną przez większość afrykańskich krajów, w których dominuje islam) i Arabską Kartę Praw Człowieka (podpisaną przez Algierię i Libię). Pierwszy z dokumentów ma bardziej konserwatywny charakter. Deklaracja wyraźnie określa punkt odniesienia dla praw człowieka – jest nim szariat. Przydziela także poszczególne prawa według przynależności do określonej płci, na skutek czego jej postanowienia są w wielu miejscach sprzeczne z międzynarodowymi normami ochrony praw człowieka.

W szariacie kobiecie przyznaje się osobowość prawną, ale nie uznaje się równości w kwestiach takich, jak: ślub, rozwód, życie rodzinne, dziedziczenie. Prawne ubezwłasnowolnienie kobiet sprawia, że negowane jest ich prawo do wyboru drogi życiowej, partnera czy liczby posiadanych dzieci. Trudno zatem na podstawie zapisów w Kairskiej Deklaracji i Arabskiej Karcie legitymizować kampanie walki ze zjawiskiem obrzezania kobiet.

Protokół z Maputo

ROZWIĄZANIEM PRAWNYM, KTÓRE MIAŁO UJEDNOLICIEĆ polityki państw afrykańskich w kwestii walki z nierównością płci, miał stać się tzw. protokół z Maputo. W przyjętym 11 lipca 2003 r. na szczycie UA w stolicy Mozambiku Protokole do Afrykańskiej Karty Praw Człowieka i Ludów dotyczącym Praw Kobiet w Afryce zawarto listę potencjalnych naruszeń praw kobiet. W protokole odwołano się do pojęcia praw reprodukcyjnych (art. 14), akcentując przy tym znaczenie prawa do kontrolowania własnej płodności, prawa do decydowania o liczbie dzieci i odstępach czasu między ich narodzinami, wyboru metody antykoncepcji, zabezpieczenia przed chorobami przenoszonymi drogą płciową, informacji o kondycji zdrowotnej partnera, edukacji w zakresie planowania rodziny, dokonywania lekarskiej aborcji w przypadku, gdy ciąża jest następstwem gwałtu lub kazirodztwa, jej zachowanie zagraża życiu fizycznemu albo psychicznemu zdrowiu matki bądź gdy płód obciążony jest ciężką wadą. Zapowiedziano także rychłe zakazanie okaleczania narządów płciowych.

W protokole znalazło się więc mnóstwo niezwykle kontrowersyjnych zapisów. Za taki uznano np. zobligowanie państw afrykańskich do ochrony praw reprodukcyjnych kobiet poprzez dopuszczenie aborcji

medycznej i szeroką dystrybucję wczesnoporonnych środków antykoncepcyjnych.

Protokół wszedł w życie w 2005 r. Wkrótce potem został oprotestowany przez episkopaty państw afrykańskich uznające zapisy w nim zawarte za sprzeczne zarówno z katolicką nauką społeczną, jak i z tradycyjnymi wzorcami kultur afrykańskich, które to w centrum sytuują dobro rodziny i dziecka. Protokół uznano za program, w którym uwidacznia się ideologia zachodniej rewolucji seksualnej, za swego rodzaju „konja trojańskiego” w Afryce, który zamiast poprawiać sytuację kobiet, uprzedmiotawia je. Komentatorzy zwracali uwagę, że promowanie w Afryce aborcji stanowi przejaw paternalistycznej i neokolonialnej polityki globalnej Północy, która często uzależnia wysokość przyznania pomocy finansowej ubogim państwom od wprowadzania przez nie programów nieomal eugenicznych i antynatalistycznych.

Dekadę po wejściu w życie protokołu władze UA ogłosiły raport na temat stanu jego implementacji. Wnioski po analizie dokumentu potwierdzają słusność części sądów krytycznych wysuwanych jeszcze przed jego ratyfikacją. Luka pomiędzy zobowiązaniami wynikającymi z aktu a realiami życia kobiet nie zniknęła. Prawa kobiet nadal są łamane, a ich sprawcy pozostają bezkarni. Akcje afirmatywne i kampanie uświadamiające kobiety o przysługujących im prawach zawiodły. Brak także woli politycznej, konsekwentnej polityki na szczeblu UA oraz poszczególnych jej członków w obszarze przeciwdziałania dyskryminacji kobiet. Po ratyfikacji protokołu stale rośnie liczba kobiet poddawanych sterylizacji. Odrzeżanie kobiet jest nadal praktykowane.

Co przyniesie przyszłość?

POJAWIA SIĘ JEDNAK RÓWNIEŻ NADZIEJA NA POPRAWĘ sytuacji. Rok po obaleniu Umara al-Baszira tymczasowy rząd ekspercki Abdalli Hamdoka zdelegalizował okaleczanie kobiet w Sudanie. Ratyfikacja nowego prawa jest niewątpliwie zwycięstwem tamtejszych obrońców praw kobiet. Przede wszystkim to jednak symboliczny triumf polityczny nowej elity kraju, która walczy o legitymizację międzynarodową oraz o wsparcie Zachodu w kwestii zorganizowania wyborów powszechnych. Przyjęte rozwiązania mają ukazać nowy rząd jako demokratyczny i nowoczesny. Zakaz odrzeżania wzbudził wśród samych Sudańczyków mieszane odczucia. Prawdopodobieństwo

skutecznego egzekwowania prawa, zwłaszcza na terenach słabo zurbanizowanych, wydaje się minimalne. Mimo to sam fakt tak szybkiego jego przyjęcia przez nowe władze jest niezwykle symptomatyczny.

Sudan nie jest bowiem wyjątkiem. Przykładowo, już w 2001 r. restrykcyjne regulacje prawne zakazujące odrzeżania kobiet wprowadziła Kenia, a dwa lata później Benin – w krajach tych za okaleczenie narządów płciowych kobiet można trafić do więzienia na 3 lata. Po niespełna dwóch dekadach od wprowadzenia zakazu odsetek kobiet poddanych odrzeżaniu zmalał (w Beninie dwu-, a w Kenii nawet trzykrotnie). Pojawiło się za to nowe zjawisko, znacznie utrudniające egzekwowanie przepisu – zabiegi dokonywane są na granicach państwowych.

Zauważyć trzeba, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza powoli ewoluowało postrzeganie zjawiska okaleczania narządów płciowych kobiet. Przyczyniły się do tego wymuszane przez ONZ zmiany ustawodawstwa w Afryce, stopniowa penalizacja odrzeżania, wzrost współczynnika skolaryzacji wśród kobiet czy zaangażowanie się lokalnych organizacji pozarządowych. Według danych WHO odsetek młodych Afrykanek (pomiędzy 15. a 19. rokiem życia), które zostały poddane odrzeżaniu, jest znacznie niższy niż u kobiet między 19. a 49. rokiem życia: różnica wynosi – w zależności od kraju – od kilku do nawet kilkudziesięciu punktów procentowych. Wykorzenienie zjawiska tak długo obecnego w krajo- obrazie kulturowym patriarchalnych społeczeństw tradycyjnych zajmie jednak jeszcze wiele lat. — **Z**

Błażej Popławski

Doktor historii, socjolog, członek Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego, komentator przemian polityczno-ekonomicznych globalnego Południa, recenzent literatur orientalnych

Bieg z zamkniętymi oczami

KRZYSZTOF MARCINIAK

Konwencjonalne formy użytkowania plaży szybko mnie nudzą. Zaprojektowałem więc warsztaty ze słuchania szumu, które proponuję plażowiczom. Tłumaczę im, że dla mnie szum oceanu jest muzyką, a ocean – największym i najbogatszym w brzmienia instrumentem muzycznym na Ziemi

OBIERAM ZA POCZĄTEK TEN KRÓTKI MOMENT WYCISZENIA, GDY jedynie zbliżająca się do mnie piana syczy jak fermentujące w beczce wino. Już chwilę później łamie się kolejna fala, szum rozlewa się przede mną w obu kierunkach, stopniowo wypełniając całą panoramę słyszenia. Niemal jednocześnie wysoka fala trochę dalej od brzegu zawija się, jej szczyt z łoskotem wali się przed siebie w rozbujaną morską pianę. To dudnienie sięga najniższego pasma słyszalnych częstotliwości; raz na jakiś czas towarzyszy mu charakterystyczne puknięcie. Zawieszam się, obejmując uszami przestrzenny wymiar tych brzmień. Szum wędruje po wyobrażonej pięciolinii od góry do dołu, od dołu do góry; czyni to asynchronicznie z mojej lewej i prawej strony. Wystarczy, że uniosę głowę znad kartki, by do uszu wpadło mi więcej piany, a mniej dudnienia. Rozglądam się po plaży powoli w obu kierunkach. Szum wypełnia najpierw jedno, potem drugie ucho.

Próba przekazania słowami muzykalności oceanu jest porywaniem się z motyką na słońce. To, co nazywamy szumem fal, składa się z nieprzyswajalnej ilości brzmieniowych drobinek i odgłosów, których język nie jest w stanie objąć. Trzeba by ratować się wymyślanymi na bieżąco onomatopejami, kategoryzować te wszystkie dźwięki, wziąć je bardziej na serio. To zaś miałoby sens tylko, gdybyśmy zechcieli słuchać oceanu jak muzyki,

przyznać mu status instrumentu muzycznego. Na co oczywiście będę uporczywie w tym tekście nalegał.

Šuma

ZAMKNIJ OCZY I WSŁUCHAJ SIĘ w szum. Obserwuj, jak roznosi się w przestrzeni, z czego się składa. Czy jest jednolity czy zmienny? Raczej wysoki, średni czy niski? W którym momencie jest najcichszy? Najgłośniejszy?

Ze słowem „szum” jest pewien problem – nie można go przetłumaczyć na inne języki. W każdym ma zupełnie inny zbiór znaczeń. Słowiańskie słowo „szum” jest dźwiękonaśladowcze, ale czy aby na pewno pasuje jak ułał do oceanu? Po serbsku *uyma* (*šuma*) to las. Być

może swojski „szum” wywodzi się z szeptów i zawodzenia drzew na wietrze? Co w żadnym wypadku nie przeszkadza anglojęzycznemu „noise’owi” zawierać to, co my nazwalibyśmy oddzielnie odgłosem, szumem i hałasem. Angielski termin nie ma w sobie też nic z onomatopei.

Porozumieć się z innymi nacjami w sprawach szumu pomaga na szczęście ścisła definicja szumu akustycznego – sytuacji, gdy we wszystkich częstotliwościach mamy identyczne natężenie dźwięku (szum biały); albo gdy intensywność szumu we wszystkich pasmach częstotliwości jest tak dopasowana do biologicznych uwarunkowań ludzkiego słuchu (większe jego natężenie w niskich i coraz mniejsze w wysokich częstotliwościach), byśmy odbierali poszczególne jego składowe szumu jako równie głośnie, a co za tym idzie, słyszeli ujednolicony szum (różowy). Bierze się to stąd, że dźwięki niskie o tym samym natężeniu percypujemy jako cichsze od wysokich. Tymczasem idealny, z fizycznego punktu widzenia, równiuteński szum biały odbieramy jako... syczenie. Większość szumów wokół nas jest natomiast zabarwiona na różowo i do tego przystosowany jest nasz słuch.

Teraz skup się na kierunkach. Możesz nadal siedzieć wygodnie na piasku. Co wpada do twojego lewego, co do prawego ucha? Co dobiega z przodu? Z tyłu? Żeby lepiej ukierunkować słuch, wystarczy złożyć dłoń w muszlę i przedłużyć nią własne ucho.

Z taką „czujką” przyłożoną do głowy poobracaj się powoli w różne strony. Dołóż drugą dłoń, zwróć się twarzą do oceanu, i zamknij oczy. Teraz osłuchaj różne kierunki. Wróć do oceanu, wsłuchaj się. Zabierz równocześnie obie dłonie.

Ższu! Ższu! Ższu!

KONWENCJONALNE FORMY UŻYTKOWANIA PLAŻY SZYBKO MNIE NUDZĄ. W podróży, zasiedziawszy się kilka miesięcy nad oceanem, wymyśliłem więc warsztaty ze słuchania szumu, które proponuję ludziom zażywającym słonecznych kąpiei na piasku. Wspominam im o trosce o środowisko dźwiękowe (ekologii akustycznej); sposobach otwierania uszu na otaczające brzmienia; tłumaczę, że dla mnie szumy oceanu są muzyką, że ocean jest największym i najbogatszym w brzmienia instrumentem muzycznym na Ziemi.

Zawsze znajdzie się ktoś otwarty na eksperymenty, nawet jeśli inni plażowicze – zapytani o warsztaty słuchania oceanu – z zaciekawieniem, ale odmawiają. Co do publiki nie ma reguły, robiłem te ćwiczenia dla rodzin z dziećmi, rozbawionych emerytek, 20-osobowej grupy studentów z Europy, pijanych Brazylijczyków, par w podróży poślubnej, muzyków, inżynierów, zagubionych na plaży samotnych mężczyzn. W duchu podróżniczego dzielenia się tym, co kto ma, nieraz warsztatowaliśmy też z tutejszymi wędrownymi kuglarzami, rękodzielniczkami i sprzedawcami wegańskich burgerów. Ci hipisi – jak się ich niebezpiecznie nazywa – tak jak ja dorbiją tu do nomadycznego stylu życia, zapewniając plażowiczom dostęp do różnych form sztuki (w tym kulinarnej).

Pierwsze ćwiczenie nazywam latarnią morską. Stań blisko oceanu, przyłóż do uszu łyzeczki z dłoni, tak jak to robiliśmy na początku. Zamknij oczy i obracaj się powoli, słuchając dźwięków dobiegających ze wszystkich stron. Wykonaj minimum pięć nieśpiesznych obrotów. Tak jak latarnia morska rzuca snop światła we wszystkich kierunkach wokoło, tak ty sondujesz dźwięki. Baw się tym. Przerwij, kiedy się znudzisz.

Co czujesz? Czym różni się to od codziennego słuchania? Najbardziej szalona rzecz, jaką możesz zrobić, to zacząć obracać się bardzo szybko. Tylko uważaj, żeby nie upaść! Dźwięk oceanu dobiega wtedy do ciebie jak rytmiczne „Ższu! Ższu! Ższu!”.

Z napiwków można zbierać na dobre jedzenie. Zresztą w zgodzie z „hipisowskim” etosem, gdy ktoś zainteresowany koncepcją kryguje się z powodu braku gotówki, przyjmuję w zamian uśmiechy i historyjki o dźwięku. Te ostatnie zbieram tak samo, jak plażowicze zbierają muszelki i kamienie. Kobieta ze starej rybackiej rodziny mówiła, że jako dzieci bawili się w podobny sposób, słuchając kumkania żab na mokradłach; mechanik samochodowy objaśniał, jak niezbędny jest wyczulony słuch przy naprawianiu silnika; dziewczynka tłumaczyła mi z przejęciem, że właśnie tak „kierunkowo” to słucha jej kot; młode małżeństwo opowiedziało





o radości niewidomego synka znajomych, który na pustej dzikiej plaży mógł po raz pierwszy beztrudno pobiec przed siebie; a wolontariuszki z hostelu zżymały się, że morski szum, nieporównanie głośniejszy, męczy je dużo mniej od muzyki puszczonej w miejscu pracy.

Postapokaliptyczna utopia

WRACAJĄC ZAŚ DO OCEANU, JEGO SZUM NIGDY NIE JEST TAKI SAM. ZMIENNY wiatr, wysokość fal, wznoszący się i opadający w rytm przyływów i odpływów poziom wody sprawiają, że kolejnego dnia nawet na tej samej plaży szum będzie skomponowany inaczej. Każda plaża brzmi też po swojemu. Łoskot fal bijących o kamienne cyple wysunięte ciut dalej w morze nie przypomina zaś w niczym łagodnego szeptu języczków piany wsiąkającej w mokry piasek. Rybaczka opowiadała mi też szczegółowo o zmianach w brzmieniu oceanu w zależności od pogody i pory roku. A to tylko zmiany w wielkiej skali. Wmyślając się w detale, uświadamiasz sobie, że w kalejdoskopie szumu nigdy już nie wydarzy się fala brzmiąca tak samo jak ta, która dopiero co wybrzmiała w twoich uszach. Sam nie jestem zresztą najbardziej kompetentną osobą do wypowiedzania się o szumie oceanu, skoro nigdy nie miałem okazji nasłuchiwać się go do woli z łodzi oddalanej od brzegu.

Każda i każdy mamy też swój osobisty ocean, indywidualny sposób jego postrzegania, odmienne skojarzenia. Każdemu na hasło „ocean” przychodzi w pierwszej chwili do głowy trochę inne miejsce, inaczej zapamiętane bądź wyobrażone. Dla mnie jest nim najbardziej oddalony od Montevideo fragment urugwajskiego wybrzeża – plaża graniczącego z Brazylią departamentu Rocha. Spokojny rodzinny kurort La Paloma, gdzie szum morza miesza się z szumem sosnowego lasu; La Pedrera, gdzie fale z nieustannym rykiem walą o klif, nad którym leży miasteczko; ulubione wśród „hostelowych” turystów Punta del Diablo, z czterema



□ Pierwsze ćwiczenie nazywam latarnią morską. Stań blisko oceanu, przytóż do uszu tyłeczki z dłoni. Zamknij oczy i obracaj się powoli, słuchając dźwięków dobiegających ze wszystkich stron

fot. z archiwum Krzysztofa Marciniaka

plażami o kompletnie odmiennej akustyce; wreszcie jedyne znane mi militarne przedsięwzięcie warte utrzymywania z kieszeni podatnika, czyli prowadzony przez wojsko gigantyczny camping Santa Teresa. Przez jego plaże – w moim odczuciu najpiękniejsze w Urugwaju – przewija się co roku ponad 1% obywateli i obywateli kraju. Bezbrzeżnie wyjątkowy jest jednak dopiero wysunięty daleko w morze cypel Cabo Polonio.

Właśnie z myślą o Cabo, jak nazywają je nieliczni mieszkańcy i liczni zasiedziali tam na dobre podróżnicy, zaprojektowałem moje ćwiczenia. Świat ma wiele końców i ta wrzynająca się w ocean wioska

otoczona mokradłami, piaszczystymi wydhami i lasem jest bez wątpienia jednym z nich. Jej mieszkańcy zablokowali dążenia lokalnych władz, by doprowadzić na półwysep normalną drogę i elektryczność. Nad osadą wznosi się stara latarnia morska, rozświetlająca nocami okolicę psychodelicznie wirującym snopem światła. Przez piaszczyste wydmy dociera tam kilka aut na krzyż, większość energii elektrycznej dostarczają gwizdzące nad dachami wiatraki i milczące panele słoneczne, kilka czynnych nocą knajp oszczędza energię i nie zanieczyszcza okolicy głośną muzyką. Środowisko dźwiękowe dominują więc owady i płazy, wycie wiatru i wszechmogący ocean. Mimo najeżdżających półwysep tabunów turystów z całego świata nawet w szczycie wakacyjnego sezonu Cabo Polonio sprawia wrażenie przewrotnej postapokaliptycznej utopii.

„Idzie fala!”

ROZCIĄGAJĄCA SIĘ NA PÓŁNOC OD WIOSKI SZEROKA PLAŻA NAZYWANA JEST „trupią”. Ta ciągnąca się kilometrami łacha piasku usiana jest truchłami morskich zwierząt, które ocean wyrzuca w tym miejscu na brzeg. Od strony lądu plażę otacza kilkusetmetrowy pas monumentalnych wydmy i zieleniących się bagienek. Cały obszar ma status parku narodowego. ➡

Mało jest miejsc, w których możesz się tak jak tu poruszać beztrząsowo na słuch, z zamkniętymi oczami.

Drugie z moich ćwiczeń wymaga przede wszystkim zaufania. Wykonujecie je we dwoje. Jedno będzie iść po plaży z zamkniętymi oczami, szum fali pozwoli mu bez trudu zorientować się w przestrzeni. Drugie będzie przewodniczką. Zadba, żeby maszerującemu słuchaczowi nie stała się krzywda.

Taki spacer dźwiękowy można wykonać tylko z kimś sprawdzonym. Zróbcie wspólnie po trzy razy to najprostsze ćwiczenie na zaufanie: jedno odwrócone plecami opada bezwładnie w tył w ramiona drugiego. Potem łatwiej będzie przekazać kontrolę przewodnikowi. Pominiecie tego przygotowania zawsze skutkuje silnym niepokojem w trakcie ćwiczenia. Warto też, żebyście założyli buty lub klapki – to pomoże odseparować się od dotyku podłoża i pełniej skoncentrować na słuchaniu.

Wyłumatczę wam teraz szczegółowo te role. Osoba z zamkniętymi oczami po prostu idzie po piasku w swoim tempie, tam gdzie się jej żywnie podoba, wzdłuż oceanu, którego szum jest stałym punktem odniesienia. W tym eksperymencie chodzi przede wszystkim o dobrą zabawę, więc rób to, z czym czujesz się komfortowo, i ciesz się tą niecodzienną sytuacją. Otwórz uszy. Taki spacer powinien potrwać przynajmniej cztery minuty, tyle co jedna piosenka w radiu.

Cała odpowiedzialność ciąży na przewodniczce. Jej zadaniem jest dbać o komfort i bezpieczeństwo słuchacza, którego ma pod opieką. Idzie pół-

tora metra za nim i gdy tylko pojawi się jakkolwiek bariera, mówi „stop!” – zatrzymujecie się – i delikatnie, za ramię, wyprowadza go w miejsce, z którego będzie mógł bezpiecznie iść dalej, kierując się tylko zmysłem słuchu. Możecie, jeśli chcecie, wejść po kostki do wody, ale gdy zbliży się duża fala, przewodniczka musi ostrzec: „Idzie fala!”. Jeśli zaś nie chcecie się zmoczyć, a spacerujecie przy samym brzegu, woła „uciekaj!”, gdy zbliżająca się woda może osiągnąć podopiecznego. Wreszcie: to naturalne, że gdy poczuje się niepewnie, idąc z zamkniętymi oczami, mamy ochotę podglądać. Żeby się przed tym powstrzymać, wystarczy, żeby słuchacz zapytał prze-

wodniczkę: „Jestem bezpieczny?“, i usłyszał uspokajającą odpowiedź: „Tak, jesteś bezpieczny”. To pozwoli swobodnie kontynuować spacer. Po upływie kilku minut zamieńcie się. To kto pierwszy rusza z zamkniętymi oczami?

„Jesteś bezpieczny”

KIEDYŚ SZEDŁEM TAK Z PRZEWODNICZKĄ 40 min po trupiej plaży La Cadavera na Cabo Polonio. Noc, księżyc w nowiu, wracamy z wydm w stronę wioski, chrzęszczenie piasku pod butami, szum oceanu w lewym uchu – każdy szczegół jego brzmienia staje się istotny. Złazłoby blisko brzegu i szeroki wachlarz syczenia piany. Nie chcę zmoczyć butów, ale dla wygody idę po twardym mokrym piasku przy wodzie, co chwilę odsuwam się od oceanu, ustępując miejsca zbliżającej się fali. Od strony wydm do prawego ucha wpadają mi przytłumione głosy owadów i płazów. Czasem słyszę za plecami skrzypnięcie piasku pod butem przewodniczki. Wyczula mi się nawet węch. Czuję, jak mijamy ciała martwych fok. Zbliżwszy się do osady, wyłapuję coraz wyraźniej dźwięki kolejnych wiatraków nad dachami; staram się odgadnąć po ich brzmieniu, którą spośród stojących przy plaży chat aktualnie mijamy. Bezpański pies obwąchuje mnie, wydając przy tym prawdziwą kanonadę sapań, smarknięć, mlaśnięć, grad piasku tryska mu spod łap. Zwalniam. „Jesteś bezpieczny” – słyszę głos przewodniczki. Ponowne otwarcie oczu po dotarciu do celu było nieprzyjemne, wymagało wysiłku, jak po przebudzeniu.

Słowiańskie słowo „szum” jest dźwiękonaśladowcze, ale czy aby na pewno pasuje jak ułat do oceanu? Po serbsku *šuma* to las. Być może swojski „szum” wywodzi się z szeptów i zawodzenia drzew na wietrze?

Ćwiczenia tego typu klasyczna ekologia akustyczna nazywa „czyszczeniem uszu” (*ear cleaning*). Ich opis siłą rzeczy przywołuje na myśl fragmenty *The Tuning of the World* twórcy tej koncepcji R. Murraya Schafera. Chodzi przede wszystkim o skupienie uwagi na słyszeniu, uświadomienie sobie i innym, jakie bogactwo doznań otwiera się przed kimś, kto potrafi zatopić się w percepcji dźwięku. To też pierwszy krok do świadomego przeżywania relacji z otaczającym nas środowiskiem akustycznym. (Namawiałem do podobnych eksperymentów w 737. numerze „Znaku” w tekście *Pięć ćwiczeń z kształcenia słuchu*).

Pomysł partyzanckich warsztatów nad Atlantykiem wypłynął jednak przede wszystkim z przyswojenia koncepcji – trzymającego się tak daleko, jak to tylko możliwe, od ekologii dźwięku – współczesnego austriackiego kompozytora Petera Ablingera. Szum, szумы wiatru, morza i rozważania nad szumem znajdują się w samym centrum jego twórczości. Można by wręcz powiedzieć, że wykonywaliśmy z plażowiczami utwory Ablingera. Wśród prac składających się na jego cykl *Weiss / weisslich* znajdują się takie, które zgodnie z deklaracją samego kompozytora „istnieją jedynie jako tytuł”; tak na początku wykonaliśmy „Trzymaj dłonie za uszami / zabierz”, a spacer z zamkniętymi oczami był niewątpliwie interpretacją „Idź i słuchaj wody” (odpowiednio *Weiss / weisslich 19* oraz *9b*). Nawet pierwsze zdania tego tekstu – pisałem, siedząc na piasku i notując własne słyszenie oceanu – są wyni-

kiem równoczesnego wykonania „Usiąść i pisać” oraz „Myśleć, co słyszę” (*W / w 11c* oraz *11f*).

Jeszcze ważniejsze od samych utworów są dla mnie przemyślenia Ablingera na temat szumu. Biały szum (niem. *Rauschen*) jest dla niego jak białe światło zawierające w sobie wszystkie możliwe barwy. Gdy inni tworzenie muzyki rozumieją jako wypełnianie ciszy dźwiękiem, dla niego wprost przeciwnie: komponowanie jest rzeźbieniem i redukowaniem białego szumu. To ujęcie przypomina mi koncepcję fantastycznego urządzenia z *Cyberiady* Stanisława Lema, zdolnego wyczytać wszystkie możliwe informacje z ruchu cząsteczek gazu. Taki ocean – który wypełnia całe słyszalne pasmo nieskończonym akustycznym chaosem – jest zatem nie tylko gigantycznym instrumentem muzycznym; on wprost zawiera w sobie całą muzykę i wszystkie dźwięki, jakie kiedykolwiek zabrzmiały, zabrzmiały i mogły zabrzmieć. W chwili gdy piszę te słowa, na plaży kilkaset metrów na południowy zachód od miejscowości Belana w Timorze Wschodnim z oceanu wyłonił się śpiew drozda; wśród skalistych wysepek na zachód od miasteczka Paamiut na Grenlandii fala uderzyła o brzeg, nucąc refren dziecięcej piosenki, którą za 28 lat wymyśli młoda Somalijka imieniem Ayan; a u podnóża klifów na północnym krańcu bałtyckiej wyspy Hiddensee piana wydekamowała głosem Zygmunta Freuda fragment zaginionego hymnu Safony w języku Indian Charrúa.

Jeszcze na początku marca pijemy rum z colą, palimy i tańczymy całą noc w gronie wolontariuszy i nielicznych gości na tarasie bankrutującego hostelu w Punta del Diablo. Do czwartej nad ranem gadamy z L. o polsko-niemieckich historiach rodzinnych, mówimy do siebie po hiszpańsku na urugwajskim wybrzeżu skrawkami pamięci naszych babć. Przed wschodem słońca zbiegamy sporą grupą na pobliską plażę; w oczekiwaniu na świt bawimy się w słuchanie oceanu. Tłumacząc zasady spaceru z zamkniętymi oczami. Ja idę pierwszy, L. jest przewodniczką. Po minucie śmiałego marszu po opustoszałej plaży, którą oboje znamy jak własną kieszeń, L. zaskakuje mnie pytaniem: „Czujesz się bezpieczny?”. „Tak” – odpowiadam, zaciekawiony jej ingerencją w ćwiczenie. „Ufasz mi?” – Przytakuję. „Możesz pobiec”. — 

Krzysztof Marciniak

Warszawski muzykolog, krytyk, ekolog akustyczny. Członek kolektywu redakcyjnego magazynu o muzyce współczesnej „Glissando”. Czynn timerzy o strojeniu świata

Naiwni wierzą zawsze

ANNA MATEJA

Większość moich podopiecznych – kobiet skazanych za morderstwa, notoryczne kradzieże, uzależniona od narkotyków – nigdy w życiu nie nawiązała normalnej relacji. Takiej, która byłaby oparta na akceptacji, lojalności, może nawet miłości. Jak mają uwierzyć, że inne życie jest w zasięgu ich możliwości, skoro nigdy nie doświadczyły bezinteresownego wsparcia?

LIDIA OLEJNIK, PUŁKOWNIK W STANIE SPOCZYNKU, była dyrektor Zakładu Karnego dla Kobiet w Lublińcu, uważa, że o „uciążliwościach odbywania kary pozbawienia wolności nie ma co mówić”. Łatwo je sobie wyobrazić. W celi żyje cztery–pięć kobiet, które przebywają niemal wyłącznie w swoim towarzystwie. O tej samej porze pobudka i gaszenie świateł, wydawanie posiłków i wychodzenie na spacer (na wewnętrzny dziedziniec zakładu), widzenia z najbliższymi (jeżeli w ogóle utrzymują ze skazaną kontakt). Jednakowa dla wszystkich pościel, rzeczy osobiste ograniczone do niezbędnego minimum. Nawet toaleta nie zapewnia komfortu osobności, bo jest w tym samym pomieszczeniu.

„Kiedyś była oddzielona od celi jedynie zasłonką – wspomina Lidia Olejnik. – W zakładzie karnym dla kobiet osadzone dbają o wystrój: zasłonki były haftowane, w kolorowe wzory. Ale to jednak wciąż tylko szmatka... Jak tylko finanse pozwoliły, zdecydowałam, że mają je zastąpić choćby cienkie, ale jednak ściany – namiastka prywatności”.

Skazane usiłują za wszelką cenę stworzyć przestrzeń dla zachowania własnej autonomii. Jedne odmawiają wyjścia na spacer, udając, że źle się czują, byle tylko choć kilka kwadransów pobyć w samotności. Inne nie jedzą posiłku ze wszystkimi – odkładają to na później.

Listy do osadzonych są czytane przed oddaniem adresatce. Liczba paczek w miesiącu – ograniczona, ich zawartość i waga z góry określone. Przez lata ten sam

widok z okna i te same twarze. Całe życie rozgrywa się na kilku–kilkunastu metrach kwadratowych, oddzielonych od świata drzwiami, których nie można otworzyć.

„I to właśnie w karze pozbawienia wolności jest najtrudniejsze – zapewnia Olejnik. – Przemoc, przynajmniej w humanitarnie zarządzanych zakładach, zdarza się rzadko. Subkultura też nie zawsze się rozwija. Oddzielenie od świata i bliskich jest jednak w takim miejscu oczywiste”.

To jest kara. Ale to może być też szansa, żeby w przymusowej izolacji dowiedzieć się, kim jestem, czego chcę, dlaczego moje życie potoczyło się właśnie tak, co mogę zrobić, by ono zaczęło zależeć ode mnie. Lidia Olejnik: „Jestem od tego, żeby im tę szansę dać”.

*

1 WRZEŚNIA 1986 R., KIEDY PRZED PRZYSZŁĄ DYREKTOR zakładu w Lublińcu po raz pierwszy otwierano metalowe drzwi głównego wejścia, Lidia miała 25 lat, męża i trzyletniego syna oraz dyplom Wydziału Pedagogiki i Psychologii (kierunek: resocjalizacja) Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pochodzi z Piotrkowa Trybunalskiego. W lipcu 2020 r. stoi pod kilkumetrowym murem z czerwonej cegły, zwieńczonym drutem kolczastym. Więzienie wybudowano w czasach pruskiego zaboru w latach 80. XIX w. Przez kilka następnych dekad osadzano tam mężczyzn. Pierwsze kobiety pojawiły się w II poł. lat 60., po pierwszym remoncie generalnym jednostki. Kiedy Lidia Olejnik po raz pierwszy przekra-

Wielkie procesy – ocieplenie klimatu, problemy służby zdrowia, działalność na rzecz osób zmarginalizowanych – zależą od małych kroków wykonywanych przez konkretnych ludzi. Opisujemy niektórych z nich.

czała metalowe drzwi głównego wejścia, na wieży stał jeszcze uzbrojony strażnik.

Od razu po studiach była m.in. przez rok nauczycielką w szkole specjalnej. Prowadziła zajęcia dla dzieci z lekkim upośledzeniem umysłowym, zaburzonych, często zaniedbanych. Praca jej się podobała, ale czuła, że jej plan na życie jest jednak inny. Chciała pracować z kobietami pozbawionymi domu, odrzuconymi przez najbliższych, w ciąży i z dziećmi, bez domu, uzależnionymi – to były zadania, którymi młoda Lidia planowała wypełnić życie.

W Lublińcu została wychowawcą w oddziale dla skazanych wymagających stosowania szczególnych środków leczniczo-wychowawczych. Utworzono go w zakładzie pod koniec lat 60., umożliwiając terapię osobom z lekkim upośledzeniem i niepsychotycznymi zaburzeniami umysłowymi.

„Wy jesteście inni. To widać od pierwszego dnia” – słyszy Lidia od naczelnika Jana Dąbrowicza (przed 1989 r. w więziennictwie obowiązywała formuła „wy”), kiedy kilka tygodni po rozpoczęciu pracy tłumaczyła się przed nim i kierownictwem. Naczelnik otrzymał donos, że przeczytała skazanej list, którego ta nie powinna była otrzymać (osadzeni mieli prawo do czterech miesięcznie). W tym, który przekraczał limit, siostra osadzonej Romki pisała, że jej córka wyszła już ze szpitala. „Nie martw się...” – pocieszała adresatkę. Lidia poszła do celi i przy reszcie osadzonych, nie oddając listu, przekazała informację. Donos złożyła najpewniej jedna z nich.

Przy pozostałych funkcjonariuszach Dąbrowicz oficjalnie upomniął Olejnik za nieprzestrzeganie regulaminu. W cztery oczy powiedział: „Wy nawet klucz do kraty na oddziale wkładacie inaczej, niż pozostali. Podoba mi się takie podejście”.

Olejnik wyjaśnia dzisiaj: „Nadmierne ograniczenia w przekazywaniu paczek czy w kontaktach z najbliższymi uważałam za dodatkową karę, z której nie wynika żaden resocjalizacyjny pożytek. Nie złamałam prawa, pozwoliłam sobie jedynie na myślenie”.

✱

NA STUDIACH PRZYGOTOWYWANO JĄ DO PRACY Z PRZESTĘPCAMI. Na miejscu okazało się, że wie naprawdę niewiele.

„Jak można zabić własnego męża?” – zapytała Lidia podczas jednej z pierwszych rozmów, które przeprowadzała jako wychowawca. Po drugiej stronie stołu

siedziała kobieta odsiadująca kilkuletni wyrok za zabicie męża. Zauważyła uważny wzrok podopiecznej: dobrotliwy, trochę wybaczący... Zamiast wyjaśnień usłyszała właściwie jedno słowo: „Oj dziecko, dziecko...”. Chyba wtedy po raz pierwszy przekonała się, że obraz przemocy domowej, który ma w głowie: „on bije ją, a ona, zamiast się bronić, zabija go”, nie jest prawdziwy.

„Jak mogłam jej zadać takie pytanie? – mówi po latach. – Podczas kolejnych rozmów opowiadała mi o przeżytych w domu piekle”.

Mimo braku doświadczenia wie wówczas jedno: skazana pozostaje człowiekiem, niezależnie od tego, za co ją skazał niezawisły sąd. Czy to było zabójstwo trzech starszych pań w celach rabunkowych, zabicie 16-letniej córki podejrzanego o romans z partnerem matki, malwersacje w urzędzie skarbowym. Ona nie jest od oceniania, ale od pomagania, by wykonanie wyroku nie było bardziej dotkliwe, niż zdecydował sędzia. Skazane są od niej i innych funkcjonariuszy uzależnione we wszystkim – muszą prosić nawet o wysłanie listu.

W połowie lat 80. Lidia nie ma jednak pojęcia, że przemoc domowa stanowi problem systemowy. Dostrzega to garstka osób. Niewiele więcej zdaje sobie sprawę, że narkomani nie są przestępcami, ale przede wszystkim osobami potrzebującymi pomocy. Lidia o tym już wie i zafascynowana Markiem Kotańskim, pomysłodawcą i założycielem pierwszego w Polsce Ludowej ośrodka terapii dla osób uzależnionych od narkotyków, wyobraża sobie, że po 15 latach służby w więziennictwie, kiedy będzie mogła przejść na wcześniejszą emeryturę, rozpocznie pracę w jednej z placówek Monaru.

„Czułam w sobie duszę włóczęgi – opowiada Lidia Olejnik pod murami zakładu karnego w Lublińcu, gdzie ostatecznie przepracowała prawie 26 lat. – Wyobrażałam sobie, że będę chodzić po ulicach i melinach, wyciągając stamtąd ludzi, którym nikt wcześniej nie chciał pomóc”.

W 1987 r. w lublinieckim zakładzie uruchomiono jednak oddział dla skazanych uzależnionych od środków odurzających i substancji psychotropowych. Olejnik od razu rozpoczyna z nimi pracę.

Kobiety opowiadają, jak je wykorzystywano, zmuszano do przestępstw, jak okradły najbliższych i oszukiwały własne dzieci. Pierwsza ważna zasada pracy ze skazanymi: rezygnacja z oczekiwań. Dziewczyny opuszczają bowiem zakład, po czym za jakiś czas





fot. Irek Dorochańska

wracają. Odbywają kolejną karę, przechodzą następną terapię i ponownie wracają. I znowu, i znowu... Od jednej z koleżanek terapeutek słyszy: „Po co my to wszystko robimy? Przecież o naszych dziewczynach to już chyba nawet Chrystus zapomniał...”.

Lidia się obrusza: „Nie zapomniał, ale my mamy być te naiwne – te, które zawsze wierzą”. I rozstaje się z kolejnymi złudzeniami. Nie wyprostuje niczyjego życia tylko dlatego, że na tę przemianę ciężko pracuje. Nie nadrobi w ciągu kilku miesięcy czy nawet lat tego, czego jej podopieczna powinna była się nauczyć przez całe życie. Nie może więc mieć pretensji, że ona wykorzysta sytuację, skłamię albo oszuka... Przecież do tej pory tylko dzięki temu udawało jej się przeżyć.

Poprzestaje na małym, ale istotnym: terapia w zakładzie karnym pozwala dziewczynom stanąć na nogi. Podleczyć się, podbudować psychicznie. Czasami udaje się nawiązać kontakt z rodziną – to ważne, bo daje

motywację, by nie wrócić do nałogu. Bywa, że dziewczyna jest „czysta” przez kilka miesięcy, a nawet rok. To już duży sukces. A kiedy go zabraknie, myśli o tym, że są jeszcze inne pacjentki na terapii i może właśnie je uda się wyciągnąć z uzależnienia.

„W moim życiu nie działo się nic takiego, co tłumaczyłoby moje resocjalizacyjne zainteresowania” – wyjaśnia na tarasie swojego domu, obserwując pływanie 8-letniego wnuka w postawionym na lato przydomowym basenie. „Od kiedy pamiętam, zawsze mnie chwalono. Byłam jakoś zdolna, ale przede wszystkim miałam fenomenalną pamięć – to mi pomagało w szkole. A potem w pracy, bo na lata zapamiętywałam historie opowiadane mi przez osadzone. Byłam dzieckiem kochanym, które nigdy nie zostało uderzone, nawet ścierką. Od zawsze czułam się silna – że jak chcę, to mogę wszystko. W zakładzie poznałam rewers swojej drogi życiowej – co się dzieje z kobietą, kiedy zabraknie

akceptacji i miłości, w których sama wyrosłam i które uważałam za oczywiste”.

*

W CZERWCU 2020 R. SĄD APELACYJNY WE WROCŁAWIU odrzucił apelację prokuratury, utrzymując w mocy wyrok uniewinniający kobietę, która zabiła męża podczas awantury. W trakcie dochodzenia ustalono, że oskarżona była przez niego pięć lat bita. Policja zarzucała jej, że nie szukała pomocy i piła alkohol razem z mężem. Na sali sądowej podniesiono, że kobieta porzuciła dzieci. Sędzia Joanna Jakubowska-Wiraszka argumentowała jednak w 2019 r.: „Co ma zrobić kobieta 1,60 m wzrostu z mężczyzną, który ma 1,80 m wzrostu i jest silnie zbudowany, który ją dusi? Idealnie byłoby, żeby zaczekała. Ma jednak prawo do obrony koniecznej”.

Wyrok sądu apelacyjnego ma charakter precedensowy. Co też ważne: zapadł niedługo po przegłosowaniu przez Sejm przepisów wprowadzających prawo usunięcia przez policję agresora ze wspólnego domu. Do tej pory to żona albo matka z dziećmi, uciekając przed biciem, musiały szukać innego lokum. To ważny krok, który był możliwy dzięki obowiązywaniu w Polsce konwencji o przeciwdziałaniu przemocy. Tymczasem w lipcu 2020 r. minister rodziny, pracy i polityki społecznej sugerowała konieczność jej wypowiedzenia (dokument podpisano w Stambule w 2011 r., na jej ratyfikowanie poprzednia koalicja rządząca potrzebowała aż 4 lat). Minister, a później także m.in. szef resortu sprawiedliwości przekonywali, że konwencja narzuca „treści ideologiczne niezgodne z polską konstytucją”.

Kobiety, z którymi pracowała Lidia Olejnik, za zabicie męża lub partnera sądzano z reguły na osiem lat. Nie otrzymywały maksymalnego wymiaru kary, jeśli wykazano przed sądem, że morderczyni przez lata była bita, gwałcona lub w inny sposób dręczona.

„Podopieczne opowiadały mi, że sięgnięcie po nóż czy inne narzędzie to z reguły impuls – opowiada. – Mąż czy partner bił ją przecież nie pierwszy raz. Tak samo mocno. Nie planowała ataku, nie planowała obrony. Po prostu po kolejnym uderzeniu, może dlatego, że narzędzie znalazło się pod ręką, pojawiła się w głowie taka myśl... I zrobiła to”.

Bardzo rzadko, spanikowane widokiem krwi, starają się ukryć ciało (przed sądem działa to na ich niekorzyść, podwyższając wyrok nawet o kilka lat). Z reguły wzywają jednak policję i pogotowie, biegną do sąsiadów,

wołając o pomoc. Jak podaje Daria Górka w książce *Aż do śmierci. Prawdziwe historie przemocy domowej, która zmusza ofiarę do zbrodni*, w 2018 r. policja zatrzymała prawie 74 tys. osób podejrzanych o stosowanie przemocy. Ponad 41 tys. z nich to byli pijani mężczyźni.

W Polsce o przemocy domowej jako problemie systemowym pierwsze mówią feministki. W grudniu 1994 r. w warszawskim sądzie rejestruje się Centrum Praw Kobiet, które m.in. nagłaśnia społeczną skalę przemocy i szuka sposobów na wprowadzenie prawnych środków ochrony ofiar. Cztery lata później Lidia Olejnik poznaje szefową Centrum Urszulę Nowakowską. Wtedy spotkały się dwie kobiety. Pierwsza pracowała z ofiarami przemocy, które nie wiedziały, że ktoś mógłby im pomóc, a nawet jeśli wiedziały i szukały wsparcia, nie zostało im ono udzielone. Ostatecznie – zabiły albo ciężko raniły oprawcę i z ofiar stały się przestępcami. Druga, czyli Nowakowska, pracowała z kobietami, które pomoc znalazły i uwolniły siebie i dzieci od agresora.

Olejnik i Nowakowska zgadzają się, że obie grupy dzieli cienka linia graniczna. Zastanawiają się, co zrobić, by dowiedzieli się o tym inni i nie osądzali przez lata dręczonych kobiet jak morderczyń. A przede wszystkim, jak ma wyglądać terapia kobiet, które napiętnowano dwa razy. Pierwszy raz, kiedy były bite przez mężów. Drugi, kiedy zabiły. Jak nauczyć je wiary w siebie? Co musi się zmienić w ich życiu, żeby wyszły z roli ofiar?

*

Z POMOCĄ PRZYCHODZI RZECZYWISTOŚĆ. W 1998 R. DO zakładu w Lublińcu zgłasza się dyrektorka miejscowego Domu Pomocy Społecznej „Zameczek” Wiesława Dudek z pytaniem, czy wśród osadzonych są kobiety, którym można zaufać na tyle, żeby je dopuścić do opieki nad poważnie upośledzonymi dziećmi. W domu brakuje wolontariuszy, rodzice nie sprzeciwiają się takiemu zaproszeniu. Olejnik opracowuje program wolontariacki „Bona” dla kobiet, które chciałyby się tym zająć. Mają raczej niskie, czyli kilkuletnie, wyroki, nie są zaburzone, nie wykazują problemów z emocjami, dobrze dogadują się z innymi osadzonymi. Do programu zaproszone zostają także kobiety ofiary przemocy domowej, ale po zakończeniu psychoterapii. Opieka nad dziećmi z upośledzeniem umysłowym była kolejnym etapem wychodzenia z roli ofiary. Teraz to one miały stać się kimś, od kogo zależy cudze życie.



Zgłasza się kilka kobiet. Po pierwszych dniach trzy rezygnują. Chęć opuszczenia zakładu choć na kilka godzin dziennie to duża gratka, ale praca z dziećmi, z którymi często nie ma kontaktu, trzeba je karmić sondą, przewijać, mniej upośledzone uczyć mozolnie najprostszych czynności, nie daje szybkiej satysfakcji. Te, który się nie poddały, dostają namiastkę normalnego życia. Codziennie wychodzą do pracy z zakładu karnego, jak z domu. Ubierają się wyjściowo, robią makijaż. Wracają po ośmiu godzinach, podczas których dla DPS-u były pracownikami, dla dzieci opiekunkami, dla współpracowników koleżankami. O tym, kim są, przypominała im kontrola osobista przeprowadzana przy wejściu do zakładu.

Po kilku miesiącach niektóre dziewczyny chwalały się pierwszymi sukcesami. Jedna z pań nauczyła leżące do tej pory dziecko stawiać pierwsze kroki i z zapalem opowiadała, jak będzie wyglądać dalsza rehabilitacja. Inna relacjonowała postępy wychowanka, który dzięki niej potrafi już samodzielnie skorzystać z nocnika.

Skazane poczuły się potrzebne, bo pojawił się ktoś, komu na nich zależało. Z kolei Lidia Olejnik zauważyła, że resocjalizacja w takim programie jak „Bona” odzyskuje sens. Według językoznawcy Władysława Kopalińskiego resocjalizacja to „przystosowanie do życia społecznego jednostki źle współżyjącej ze środowiskiem społecznym...”.

„Ale jak przywrócić skazanego społeczeństwu, jeżeli całą karę ma odbyć w izolacji od świata? – pyta retorycznie pani pedagog. – Samym słowem nikogo nie przekonamy do zmiany życia, a już na pewno nie osoby, które od dziecka były poniżane i wykorzystywane. Co innego działanie... Zmiany widziało się gołym okiem. Skazane zdawały sobie sprawę, że mogą wyjść i pracować, dlatego że wychowawcy im zaufali. Moje podopieczne przywiązywały się do dzieci, czuły się za nie odpowiedzialne. Niektóre, chyba się nie pomyłę, jeśli powiem, że je pokochały. Zastanawiałam się, ile z nich po raz pierwszy poczuło, jak to jest być ważnym za nic – za to, że się jest. I tym samym odpowiadać”.

Być może u niektórych pojawiała się myśl, że zaangażowaniem zadośćuczyniły społeczeństwu za przestępstwa i po wyjściu mogą oczekiwać normalnego traktowania. Bo już nie mają długu... Może nawet wybaczyły same sobie.

Kilka wolontariuszek odwiedzało wychowanków także po odbyciu kary. Doświadczenia zdobyte podczas

realizacji „Bony” też nie pozostały bez dalszego ciągu. Olejnik opracowała ze współpracownikami kolejne programy wolontariackie, m.in. „Schola Vitae”, w którym pensjonariuszki lublinieckiego zakładu opiekowały się mężczyznami po chorobach psychicznych i kombatantami, oraz „Miłosierna Samarytanka” – dla opieki nad osobami starszymi i przewlekłe chorymi.

Programy z zakładu karnego w Lublińcu realizowano w systemie polskiego więziennictwa jako pionierskie. Z badań, którymi objęto uczestniczki programu, wynika, że powrót do przestępstwa nie przekracza wśród nich poziomu 0,3%.

*

KIEDY BARBARA – MALTRETOWANA PRZEZ MĘŻA I SKAZANA za zabicie osoby z rodziny – pisała sztukę *Węzły życia*, połowa z 48 więźniarek z Lublińca stanowiła ofiary ciężkiej przemocy. Był 2005 r. Lidia Olejnik została dyrektorem tamtejszego zakładu karnego. Od dwóch lat, dzięki współpracy z Centrum Praw Kobiet, funkcjonował tam Teatr Terapeutyczny (powstał za sprawą programu unijnego „Praca i godne życie kobiet ofiar przemocy”). Sztuki pisały skazane, wykorzystując wątki z własnych biografii. Wystawiają je razem z innymi osadzonymi, ale nigdy nie odgrywają swoich przeżyć. Uczą się roli, przeprowadzają kolejne próby. Nie pracują z fachowcami, spektakle są więc amatorskie. Jednak reakcja słuchaczy jest prawidłowa – czują się, jakby ktoś żelaznym uściskiem chwycił ich za gardło i nie pozwolił zamknąć oczu.

Sztuka Barbary powstała z konkretnego powodu: Rada Europy ogłosiła kampanię „Stop przemocy wobec kobiet i dzieci”.

Lidia Olejnik zapytała podopieczne: „Może macie coś do powiedzenia?”.

Barbara zdecydowała się opowiedzieć własne życie. To, nad którym, dzięki terapii, przejmowała kontrolę. Na scenie wszystko wydaje się prostsze, bo w koszmarze, w którym się żyło, uczestniczą inni. Podczas rozmowy z wychowawcą czy psychologiem (w Lublińcu są zawsze kolejki) trzeba walczyć z chaosem w głowie, dobierać słowa, których ustawicznie brakuje, nie można używać przekleństw (a co zrobić, kiedy się wśród nich wyrosło i są częścią codziennego języka?). Do tego dochodzi dziwne poczucie, że przeżywa się to jeszcze raz, chociaż to tylko słowa, a nie uderzenia. Rozmowa boli. Scena zapewnia dystans.

Scenografia sztuki Barbary jest oszczędna. W oczu rzuca się jedynie konopny sznur, na którym trzymana jest jedna z dwóch bohaterek. Pierwsza to żona bita przez męża, druga – córka poniżana przez matkę i wykorzystywana seksualnie. Po wystawieniu spektaklu w jednym z zakładów karnych dla mężczyzn, na sali zapadła głucha cisza. Nie było oklasków, a przede wszystkim nie padło ani jedno pytanie.

„Do audytorium zaproszono skazanych za przemoc domową – pamięta Lidia Olejnik. – Ta cisza dźwięczy mi w uszach do dziś. Mam nadzieję, że oni coś zrozumieli, coś do nich dotarło... Zresztą nie tylko na odbiorze sprawców przemocy nam zależało. Adresatem byli wszyscy: przekonani, że przemoc to problem tzw. marginesu społecznego, »głusi«, którzy udają, że nie słyszą, co się dzieje za ścianą, członkowie Kościoła katolickiego, którzy uważają, że rodzina to świętość, więc jak tu wzywać policję do bitej żony czy dziecka”.

Aktorki z Lublińca *Węzły życia* i inne spektakle pokazują na przeglądach teatrów terapeutycznych, m.in. w Czechach, Niemczech, Słowenii. Do tego zakłady karne, konferencje naukowe, teatry i uczelnie w Polsce (oraz jedno seminarium duchowne). Po jednym z przedstawień do kobiet podchodzi Maria Kaczyńska. Przyspieszonym z wzruszenia głosem dzieli się wrażeniami, mówi o odwadze kobiet z Lublińca.

„Słowa prezydentowej były dla nich równe ważne jak zaufanie funkcjonariuszy, którzy pozwalali im opuszczać zakład dla wystawienia spektaklu – zapewnia Olejnik. Dziewczynom zawsze towarzyszyli dyrektorka, jeden wychowawca, kapelan. – W reakcji odbiorców, którzy wysłuchali ich opowieści, poczuły akceptację. Nie zła, którego się dopuściły, ale siebie. Miały prawo uwierzyć, że jest możliwe wybaczenie i nowe życie”.

Najbardziej empatyczny wychowawca więzienny, działając tylko słowem, mógłby nigdy nie osiągnąć takiego resocjalizacyjnego efektu.



KOBIETĘ Z WYROKIEM 25 LAT POZBAWIENIA WOLNOŚCI przywieziono do Lublińca z innego zakładu karnego.

„Jak mam spędzić za kratami ćwierć wieku?” – zapytała wychowawcę Olejnik podczas pierwszej rozmowy.

„Proszę sobie wyobrazić, że wyjechała pani z domu na jakiś czas, np. do pracy – odpowiedziała funkcjonariuszka. – I proszę nie myśleć o wysokiej karze, ale

czuć się swobodnie. Zaplanować sobie codzienne życie z drobiazgów”.

Kobieta przypomniała jej tę rozmowę po 20 latach, gdy ją warunkowo zwolniono: „Dzięki temu to więzienie przeżyłam”. Olejnik była już wówczas (od stycznia 2012 r.) dyrektorem okręgowym Służby Więziennej w Opolu. „W zakładzie najważniejsza jest rozmowa – zapewnia Lidia Olejnik. – W tym miejscu polega ona na słuchaniu. Tu się nie dociska, nie zawsze zadaje kolejne pytania. Trzeba czekać, aż osoba sama nabierze zaufania. Odnajdywałam się w tym, bo umiem czekać i lubię słuchać”.

W 2016 r. wiceminister sprawiedliwości odwołał ją ze stanowiska bez rozmowy, w trybie rozkazu. Była już w wieku emerytalnym, ale nowa ekipa w ministerstwie nie ukrywała, że oczyszcza Służbę Więzienną z osób, które rozpoczęły pracę przed 1989 r. Doświadczenie zawodowe wykorzystuje więc podczas dyżurów w Telefonie Zaufania w Lublińcu i we współpracy z Centrum Praw Kobiet w Warszawie. Każdego dnia patrzy na stojącą na komodzie w pokoju jadalnym Nagrodę Rzecznika Praw Obywatelskich im. Pawła Włodkowica – średnio-wiecznego prawnika i prekursora tolerancji religijnej oraz walki o prawa osób dyskryminowanych – którą otrzymała w 2010 r. Traktuje ją jak potwierdzenie, że w pracy zrobiła wszystko, co było możliwe.

Z okna kuchni w domu pod Lublińcem Lidia Olejnik patrzy na daleką linię lasu i wylicza, czego nauczyła się o kobietach w więzieniu. Są wychowywane do roli podrzędnej i usługowej, bez wiary w swoje możliwości. Kobieta nigdy nie jest sama – w pracy z nią trzeba brać pod uwagę jej dzieci, partnera lub męża, przyjaciółki na wolności, jej emocje i troski. Istnieje społeczne przyzwolenie na przemoc wobec słabszych. Funkcjonariusz powinien zawsze szukać niesiłowych rozwiązań. Nie należy oczekiwać zbyt wiele. Nie wolno krzywdzić. Nie można łamać prawa, ale w paragrafach trzeba widzieć przede wszystkim człowieka. — **Z**

Anna Mateja

Dziennikarka. Ostatnio wydała *Receptę na adrenalinę. Napoleon Cybulski i krakowska szkoła fizjologów* (Wotowiec 2019) oraz *Poznanie Kępińskiego. Biografia psychiatry* (Kraków 2019)

Robić swoje

Adam Bodnar

w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim

Po lipcu 2017 r. wiele osób mówiło, że protesty ws. praworządności nic nie dały. Tymczasem prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf pełniła swą funkcję do końca kadencji, a 20 sędziów wróciło do orzekania. Dziś rozmawiamy o powiązaniu praworządności z funduszami europejskimi. To wszystko – drogi Obywatelu – jest efektem Twojego zaangażowania

Z *Kończy się Pana kadencja jako rzecznika praw obywatelskich. Zdaniem wielu to właściwie cud, że dojechał Pan do mety – czy jest Pan zmęczony?*

Trochę niezręcznie, mając 43 lata, mówić o sobie, że jest się zmęczonym, ale zgadzam się z prof. Ewą Łętowską, pierwszym rzecznikiem praw obywatelskich w Polsce, że jeśli tę funkcję wykonuje się na serio, to można mieć takie poczucie na koniec kadencji. W Polsce urząd RPO ma wiele zadań, w dodatku musi łączyć wiedzę ekspercką ze znajomością reguł polityki. Szczególnie wymagająca jest konieczność ciągłej gotowości. Nie można „dać sobie luzu” nawet na kilka dni. Okres mojej kadencji przypadł na

czas trudny dla polskiej praworządności i demokracji liberalnej, a ja w większości sporów na ten temat byłem obecny. Pewnie jakiś ślad to we mnie zostawiło.

Z *Ma Pan przynajmniej poczucie satysfakcji czy tylko porażki?*

Mam mieszane uczucia. Udało mi się wzmocnić urząd RPO. Rozbudowałem jego zespół. Wiele konkretnych spraw zostało załatwionych. Gdy jednak widzę, w którą stronę zmierza nasz kraj, to nie mam powodów do satysfakcji. Zawsze rodzą się pytania: co mogłem zrobić inaczej, lepiej? Czy wykorzystałem wszystkie szanse? Myślę, że każdy polski obywatel przywiązany do zasad liberalnej demokracji musi

mieć wątpliwości, czy zrobił w ostatnich latach wszystko, by ją chronić.

Z *Czy Pańska kadencja była jedynie polemiką z rządzącymi – naznaczoną obcinaniem Panu budżetu biura RPO – czy też zdarzały się przypadki współpracy i dialogu z władzą?*

Tak się złożyło, że w wielu sprawach – jak kwestia praworządności, praw osób LGBT+ czy teraz ewentualnego wypowiedzenia konwencji stambulskiej o przeciwdziałaniu przemocy domowej – jestem postrzegany jako opozycja wobec rządu, co stanowi nieuprawnione uproszczenie. Po prostu, w imieniu instytucji państwowej, podpierając się analizą prawną i naukową, zgłaszałem zastrzeżenia wobec konkretnych pomysłów ekipy rządzącej. „Polemika”, o której Pan mówi, nie była jednak tylko kwestią retoryki – ona przynosiła efekty. Myślę, że mój głos miał pewne znaczenie dla powstrzymywania zapędów władzy. W kwestii praworządności utrzymywałem kontakt z organizacjami międzynarodowymi i europejskimi, składałem wnioski do OBWE z prośbą o opinię dotyczącą nowych ustaw, występowałem w Sejmie i w Senacie – to wszystko miało wpływ na bieg spraw.

Poza tymi głośnymi medialnie problemami była też cała sfera zagadnień natury technokratycznej, w której nie narzekam na brak współpracy z rządem. Może nie mogłem sobie pozwolić na spotkanie z danym ministrem i przekonanie go do innej polityki, ale moje sugestie i pomysły były brane pod uwagę.

Bywało tak, że rząd zmieniał podejście do niektórych tematów –

gdy nagle stawały się głośnie. Gdy rozpoczęła się pandemia koronawirusa w Polsce, byłem w stałym kontakcie z rządem i – ten pewnie się do tego nie przyzna – niektóre decyzje zostały podjęte pod moim wpływem. Przykładowo – zniesione zostały zakazy wychodzenia z domu przez osoby niepełnoletnie czy wchodzenia do lasu. Myślę, że ograniczyłem też praktykę nakładania kar przez sanepid za udział w demonstracjach.

Rzecznik jednak nie tylko wskazuje problemy, ma bowiem całe instrumentarium prawne, dzięki któremu może wpływać na rzeczywistość: skargi kasacyjne, skargi nadzwyczajne, wnioski do Trybunału Konstytucyjnego, przystępowanie do postępowań w sądach. Takich spraw przez pięć lat było kilkaset. Weźmy choćby wyroki w sprawie „stref wolnych od LGBT” – gdy zaczynałem całą procedurę, mało kto wierzył, że można skarżyć do sądów administracyjnych decyzje władz lokalnych. A jednak – już trzy wojewódzkie sądy administracyjne (w Gliwicach, Radomiu i Lublinie) uznały, iż te uchwały są bezprawne. Zobaczymy, co będzie dalej.

Z *Dlatego irytuje się Pan, gdy Pańską pracę nazywa się „funkcją symboliczno-pomocniczą”?*

Prof. Wojciech Sadurski, któremu się tak powiedziało, wie przecież, co na co dzień robi rzecznik. Rozumiem, że chciał rozróżnić osoby, które oddziałują na ustrój państwa mocą autorytetu, od osób, które dzierżą w ręku rzeczywistą władzę. Miałem do niego pretensje, bo jego słowa wzmacniały przekaz, że rzecznik ma mniejszy wpływ

na rzeczywistość niż np. TK czy SN. A przecież ma! Tych 300 osób, z czego 200 to prawnicy, zatrudnionych w biurze RPO to jest armia ludzi, która wykonuje konkretną robotę. Na przykład przyłączyliśmy się do pozwu zbiorowego klientów mBanku posiadających tam kredyty frankowe starego portfela. Sprawa toczyła się od lat i okazało się, że nasz udział przyniósł skutek – mBank wycofał swoją apelację od wyroku sądu pierwszej instancji i sprawa została zakończona pomyślnie dla klientów. To tylko jeden z przykładów licznych pozytywnych interwencji sądowych.

Z *Wywodzi się Pan z ruchu helsińskiego, który główny nacisk kładł na wolności obywatelskie i polityczne. Tymczasem współczesny świat ogranicza także inne prawa człowieka: ekonomiczne czy prawo dostępności do usług socjalnych, a nawet do czystego powietrza.*

Faktycznie, ruch helsiński sięga swą historią lat 70. XX w. Wtedy to powstała Moskiewska Grupa Helsińska i inne krajowe komitety, a w Polsce w latach 80. Komitet Helsiński (a od 1989 r. także Helsińska Fundacja Praw Człowieka). Przywiązywano dużą wagę do praw osobistych i politycznych, bo zakładano, że obywatele, którym zapewni się te prawa, będą w stanie wywalczyć poszanowanie innych praw i wymusić na państwie realizację zadań w sferach socjalnych, kulturalnych i gospodarczych. Ostatnie 20 lat doprowadziło jednak do kilku zmian. Inaczej wyglądają relacje państwo–obywatel. Z jednej strony przestrzegania praw człowieka pilnują teraz często organizacje

PUBLICYSTYKA

ponadnarodowe. Z drugiej – naruszać je mogą wielkie korporacje. Ważną sferą stały się komunikacja elektroniczna i media społecznościowe – państwo nie może się im tylko przyglądać, ale jako regulator musi chronić prywatność obywateli, a także bronić ich przed zalewem dezinformacji czy hejtu.

Prawa osobiste mogą więc być niewystarczające. „Głodny obywatel” nie będzie w stanie korzystać w pełni z praw obywatelskich. Dlatego musimy też zadbać dziś o takie sprawy jak ochrona środowiska, walka z bezdomnością, relacje jednostka–korporacja.

Z *Co jest dziś ważniejsze – wolność od czy wolność do? Na przykład do posiadania mieszkania, do ochrony zdrowia.*

Wolność do posiadania mieszkania istnieje, pytanie tylko, czy mamy na nie pieniądze... Państwo powinno działać w ten sposób, aby każdy miał dach nad głową i warunki bezpieczne pod względem zdrowotnym oraz sanitarnym. To nie musi być mieszkanie, ale schronienie dla osób wykluczonych. Z tym wciąż w Polsce nie jest dobrze.

Konflikt między wolnością od i wolnością do jest dziś teoretyczny. Trudno korzystać z wielu wolności od jeśli państwo nie gwarantuje także wolności do. Weźmy jedną z podstawowych wolności od – prawo do swobodnej demonstracji i wolności słowa. Co nam z tego, jeśli np. tak jak na Marszu Równości w Białymstoku w 2019 r. państwo nie zagwarantuje nam też bezpieczeństwa? Skończy się na zagrożeniu życia i zdrowia, na zamieszkach wywołanych przez kontrdemonstrantów, które tak

wstrząsająco opisał Jacek Dehnel. To samo z wolnością słowa – która jest wolnością od cenzury – jeśli państwo odsuniemy na bok, możemy paść ofiarą mowy nienawiści w internecie. Wtedy będziemy liczyć, że państwo znajdzie hejterów i ich ukarze.

Z *Rowerzystka, która demonstrowała pod „Trójką” z antyrządowymi transparentami, została zabrana na komisariat. Nie zetknęła się z narodowcami, ale właśnie z państwem.*

Dlatego podjęliśmy działania na rzecz wyjaśnienia tej sprawy. Policja twierdzi, że została ona zatrzymana, gdyż było to nielegalne zgromadzenie. Sęk w tym, że w momencie aresztowania stała tam ona jedna. Trudno więc mówić o zgromadzeniu. Atmosfera w maju była w całym kraju napięta, a władza uciszała krytyków. To był też czas protestu przedsiębiorców, protestów przeciw wyborom 10 maja. Widzieliśmy nadmierną aktywność policji. Temat stał się przedmiotem sesji Senatu, po której senatorowie przyjęli uchwałę wskazującą nierówne traktowanie obywateli.

Z *Czy postawa policji jest dla Pana zaskoczeniem?*

Nie jest zaskoczeniem, jeśli uświadomimy sobie, że na naszych oczach zmienił się ustrój państwa. Z państwa demokratycznego przeszliśmy w kierunku ustroju hybrydowego, który nazywam konkurencyjnym lub plebiscytarnym autorytaryzmem (*competitive authoritarianism*). Wprawdzie istnieją wszystkie instytucje demokratyczne, odbywają się wybory, lecz

funkcjonowanie państwa jest tak ustawione, że opozycji znacząco trudniej przejąć władzę. Tak jakby grała w piłkę nożną, a bramkę przeciwnika miała ustawioną na nierównym boisku, na górze. Może strzelić gola, ale przy zwiększonym, nadmiernym wysiłku. Policja stała się jednym z narzędzi sprawowania władzy i obecnie podlega nadzorowi politycznemu. Dlatego obserwujemy jej nadaktywność w ściganiu określonych osób i pobłażanie, jeśli sprawcy należą do obozu władzy albo do środowisk, którym obóz władzy nie chciałby się narazić.

Do dziś policja i prokuratura nie są w stanie ukarać ludzi, którzy używali środków pirotechnicznych podczas marszów niepodległości, a jak się zdarzyło, że poseł Andrzej Halicki użył racy podczas Marszu Wolności, to od razu się tym zajęto. Innym przykładem jest historia Barta Staszewskiego, umieszczającego tablice informacyjne przy wjazdach do miejscowości, które uznały się za „strefy wolne od LGBT”. Policja w tej sprawie prowadzi postępowania.

Ta aktywność podlega falowaniu. Zdarzały się okresy, kiedy obecna władza starała się być trochę bardziej surowa np. wobec środowisk narodowych. Wtedy policja reagowała. Natomiast i to mogło się nagle skończyć pod wpływem określonych relacji politycznych. To całe nieszczęście – bo policja powinna działać, gdy ktoś łamie prawo, a nie oglądać się na polityczną koniunkturę.

Z *W autorytarnych krajach poradzieckich popularne jest określenie adminresurs, które oznacza różne agendy państwa*

Na naszych oczach zmienił się ustrój państwa. Z państwa demokratycznego przeszliśmy w kierunku ustroju hybrydowego, który nazywam plebiscytnym autorytaryzmem

zdolne do uprzykrzania życia opozycji, a nawet do wyeliminowania wielu organizacji pozarządowych. Czy w Polsce istnieje takie ryzyko?

Pamiętam, jak w Rosji dokręcano śrubę organizacjom pozarządowym – m.in. przez nakaz określania się jako „agent zagraniczny”, jeśli otrzymują darowizny spoza kraju – i tamtejsi działacze opowiadali o kontrolach służb sanitarnych, straży pożarnej, skarbowki czy inspekcji pracy, które kończyły się grzywnami i innymi sankcjami. To do tego stopnia utrudniło ich pracę, że dziś można tylko podziwiać tych, którzy dalej działają.

W Polsce też poczyniono pewne kroki w tym kierunku – mam na myśli przeszukania w siedzibach organizacji kobiecych po czarnym proteście. Prokuratura weszła do Centrum Praw Kobiet i stowarzyszenia BABA w Zielonej Górze. Teraz jednak nie widać takich działań, choć np. Obywateli RP skarżyli się, że policja ich śledziła. Widzę inne zjawisko: dzielenia organizacji pozarządowych na „nasze” i „wrogie” oraz ograniczanie środków tym drugim. Szczęśliwie nie udało się próba przejęcia funduszy norweskich oraz przeprowadzenie zmian

w ustawie o zbiorce publicznych. Jednak to ograniczanie finansowania jest groźne. Przykładowo: Fundusz Sprawiedliwości powinien wspierać m.in. organizacje monitorujące zjawisko przemocy domowej. Tymczasem obcięto środki Centrum Praw Kobiet czy Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę”, natomiast przyznano je niemałym dużego doświadczenia fundacjom związanym z Kościołem katolickim.

Z *Ostatnią instancją zdającą się mieć możliwość obrony swobód obywatelskich jest Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej – Pan nazwał Polskę „laboratorium, w którym Europa testuje działanie swoich instytucji”. Na razie ten test nie wychodzi zbyt pomyślnie. Zwłaszcza jeśli dodamy do tego przykład Węgier.*

Po pierwsze, szeroko rozumiany obóz pozarządowo-opozycyjny ma chyba nadzieję, że ktoś za nas naprawi rzeczywistość, którą mamy dookoła. To tak nie działa. Po drugie, oczekuje się maksymalnych zysków z protestu obywatelskiego: jeśli już idziemy na demonstrację i angażujemy się, to chcemy, żeby wszystkie nasze postu-

laty zostały zrealizowane. Dlatego po lipcu 2017 r. wszyscy mówili, że protesty nic nie dały. Tymczasem pewne rzeczy udało się osiągnąć: prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf pełniła swą funkcję do końca kadencji, 20 sędziów SN, w tym choćby doświadczony sędzia i Prezes Izby Karnej SN Stanisław Zabłocki, wróciło do orzekania... Oczywiście zdarzyło się wiele złych rzeczy i reforma postępowała, ale koszt polityczny dla władz okazał się spory. Dziś przecież rozmawiamy o powiązaniu praworządności z funduszami europejskimi. To wszystko – Drogi Obywatelu – jest efektem Twojego zaangażowania z lipca 2017 r. Protesty pokazały siłę społeczną, nie osiągnęły 100% zamierzonych celów, ale osiągnęły 30% – i to jest sukces.

Pamiętajmy, że na działania Komisji Europejskiej mają wpływ też protesty społeczeństwa obywatelskiego. Jeśli jednak polskie państwo mówi otwarcie, że go nie obchodzi prawo europejskie, to Unia niewiele może zrobić. Dlatego mówię o postępującym już prawnym polexicie. Ale to też będzie oznaczało koszty dla władzy. Weźmy prosty przykład kobiety, Magdaleny K., która była związana ze środowiskami kibicowskimi Krakowa i jest podejrzewana o liczne przestępstwa. Obecnie ta pani przebywa na Słowacji i nie można jej zawrócić do Polski w celu osądzenia, bo jej adwokaci powołują się na problemy z praworządnością w naszym kraju, więc nie można zastosować europejskiego nakazu aresztowania. W którymś momencie więc obywatele przyjdą do ministra sprawiedliwości i pytają go, jak to jest, że nie można osądzić ludzi podejrzanych o przestępstwa. Co się

PUBLICYSTYKA

powie osobom pokrzywdzonym? Trudno będzie zważyć winę na opozycję.

Z *Narzekamy na władze, ale gdy przemawia Pan w Sejmie, to ławy opozycji także są puste...*

Frekwencja rzeczywiście była słaba, choć podczas ostatniego mojego wystąpienia było lepiej.

Do opozycji mam żal o coś innego – praca rzecznika to potężny wysiłek na rzecz wskazania tego, co można w Polsce poprawić. I mam wrażenie, że nie zawsze posłowie i senatorowie chcą z tej zdobytej wiedzy skorzystać i przełożyć ją na własne działania. To, co robimy, daje podstawę do wielu różnych interpelacji, zapytań, specjalnych posiedzeń komisji. Nie twierdzę, że to się nie dzieje, ale takich działań jest za mało. Dużo w tym przypadkowości, chwilowego zainteresowania pod wpływem mediów.

Co do PiS – to smutne, że politycy tej partii ignorują moje wystąpienia. Bo ja nie tylko krytykuję rząd, ale mówię też o jego pracy pozytywne rzeczy. Wskazuję chociażby na ograniczenie stref ubóstwa, lepszą sytuację pracownika na rynku pracy, dobry program Dostępność plus dla osób niepełnosprawnych. Chwalę także reformę w zakresie leczenia psychiatrycznego: właśnie ruszył pilotaż centrów zdrowia psychicznego. Sporo rzeczy sensownych się zdarzyło i mówię o tym uczciwie. Szkoda, że posłowie PiS nie chcą tego słuchać.

Z *No właśnie: Pan też mówi o ograniczaniu stref ubóstwa. Tymczasem rząd lansuje programy socjalne, jednocześnie po cichu ograniczana jest pomoc*

państwa dla wielu grup niewidocznych – jak choćby niepełnosprawnych dzieci.

PiS posługuje się magią wielkich liczb, bo ona przekłada się na konkretny wynik polityczny. Program 500 plus, masowe wsparcie dla dzieci w szkołach, czyli wyprawka, dla emerytów – 13 emerytura – to wszystko wpływa na głosy poparcia. Jeśli jednak na to idą olbrzymie środki finansowe, to brakuje wrażliwości i pieniędzy na różne programy, które dotyczą poszczególnych grup mniejszościowych. Jest kilka takich grup: kobiety z rocznika 1953, które przeszły na wcześniejszą emeryturę i trzeba wysokość pobieranych świadczeń przeliczyć na nowo, osoby dotknięte niepełnosprawnościami i ich opiekunowie, a także kobiety, które otrzymują alimenty, ale od lat nie mogą się doprosić podniesienia progu dochodów, które uprawniałyby do świadczeń z funduszu alimentacyjnego. Do tej grupy doliczyłbym również ofiary ustawy dezubekizacyjnej, bo jej mechanizm skrzywdził wiele osób. Nie mogą one jednak liczyć na poprawę sytuacji ze względu na oszczędności bądź ideologię.

Z *Co więc robić?*

Tłumaczyć, że to właśnie nic innego jak konsekwencja kryzysu praworządności. Jedynie, co teraz mogą zrobić poszczególni obywatele, to wszczęcie postępowań sądowych. To jednak rozwiązanie dla garstki osób.

Z *Nasza konstytucja obiecuje bardzo wiele rzeczy – w kwestii ochrony zdrowia czy edukacji i zatrudnienia – ale te obietnice*

pozostają na papierze, i było tak przed 2015 r. Może więc obywatele, widząc, że prawo nie działa, godzą się na jego łamanie także w innych sferach.

To prawda, że konstytucja traktowana była w sposób umowny i nie do końca zobowiązujący. Myślę, że to jest wynikiem dwóch czynników.

Po pierwsze, sam jej język jest tak niejednorodny w zakresie ochrony praw i wolności, że nawet specjaliści mają z nim kłopot. Konstytucja daje zbyt duże nadzieje odnośnie do tego, co państwo jest w stanie zaoferować. Mówi np., że każdy ma prawo do ochrony zdrowia. Brzmi to ładnie, ale potem jest napisane, że zakres tego prawa określa ustawa. Człowiek więc już nie wie, czy ma to prawo czy nie. Inny przepis głosi, że władze publiczne prowadzą poli-

**„Głodny obywatel”
nie będzie
w stanie korzystać
w pełni z praw
obywatelskich.**

*Dlatego musimy też
zadbać dziś o takie
sprawy jak ochrona
środowiska, walka
z bezdomnością,
relacje jednostka–
korporacja*

tykę sprzyjającą likwidowaniu bezdomności i zapewniającą realizację potrzeb mieszkaniowych obywateli. To jest norma programowa, ale obywatel nie jest jej adresatem i z niej wcale nie wynika, że obywatele mają dostać mieszkania, lecz jedynie, że władze mają się starać je zapewnić.

Po drugie, to, że konstytucję zostawiono w rękach profesjonalistów – Sejmu, Trybunału Konstytucyjnego, RPO – oznaczało, że zabrakło niestety troski, by jej rozumienie stało się normą dla obywateli.

Z *Jak ocenia Pan sytuację emerytów i osób starszych w Polsce, których większość, jak podają sondaże, głosuje na PiS? Często są to ludzie bez pieniędzy, bez bliskich, nawet bez możliwości wyjścia z domu.*

Naprawdę sporo zrobiliśmy dla osób starszych. Monitorowaliśmy choćby sytuację w domach pomocy społecznej, ale to nikogo z rządzących to interesowało...

Z *A z opozycji?*

Posel Michał Szczerba ma ten problem na sztandarach, ale jest osamotniony w swoich działaniach. Nie mam wrażenia, że opozycja chce zająć się położeniem osób starszych. Dominuje myślenie w kategoriach czysto finansowych – jest wola zwiększania świadczeń, ale nikt nie szuka rozwiązań systemowych. Czy to brak odwagi, by zaproponować głębszą debatę, czy też magia wyborów ma to do siebie, że trzeba posługiwać się prostymi hasłami? Problemem starszych samotnych ludzi w ogóle jest trudno kogo-

kolwiek zainteresować. Jeździłem po Polsce na różne spotkania z radami seniorów oraz uniwersytetami trzeciego wieku i mówiłem o sytuacji w DPS albo o osobach niesamodzielnych zamkniętych w domu, ale akurat te starsze osoby na spotkaniach nie chciały o tym słuchać. Były zainteresowane zniżkami na leki, dofinansowaniami do wycieczek czy – jak w pewnej mniejszej miejscowości – do wizyt w teatrze w mieście wojewódzkim... Najlepszym dowodem na to, jakie opory wzbudza dyskusja o osobach starszych, jest to, że do dziś nie ma narodowego programu alzheimerowskiego.

Z *Czy Kościół katolicki, poprzez swój sojusz z państwem, jest elementem ograniczania prawa człowieka w Polsce?*

Może nie sam Kościół jako instytucja, ale politycy, którzy z Kościołem sympatyzują i dzięki temu mają jego poparcie na poziomie strategicznym i lokalnym. Sprawia ono, że realizują określone postulaty episkopatu lub chronią Kościół przed odpowiedzialnością – zwłaszcza jeśli chodzi o pedofilię.

Z *Może nie byłoby dyskusyjnego obecnie pomysłu wypowiedzenia konwencji stambulskiej, gdyby nie retoryka Kościoła?*

Kto rozpętał w lipcu całą dyskusję – episkopat czy politycy? Kościół nie był tu głównym rozgrywającym. Mam wrażenie, że Kościół jest wykorzystywany przez polityków wtedy, gdy im to jest na rękę. Kiedy episkopat promował pomysł korytarzy humanitarnych dla uchodźców, partia rządząca

jakoś go nie posłuchała. Podobnie „pragmatyczne” podejście politycy prawicy demonstrują wobec kwestii pełnego zakazu aborcji – tu doktryna Kościoła nie jest tak skwapliwie realizowana.

Z *A i tak w Polsce prawo do legalnej aborcji jest bardzo ograniczone ze względu na klauzulę sumienia. Na Podkarpaciu dokonanie legalnej aborcji jest już praktycznie niemożliwe.*

Problem polega na niewykonaniu ustawy, ale widać dla wielu jej „praktyczne” zablokowanie to wciąż za mało.

Z *Czy rzeczywiście istnieje napięcie między tradycyjnymi wartościami a nowoczesnie rozumianymi prawami człowieka, czy to tylko gra polityczna mająca na celu podział społeczeństwa?*

To napięcie istnieje niezależnie od tego, że dyskusja w Polsce ma charakter wypaczony i mało merytoryczny. Z jednej strony są grupy, które postulują ochronę tradycji – rodziny, chrześcijaństwa, pewnego modelu relacji państwo–obywatel, z drugiej strony mamy międzynarodowy proces ewolucji w interpretacji praw człowieka. Prosty przykład: część środowisk kobiecych mówi dziś o prawie do aborcji jako o jednym z praw człowieka, tymczasem dla osoby przywiązanej do tradycyjnej wykładni aborcja to wyjątkowa sytuacja, na którą ustawodawca może zezwolić tylko w kilku okolicznościach. To musi rodzić napięcia.

Nasza rzeczywistość jest o tyle trudna, że niektóre wartości dotąd oczywiste, jak zakaz dyskryminacji osób LGBT, zaczęły być nego-

PUBLICYSTYKA

wane. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ta retoryka pojawiła się w kampanii.

Z *Jaki jest wpływ pandemii na prawa człowieka? Lewicowi ekonomiści i socjologowie alarmują, że dyskusja o prawach pracowników zostanie odsunięta na „święte nigdy”, a sytuacja jeszcze się pogorszy, bo firmy przerzucają koszty na pracowników pracujących w domach. Teraz rodziny gnieźdzą się w swych mieszkaniach – rodzice muszą pracować, opiekować się dziećmi, kupować więcej laptopów i płacić za szybszy internet, który obsługuje ich wideokonferencje w pracy i e-lekcje dzieci.*

Jesteśmy w trakcie pandemii. Widzimy pewne trendy, ale trudno wyciągać wnioski. Mówi Pan, że praca zdalna to przerzucanie kosztów na pracowników, ale inne dane mówią, że choć wiele firm zanotowało wzrost efektywności, to praca zdalna może obniżać kreatywność, która wymaga kontaktu z ludźmi. Jestem optymistą. Wydaje mi się, że siłą rzeczy w czasie pandemii oswoiliśmy się z nowymi środkami komunikacji i to daje szansę na promowanie wartości demokratycznych wśród środowisk, które do tej pory były poza naszym zasięgiem.

Z *Mam na myśli nieco inne zjawisko: fajnie, że mamy telekonferencje, ale część danych sugeruje, że wzrasta poziom przemocy domowej.*

Dlatego dziś powinniśmy rozmawiać o wzmocnieniu obywateli w sytuacjach przemocowych,

a nie o wypowiedzeniu konwencji stambulskiej.

Z *W książce Obywatel PL, wywiadzie rzece, który przeprowadził z Panem Bartosz Bartosik, powiedział Pan, że spędza Panu sen z powiek pytanie: „Co się stanie z naszą wspólnotą, kiedy przyjdzie kryzys gospodarczy?”. No właśnie – co?*

Czekamy na plan budżetu na kolejny rok. Obawiam się, że może dojść do cięć, czyli do zwolnień w sferze budżetowej, oraz ograniczania aktywności państwa w wielu dziedzinach.

Poza tym możemy stanąć wobec trzech poważnych konfliktów. Pierwszy na linii starzy-młodzi. Ponieważ wróciliśmy do niskiego wieku emerytalnego, to coraz mniej osób pracuje na utrzymanie emerytów. Z każdym rokiem to zjawisko będzie się pogłębiać, a kryzys je tylko uwypukli. Więzy solidarnościowe między pokoleniami mogą nie wytrzymać. Już dziś młodzi ludzie i ci w wieku średnim narzekają, że muszą utrzymywać państwo, a w zamian otrzymają znacznie niższą emeryturę niż ich rodzice i dziadkowie. Drugi konflikt może dotyczyć relacji z mniejszościami narodowymi i etnicznymi oraz migrantami. W czasie kryzysu grupy skrajne mogą zacząć szukać winnych złej sytuacji finansowej w obecności „obcych” – wtedy zacznie się oskarżanie o zabieranie miejsc pracy, i te hasła mogą stać się nośne. Trzeci potencjalny konflikt może zrodzić się w wyniku wspomnianych cięć w budżecie i ich skutków dla agend rządowych. Już się przekonaliśmy,

jak słabo działał niedofinansowany sanepid. A co, jeśli dojdzie do podpalenia wysypisk śmieci bądź zatrucia wody, jak to miało miejsce w lipcu w Wieliczce – kto to będzie sprawdzał, kontrolował i temu przeciwdziałał? Jak będą funkcjonować urzędy pracy? Jeśli będą niedofinansowane, a liczba bezrobotnych gwałtownie podskoczy, może dojść do nieprzewidzianych sytuacji.

Od 20 lat żyliśmy w przekonaniu, że każdy następny rok będzie lepszy. Tymczasem rok 2021 może być znacznie gorszy. — **Z**

Adam Bodnar

Rzecznik praw obywatelskich w latach 2015–2020, jego kadencja upływa we wrześniu. Dr hab. nauk prawnych, prof. na Wydziale Prawa Uniwersytetu SWPS. W latach 2004–2015 związany z Helsińską Fundacją Praw Człowieka, w latach 2010–2015 jej wiceprezes. W 2018 r. rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar i jego Biuro zostali wyróżnieni norweską nagrodą Rafto przyznaną obrońcom praw człowieka na świecie

Ogrody pamięci

Człowiek z darem widzenia

Była w nim wewnętrzna prawość. I – z gruntu franciszkańska – dobroć. Pamiętam jego uśmiech, dobre oczy i budzącą zaufanie twarz: oblicze człowieka wiarygodnego

Szanujące się pisma miewają dziś własnych dyrektorów artystycznych. Kiedyś ich funkcje wykonywali redaktorzy techniczni i graficzni, będący nierzadko wybitnymi artystami. I tak np. w dawnym „Tygodniku Powszechnym” prozaicznym, jak mogłoby się zdawać, łamaniem numeru zajmowali się znakomici graficy Eugeniusz Olszak i Stefan Papp czy świetny malarz i witrażysta Jerzy Skąpski (1933–2020).

Do historii polskiej sztuki Skąpski wszedł przede wszystkim jako twórca witraży (wiele z nich zaprojektował wraz z żoną Marią Roga-Skąpską, zmarłą w 1984 r.). Jego prace można dziś oglądać w wielu kościołach w Polsce (m.in. w nowohuckiej Arce Pana) i za granicą. Swego czasu (mam tu na myśli okres, w którym znaczna część księży umiała jeszcze odróżnić piękno od religijnego kiczu) niezwykle cenili je ludzie Kościoła w Polsce. I nic dziwnego. Bo jak mówi historyk sztuki, dyrektor pijarskiego Centrum Wiara i Kultura w jego rodzinnym Hebdowie, ks. Eugeniusz Grzywacz, prace Jerzego Skąpskiego „pozwalają odczuć prawdziwe sacrum, (...) wyciszają i przybliżają do Boga”.

Nazywano go nieraz Mehofferem naszych czasów. Działo się tak zapewne także z powodu monumentalności niektórych jego dzieł (z tego punktu widzenia warto zwrócić uwagę na znajdujący się w kościele w Jaworznie witraż o powierzchni 177 m²). Inni – zapewne ze względu na bogactwo wyobraźni, kolorystykę i umiejętność widzenia i ukazywania „światłości, cudownej barwności zaświatów” (cyt. za o. J.A. Kłoczowski) – obdarzali go mianem polskiego Chagalla.

Do redakcji „Tygodnika” Skąpski trafił na początku lat 60. ubiegłego stulecia. Najpierw pojawiał się tam jako student, uczestnik spotkań dyskusyjnych. Wkrótce zadebiutował jako ilustrator, a kiedy zwolnił się etat redaktora technicznego, złożył ofertę pracy, choć odradzał mu to ponoć sam Jerzy Turowicz, który obawiał się, że obowiązki związane z łamaniem pisma opóźnią jego rozwój artystyczny.

Tak się na szczęście nie stało, choć obecność w stosującej wówczas otów drukarni nie najlepiej wpłynęła na jego zdrowie. Jak wspominał po latach: „Praca była nerwowa i niezdrowa. Poprzedni techniczni z przepracowania zapadali na gruźlicę, co i mnie po kilku latach pracy



Janusz Poniewierski

Publicysta, od 1985 r. związany ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” i Znak. Były kierownik działu religijnego „TP”, długoletni redaktor „Znaku”. Autor drukowanej na tych łamach w odcinkach historii miesięcznika: „W tym znaku zwyciężysz” (2006)

dopadło. Spędziłem dłuższy czas na leczeniu, do drukarni już nie wróciłem”. Zajął się wówczas organizacją archiwum fotograficznego, tworzył ilustracje do tekstów. Z czasem jego formalne związki z „Tygodnikiem” zaczęły się rozluźniać, do końca jednak, jak sądzę, czuł się członkiem szeroko rozumianego środowiska „TP” i „Znaku”. A dopóki żył Jan Paweł II, dwa razy w roku rysował kartki świąteczne, wysyłane następnie z Krakowa do Watykanu. (Skoro mowa o papieżu, warto wspomnieć, że to właśnie Jerzy Skąpski był autorem biskupiego herbu Karola Wojtyły – krzyża z umieszczoną pod nim literą M).

Pamiętam jego ciepły, przyjazny uśmiech, dobre oczy i budzącą zaufanie twarz. Wspominam też próby podjęte kiedyś przez właścicieli pewnej prywatnej telewizji, przygotowującej blok audycji poświęconych życiu Ewangelią. Nie znali Skąpskiego, ale zobaczyli go na jakiejś fotografii i uparli się, że to właśnie on powinien dla nich pracować – bo ujrzeli w nim człowieka wiarygodnego, kogoś, komu nie sposób nie zaufać.

Była w nim wewnętrzna prawość. I – z gruntu franciszkańska – dobroć. Pan Jerzy nie odmawiał, ilekroć zwracała się doń Fundacja im. prof. Aleksandrowicza, prosząc, by przekazał swój obraz na aukcję, z której dochód przeznaczony był na pomoc chorym na białaczkę. Rozumiał ludzi dotkniętych cierpieniem i współczuł im. Jego witraże zdobią krakowską Klinikę Hematologii i kaplicę w Hospicjum św. Łazarza. On sam był kawalerem Rycerskiego i Szpitalniczego Zakonu św. Łazarza z Jerozolimy, którego reguła wymaga życia zgodnego z zasadami wiary i miłosierdzia wobec potrzebujących.

Jedną z pierwszych książek, opracowanych przezeń graficznie dla wydawnictwa Znak, był benedyktyński mszałik na niedziele i święta. Ukazało się aż pięć wydań (pierwsze w 1964), towarzyszyły one procesowi wdrażania w Polsce posoborowej reformy liturgii – i choćby z tego tylko powodu znaczenie tej publikacji było wtedy ogromne.

Jerzy Skąpski przyłożył się do tego z wielką pieczołowitością, a na koniec podał do druku nazwiska wszystkich osób zaangażowanych w to przedsięwzięcie, włącznie z metrampażem, który mu potem powiedział, że po raz pierwszy w życiu ktoś zauważył i docenił jego pracę.

Cały Pan Jerzy. Człowiek z darem widzenia. — **Z**

Wrota Tannhäusera

Ten stolik jest mało stabilny

Kawiarnie stały się nowymi biurami, tu się nie gada, tylko pracuje

Coraz częściej mam wyrzuty sumienia, gdy podchodzę do znajomych w kawiarni. Podnoszą na mnie wzrok znad laptopów, po chwili rozmowy dają znać, że muszą wracać do pracy. Nie, nie wychodzą – sięgają po notatki, po myszkę, włączają uśpiony laptop.

Kawiarnie stały się nowymi biurami, tu się nie gada, tylko pracuje. Byłam już świadkiem kawiarnianych rozmów kwalifikacyjnych, wywiadów, negocjacji, narad kilkuosobowych zespołów, a nawet próby do niskobudżetowego filmu.

Słyszałam skierowane do personelu prośby o ściszenie muzyki. Słyszałam, jak ludzie pracy uciszali innych, którzy do kawiarni przyszliz po prostu towarzystwo, pośmiać się i poplotkować.

– To nie jest już miejsce goszczenia się, proszę zobaczyć, nie liczą się z nikim i z żadnymi reakcjami – powiedział mi znajomy psycholog w jednym z sieciowych lokali. Rozmawialiśmy o tym, jak zmienia się świat pracy. – Ci ludzie przychodzą w miejsca publiczne tworzyć strukturę zaborczą.

Można to obśmiać, można przywoływać stereotypowe obrazy z kobietami i mężczyznami pochylonymi nad sojową latte, ale ja wolę myśleć o zmianach, które stoją za tymi obrazkami.

Jeszcze niedawno, 10, 20 lat temu człowieka należało do pracy przyjąć, zapoznać z firmowymi zasadami i z topografią, poznać z zespołem, dokonać adaptacji – dziś te rytuały życia pracowniczego stają się jeśli nie zbędne, to nieaktualne. Umowa o pracę i wszystko, co z nią przychodzi, przestała być oczywistością.

Gdy po covidowym zamknięciu kawiarnie zaczęły znowu parzyć espresso nie tylko na wynos, przy stolikach najszybciej zasiedli nie turyści, nie zwolennicy przyjacielskich pogawędek przy kawie, lecz ludzie pracy, przedstawiciele wolnych zawodów. A właściwie prekariusze, osoby pozbawione nie tylko umów o pracę, stabilnych dochodów i praw pracowniczych, ale także biur i biurek.

Sporo osób mówi, że kawiarnie są idealnym miejscem pracy, i nie chodzi wcale o wizerunek twórczego *freelance'a*. Kawiarnie dają wszystko, co wielu jest potrzebne do pracy – kawałek stołu i dostęp do sieci.

Można też w nich zwalczyć poczucie odizolowania, bo praca to przecież także relacje społeczne – kiedy nie ma miejsca pracy, tych relacji brak.

Wbrew pozorom praca w takim miejscu przynosi również jakąś formę kontroli. Jest się wśród ludzi, można się poczuć, jakby naprawdę ktoś obserwował, co się robi: przez chwilę porozmawiałaś czy porozmawiałaś z kimś znajomym, ale teraz patrz już w laptop i skup się na robocie.



Olga Gitkiewicz

Redaktorka i dziennikarka.
Autorka reporterskich książek
Nie hańbi oraz *Nie zdąży*.
Współpracuje z Instytutem
Reportażu

Przychodzenie do ulubionej kawiarni daje też pewne ramy, trochę rutyny, która kojarzy się z pracowniczym życiem. Ktoś powie: a hałas? Izolują od niego słuchawki, niektórzy zresztą nie potrzebują się izolować. Poza tym z badań wynika, że kawiarniany gwar czy muzyka dekoncentrują mniej niż domowe rozpraszacze: zmywanie, pranie, remonty za ścianą, płacz dzieci. Sprawdziłam to zresztą wielokrotnie na własnej skórze.

Trzeba płacić, coś zamówić, owszem, to boli, zwłaszcza przy nieregularnych zarobkach. Ale jeśli się przeliczy – uśredniając, jedna, dwie kawy dziennie, trzy razy w tygodniu, czasem jakieś ciastko lub kanapka... w miesiącu takie „biuro” może kosztować na przykład 300, 400 zł, choć i mniej – barmani i barmanki mówią, że zdarzają się klienci, którzy siedzą kilka godzin nad szklanką wody.

Kawiarnie mają zresztą różne strategie. Niektóre zakrywają gniazdzka sieciowe, sygnalizują, że co dwie godziny warto coś zamówić, wymagają cyklicznego

logowania się do wifi hasłem podawanym przy barze – domyślnie klient, który pójdzie do obsługi po nowe hasło, coś zamówi. Inne lokale wprost reklamują się jako miejsca pracy przy kawie, wydzielają przestrzeń dla gości z komputerem.

Niektórym jednak praca w kawiarni nie odpowiada, potrzebują bardziej biurowych warunków. To dla mnie jeszcze inna odsłona zmian w świecie pracy: chodzi o biura co-workingowe, czyli biurka wynajmowane na godziny. To wciąż jeszcze perspektywa większych miast, jednak i w moim niespełna czterdziestotysięcznym otwiera się właśnie co-working.

Wielu i wiele z nas tak często w ostatnich latach słyszało, że stabilność zatrudnienia, stabilność w pracy jest czymś, czego nie warto oczekiwać, że cenna jest elastyczność – dziś właściwie nie oczekujemy tej stabilności. Niektórzy już nawet nie wyobrażają sobie etatu, stałości, sztywnych reguł. Dlatego pozbawieni miejsc pracy nie generują kosztów pracowniczych, za to kolonizują kawiarnie i biura współdzielone. Oswajają te strategie i nawet zaczynają je lubić. Ludzie pozbawieni umowy o pracę, składek, ubezpieczenia, stabilnych dochodów i stanowiska pracy przychodzą do kogoś i płacą, żeby to stanowisko na kilka godzin zdobyć.

Wczoraj za ścianą miałam wiertarkę udarową, więc wzięłam komputer pod pachę i poszłam szukać wolnego stolika w kawiarni.

Przy jednym ze stolików siedział duch kapitalizmu i chichotał: a więc wychodzą z domu, żeby w kawiarniach stylizowanych na wnętrza domowe oddawać się pracy. — **Z**

Springer z trasy

Do końca asfaltu

Lubię myśleć o trasie jak o tekście. Można je komponować w podobny sposób. Potem trzeba sprawdzić, czy działają – tekst przeczytać na głos, a trasę przejechać

W samym epicentrum tego wszystkiego był niewielki basen. Dookoła stały leżaki. Na oparciach powieszono białe ręczniki. Ich biel połyskiwała w wypłowiłym pejzażu. Bo basen był przy hotelu Czarna Perła, a hotel w samym środku przestrzeni zgwałconej. Z jednej strony ogromny parking, z drugiej – zbiornik przeciwpożarowy, *bike park* dla początkujących, wypożyczalnia nart i rowerów górskich, automaty do kupowania chińskiego czegoś, restauracja, gofrownia, maszynownie wyciągów. Jezu, budowa tam nawet jakaś trwała, zaraz przy tym basenie i ludziach na leżakach kręcili się robotnicy, pozgrzytywała koparka, wiatr rozwiewał pryzmy nagrzanego piachu.

Starałem się nie zwracać na to wszystko uwagi. Niewolniczo wręcz przykułem wzrok do tych ręczników. Chciałem się w ten sposób jakoś zbliżyć do koncepcji wypoczynku w tym miejscu i w tych warunkach. To nie mogło być tanie – miejsce w tym apartotelu. Ktoś wydał niemałe pieniądze, żeby spędzić tak urlop. Próbowałem to pojąć. Ale i tak najgorsza w tym wszystkim była sama góra. Jej powierzchnię zryto do żywej ziemi trasami narciarskimi i ścieżkami do rowerowych zjazdów. Sama wypukłość z niej została, bo wszystko inne było sztuczne albo zniszczone. Cały krajobraz został tu efektywnie skapitalizowany, na każdym jego elemencie ktoś zarabia. „Inwestycja z widokiem na zysk” – kuśił deweloper na billboardzie reklamującym budowę kolejnego apartamentowca w tym miejscu.

Lubię myśleć o trasie, którą mam przejechać, jak o tekście. Da się ją w podobny sposób zakomponować. Zanim wsiądę na rower, długo przypatruję się zdjęciom satelitarnym, na cieniowanym, numerycznym modelu terenu w geoportalu sprawdzam ślady dawnego osadnictwa – czasami widać tam nawet pozostałości chałup albo grodzisk sprzed kilkuset lat. Wystarczy dobrze patrzeć. Potem przychodzi czas weryfikacji. Gotowy tekst trzeba na głos przeczytać, żeby wychwycić w nim wszystkie kanty i chropowatości. Z trasą jest podobnie – trzeba ją przejechać, najlepiej kilka razy, by sprawdzić, czy opowiada przestrzeni tak, jak chciałoby się ją poczuć.

I trasa, i tekst potrafią oczywiście wymknąć się z planu, pobiec w swoją stronę. Wtedy jest najlepiej.



Filip Springer

Pisarz i fotograf. Autor cykli reporterskich oraz książek tłumaczonych na angielski, niemiecki, rosyjski i węgierski. Współtwórca festiwalu literackiego MiedziankaFest. Ostatnio opublikował *Dwunaste: Nie myśl, że uciekniesz*

Dlatego właśnie pojechałem do Siennej. Gdy tylko zobaczyłem na mapie nazwę „Czarna Góra Resort”, wiedziałem, że tam będzie źle. Pomyślałem, że to dobry początek wyprawy na koniec asfaltu. Bo tak naprawdę moim celem były Bielice, 18 km na wschód stamtąd. Popatrzyłem więc na te wszystkie „widoki na zysk” i puściłem się szosą w dół. Przeleciałem przez Stronie Śląskie i po chwili byłem na pustej drodze wciskającej się w dolinę Białej Łądeckiej. Minąłem Goszów, Stary Gierałtów. Szosa biegła cały czas tagodnie pod górę, i to też był zaplanowany element opowieści. Wiedziałem bowiem, że gdy dotrę do jej końca, zacznę jej zupełnie nowy akapit. Pojadę tą samą drogą, tyle że w dół – a to znaczyło, że zupełnie inną. Pejzaż na podjeździe włązi przecież w człowieka inaczej niż na zjeździe. Kreska na mapie jest taka sama, tylko wektor ruchu zmienia przypięte do niej przymiotniki.

Za Nowym Gierałtówem zrobiło się pusto, a zbocza doliny zbliżyły się do drogi. Od porastającej je świerczyny ciągnęło chłodem. Szosa była równa i zakolami przeskakiwała przez rzekę.

Obiecałem sobie, że dotrę do jej końca, do tego miejsca, w którym zamienia się w szutrowkę i przepada w górach. W końcu dotarłem do Bielic, minąłem kościół i podjechałem jeszcze kawałek do góry. Przy leśniczówce obróciłem rower o 180 stopni, zjadłem banana i zacząłem wracać.

Dopiero gdy jechałem, z uspokojonym już tętnem i oddechem mogłem porozglądać się na boki. Poniemiecka zabudowa mieszała się tu z nowymi katalogowcami i niespełnioną góralszczyzną. Zaraza pięta się w głąb doliny. Pożerała jej kolejne zakamarki. Na parkingach przy pensjonatach i agroturystykach stało pełno samochodów z rejestracjami z całego kraju. Pomyślałem, że dla takich miejsc jak ten koniec asfaltu w Bielicach z rozsypującą się chatą pamiętającą pewnie I poł. XIX w. jedynym ratunkiem jest cisza. Ocalić je może jedynie milczenie albo pisanie o nich wbrew mapom i topografii.

Że to wcale nie były Bielice, tylko raczej Czernica Mała, i wcale nie na wschód od Stronia, tylko na południe. I że to wcale nie było w dolinie Białej Łądeckiej, tylko jakiegoś bezimiennego potoku.

Że tylko tak ocaleją przed nami wszystkimi. — **Z**

□ **Walter Benjamin w Bibliotece Narodowej w Paryżu, 1937 r.**
fot. Gisèle Freund / RMN-GP / BE&W



Co jeszcze mógł napisać?

80 lat temu zmarł Walter Benjamin.

Mimo przedwczesnej śmierci jego spuścizna jest ogromna.

A zastanawiać się można, co ten niespełna 50-letni myśliciel napisałby np. o Ameryce, do której uciekał z okupowanej przez nazistów Francji.

Esej *Neapol*, który prezentujemy, uzupełnia sekwencję portretów miast sporządzanych czasem na gorąco, w podróży, a czasem na podstawie wieloletnich studiów. Należą do nich jeszcze m.in. Berlin, Marsylia, Moskwa i oczywiście, opisany w słynnych *Pasażach*, Paryż. Jednocześnie tekst ten wpisuje się w tradycję relacji z włoskich wojaży, budząc skojarzenia z takimi klasycznymi opisami jak te pozostawione przez Ferdinanda Gregoroviusa czy Pawła Muratowa.

Jak we wszystkich tekstach Benjamina, także tu mistrzowska obserwacja łączy się z niezwykłą erudycją i humorem.

Co nowego wniósł Benjamin do XX-wiecznej humanistyki? Na czym polega jego wyjątkowość? Co fascynowało go w podróżach i mieście?

Odpowiadają

Walter Benjamin i Asja Lăcis, a także Adam Lipszyc

Neapol

WALTER BENJAMIN, ASJA LĀCIS

*Kawiarnie neapolitańskie są małomówne.
Dłuższe w nich przesiadywanie jest raczej
wykluczone. Filiżanka supergorącego
espresso i do widzenia, drogi gościu*

PRZED PAROMA LATY PEWNEGO KSIĘDZA, WINNEGO CZYNÓW NIE-
obyczajnych, obwożono na wózku po ulicach Neapolu. Szedł za nim
złorzęczy tłum. Zza rogu wyłonił się orszak weselny. Ksiądz pod-
nosi się, czyni znak błogosławieństwa, a wszyscy idący za wózkiem
padają na kolana. Tak oto religia katolicka w tym mieście bezwzględnie,
w każdej sytuacji, usiłuje odzyskać swoje pozycje. Gdyby kiedyś miała
zniknąć z powierzchni ziemi, to na samym końcu chyba nie z Rzymu, lecz
właśnie z Neapolu.

Nigdzie indziej, jak tylko na łonie Kościoła, ten lud nie mógłby bez-
pieczniej żyć bogactwem swych barbarzyńskich upodobań, zrodzonych
wszak w samym sercu wielkiego miasta. Potrzebuje on katolicyzmu, bo
wiąże się z nim legenda, tudzież data dotycząca pewnego męczennika
legalizującego nawet wszelkie jego ekscesy. Tu urodził się Alfons Liguori,
święty, który praktykę Kościoła katolickiego uelastycznił tak, by mógł on
ze znużeniem śledzić rzemiosło szalbierzy oraz dziwek i kontrolować je
suroowymi bądź komicznymi karami kościelnymi poprzez spowiedź, o której
napisał trzypięciotomowe kompendium. Jedynie Kościół, nie policja, może równać
się z samorządem przestępczym – camorrą.

Tak tedy ktoś poszkodowany, komu zależy na powrocie do swoich, nawet
nie pomyśli o wzywaniu policji. Jeśli już nie osobiście, to przez pośredników
cywilnych albo kościelnych zwraca się on do członków camorry. Przez nich
uzgadnia wysokość okupu. Od Neapolu do Castellammare, przez proletar-
jackie przedmieścia ciągnie się główna kwatera kontynentalnej camorry.
Otóż dzielnic, w których można by się odwołać do policji, przestępczość
unika. Rozdziela się ona na miasto i przedmieścia. Skutkiem tego stają
się one niebezpieczne. Podróżny, któremu drogę aż do Rzymu znaczą

dzieła sztuki niby sztachety w płócie ślepcowi, w Neapolu nie czuje się zbyt dobrze. Dowodem na to, groteskowym jak mało który, niech będzie zwołanie tu międzynarodowego kongresu filozofów. Bez śladu rozpłynął się on w ognistej kurzwie miasta, gdy wśród zgłętku ludowego święta odbywały się uroczystości 700-lecia uniwersytetu, w którego blaszaną aureolkę jubileusz został wpisany. W sekretariacie stawiali się biadający zaproszeni goście, w jednym okamgnieniu okradzeni z dokumentów i pieniędzy. Wszelako nie lepszy okazał się los zwyczajnego podróżnego. Nawet Baedeker nie potrafi go udobruchać. Kościołów nie sposób odnaleźć, wielogwiazdkowe arcydzieła plastyczne nieodmiennie są pod kluczem w zamkniętym skrzydle muzeum, przed dziełami zaś miejscowego malarstwa ostrzega napis „Manieryzm”.

Do użytku nadaje się jedynie słynna tutejsza woda pitna. Nędza i bieda działają zaraźliwie, tak jak przedstawia się je dzieciom, a wariacki strach przed byciem pokrzywdzonym to tylko marna racjonalizacja tego uczucia. Jeśli, jak powiadał Péladan, XIX w. odwrócił średniowieczny naturalny porządek życiowych potrzeb biedaka, przenosząc akcent z jedzenia na mieszkanie i ubranie – to tutaj ta umowa została zerwana. Żebrak leży sobie na jezdni wsparty o krawężnik trotuaru i macha pustym kapeluszem, jakby żegnał kogoś na dworcu. Tu bieda prowadzi w dół, tak jak przed dwoma tysiącami lat wiodła do krypt; jeszcze dziś droga do katakumb biegnie przez „Ogród Męczarni” i jeszcze dziś przewodnikami po niej są wydziedziczeni. Do szpitala

San Gennaro dei Poveri wchodzi się przez kompleks białych budynków z dwoma dziedzińcami; przejście obramowane jest po obu stronach ławami z nieuleczalnie chorymi. Wychodzącego odprowadzają oni spojrzeniami czepiającymi się jego ubrania – może w nadziei, że zostaną uwolnieni, albo może folgując sobie na nich jakimś niewyobrażalnym apetytom. Wyjścia przy drugim dziedzińcu są opatrzone kratami; za nimi kaleki demonstrują swoje ułomności, a przestrach zamyślonych przechodniów sprawia im uciechę.

Jeden z oprowadzających starców, zbliżając latarnię do fragmentu wczesnochrześcijańskich fresków, wypowiada uświęcone tradycją, czarodziejskie hasło „Pompeja”. „Pompeja” to wszystko, czego cudzoziemiec pożąda, co podziwia i za co płaci. Na dźwięk słowa „Pompeja” w nieodparty urok stroją się gipsowe imitacje obłamków Świątyni, spiętrzone bloki lawy, tudzież parchata osoba przewodnika cudzoziemców. Cudotwórcza moc tego fetysza jest tym większa, że oglądało go bardzo niewielu spośród tych, którzy z niego żyją. Zrozumiałe jest, iż słynna cudami i tam tronuująca Madonna otrzymuje własny nowiutki i drogi kościół pielgrzymkowy. W tej właśnie budowli, nie zaś w Domu Wettiuszów¹, żyje Pompeja dla neapolitańczyków. I w końcu szalbierstwo wraz z biedą, zawsze tam, jak do domu, powracają.

Barwy i formy

FANTAZYJNE RELACJE Z PODRÓŻY PODRETUSZOWAŁY TO MIASTO. W RZECZYWISTOŚCI jest ono szare: szarawa czerwień lub ochra, szarawa biel. I całkowita szarość w zestawieniu z niebem i morzem. Bynajmniej nie psuje to nastroju obywatelowi. Albowiem ktoś, kto nie uchwytuje form, niewiele ma tu do oglądania. Miasto jest podobne do skały. Widziane z góry, z Castell San Martino, dokąd nie docierają żadne głosy, leży w wieczornym zmierzchu jak wymarłe, wrośnięte w opokę. Gładką wąską wstęgą ciągnie się tylko wybrzeże; za nim piętrzą się jedne nad drugimi budynki. Sześćcio-, siedmiopiętrowe czynszówki na skarpach ze schodkami wyglądają przy willach niczym drapacze chmur. W skalistym zaś podłożu, tam gdzie styka się ono z morskim brzegiem, wydrążono jaskinie. Tu i ówdzie w skalnej ścianie widać drzwi, całkiem jak na XIV-wiecznych ilustracjach eremów. Gdy są otwarte, można zajrzeć w głąb obszernej piwnicy, będącej zarazem sypialnią i magazynem. Dalej schodki wiodą nad morze, do rybackich tawern w naturalnych grotach. Wiezorami płyną stamtąd ku górze mętne światło i wątpa muzyczka.

Porowata jak ta skała jest architektura. Budowa i działanie przenikają się nawzajem na podwórkach, pod arkadami i na schodach. Wszędzie zostawia się wolną przestrzeń mogącą posłużyć za widownię dla nowych, nieprzewidzianych konstelacji. Unika się wszelkiej definitywności, jednoznaczności. Żadna sytuacja nie jawi się taka, jaka jest, raz na zawsze pomyślana, żaden kształt nie oznajmia, że jest „taki właśnie, a nie inny”. Tak urzeczywistnia się tutaj architektura, ten najbardziej przekonujący element rytmu wspólnotowego. Cywilizowany, prywatny i ułożony jedynie w wielkich budynkach hotelowych i magazynowych na nabrzeżach; anarchiczny, splątany i włoskowaty w centrum, gdzie dopiero przed czterdziestoma laty przebito długie ciągi uliczne. Tylko w nich dom w sensie północnym



stanowi komórkę architektury miejskiej. Natomiast wewnątrz jest nią blok domów, spinają go bowiem w narożach, niby żelaznymi klamrami, obrazy Madonny na murach.

Nikt tu nie orientuje się podług numeracji domów. Punktami odniesienia są sklepy, studnie i kościoły. Nie zawsze zresztą prostymi. Otóż zwykły neapolitański kościół nie jest okazałą budowlą stojącą na obszernym placu, widoczną z daleka, z nawą poprzeczną, chórem i kopułą. Tkwi on

wciśnięty między inne; wysokie kopuły widoczne są tylko z niektórych miejsc, toteż bywa, że niełatwo go znaleźć, a już wyodrębnić bryłę kościoła spośród przylegających doń budynków świeckich wprost nie sposób. Gość mija go,



□ Piątek w Neapolu – dzień prania utrwalony na zdjęciu z lipca 1956 r. Te układające się w „szeregi proporców” suszące się nad ulicą prześcieradła, obrusy i bieliznę odnotowali w swojej o trzy dekady wcześniejszej relacji Walter Benjamin i Asja Lācis
fot. Keystone / Hulton / Getty



nie widząc. Niewidoczne drzwi, często tylko zasłona, są tajemną furtką dla wiedzącego. Jeden krok przenosi go z labiryntu brudnych podwórek w szlachetną samotność pobielonej wysoko przestrzeni kościelnej. Jego prywatna egzystencja jest barokowym ujściem dla zintensyfikowanej jawności. Albowiem upływa ona nie w czterech ścianach, wśród żony i dzieci, lecz w skupieniu bądź rozpacz. W bocznych uliczkach wzrok ześlizguje się po brudnych schodkach aż do szynku, w którym trzech–czterech mężczyzn, schowanych za beczkami jak za filarami kościelnymi, siedzi w pewnych odstępach od siebie i pije.

W takich zakamarkach trudno ustalić, czy nadal coś tam się buduje, czy też zaczął się już rozpad. Albowiem nic nie jest tu dokończone i zamknięte. Porowatość spotyka się nie tylko z gnuśnością południowych robotników, lecz nade wszystko z pasją do improwizacji. Stąd też rezerwa przestrzeni i sposobności musi być zachowana na wszelkie sytuacje. Budowle mogą pełnić funkcję estrad na ludowe widowiska. Wszystkie dzielą się na mnóstwo pomniejszych hałaśliwych scenek funkcjonujących jednocześnie. Balkon, placik, okno, przejście bramne, schody, dach bywają zarazem widownią i lożą. Nawet najlichsza, stłamszona egzystencja ma jednocześnie królewską świadomość współudziału w kreowaniu jakiegoś niepowtarzalnego obrazu neapolitańskiej ulicy, w rozkoszy – wbrew własnej nędzy – leniwego kontemplowania rozległej panoramy. To, co rozgrywa się na schodach, jest wyższą szkołą reżyserii. Te schody, nigdy porządnie niesprzątane, a tym bardziej niepozamykane w zatęchłych skrzyniach północnych domów, urywanymi ciągami wyskakują z budynków, robią ostry zakręt i znikają, aby raptem wyłonić się gdzie indziej.

Teatr ulicy

ULICZNE DEKORACJE RÓWNIEŻ W SENSIE MATERIALNYM WYKAZUJĄ ŚCISŁE pokrewieństwo z teatrem. Główną rolę gra papier. Czerwone, niebieskie i żółte packi na muchy, ołtarze z barwnego błyszczącego papieru przy murach, papierowe różyczki na czerwonych półciach mięsa. Następnie popisy i sztuczki rodem z *variétés*. Każdy klęczy na asfalcie, obok ma skrzyneczkę – a to jednak jedna z najruchliwszych ulic. Kolorowa kreda na kamieniu rysuje Chrystusa, poniżej może głowę Madonny. Tymczasem zamyka się wokół niego krąg, artysta prostuje się i staje obok swego dzieła; czeka kwadrans, pół godziny, podczas gdy skąpo odliczone monety padają z kręgu widzów na członki, głowę i tułów jego figury. Zanim je zbierze, wszyscy się rozchodzą, a wizerunek zostaje w parę chwil rozdeptany.

Spśród owych kuglarskich sztuczek nieostatnią jest jedzenie makaronu rękami. Za pieniądze demonstruje się ją turystom. Inne są płatne podług taryfy. Przekupnie oferują stałe ceny za niedopalki papierosów wydłubywane ze szczelin chodnika po zamknięciu kawiarni. (Ongiś szukano ich przy pochodniach). Sprzedaje się je na straganach w dzielnicy portowej obok resztek z jadalni, wygotowanych kocich czaszek² i muszel.

Naokoło rozbrzmiewa muzyka – nie ta smętna, podwórkowa, lecz promienna, uliczna. Pękaty wózek, coś w rodzaju ksylofonu, obwieszony jest kolorowymi tekstami piosenek. Tu można je nabywać. Jeden

kręci korbą, drugi pojawia się z talerzem przy każdym, kto zwykł w rozmarzeniu przystawać obok. Tak więc wszystko, co radosne – muzyka, zabawki, lody – jest artykułem obwoźnym, krąży po ulicach.

Ta muzyka wybrzmiewa z końcem ostatniego święta i jest przygrywką do następnego. Dzień świąteczny niepowstrzymanie przenika w każdy dzień powszedni. Tym życiem rządzi porowatość jako prawo wciąż na nowo, bez końca odkrywane. Gran niedzieli kryje się w każdym dniu tygodnia – a ileż tych dni w niedzielę!

A przecież żadne miasto nie więdnę tak szybko jak Neapol w ciągu paru godzin niedzielnej spokoju. Pełno w nim motywów świątecznych, zagnieżdżonych w najbardziej szarej niepokąźności. Gdy tutaj spuszcza się żaluzje w oknach, to jest to tak, jak gdyby gdzie indziej wciągano na maszt flagę. Chłopięca zbieranina łowi ryby w ciemnoniebieskich potokach i zadziera głowy ku uszminkowanym na czerwono kościelnym wieżom. Wysoko ponad ulicami ciągną się sznury na pranie, z których, niczym szeregi proporców, zwieszają się sztuki bielizny. Białe słońca rozbłyskują w słojach z zimnymi napojami. W dzień i w nocy te pawiloniki rozpylają delikatne aromatyczne soki, od których nawet język dowiadyuje się, co to takiego owa porowatość.

Jeśli jednak w grę wchodzi tylko polityka albo kalendarz, to wszystko, co skrywane bądź rozproszone, splata się w jedno głośnie święto. Jego uwieńczeniem jest z reguły pokaz ogni sztucznych nad morzem. Od lipca aż do września wieczorami jednolita wstęga ognia biegnie wzdłuż wybrzeża między Neapolem i Salerno. Raz nad Sorrento, to znów nad Minori albo Praiano, zawsze zaś ponad Neapolem stoją ogniste kule. Tutaj ogień otrzymuje kształt i sens. Rządzą tym mody i fortele. Każda kościelna gmina musi przebić święto sąsiadki nowymi efektami świetlnymi.

Przy tym element najstarszy pochodzenia chińskiego, czarodziej od pogody w postaci rakiet wybuchami rysujących kształt smoka, wyraźnie okazuje swą wyższość nad przepychem tellurycznym – nad słońcami przywartymi do ziemi i krucyfiksem w aureoli ogni św. Elma. Na wybrzeżu pinie w Giardino Pubblico tworzą krużganek procesyjny. Jadąc dalej w świąteczną noc, widzimy krople ognia wtulone w wierzchołki wszystkich drzew. Ale i tu nic z nastroju rozmarzenia. Dopiero hałasem wszelka apoteoza zyskuje sobie uznanie ludu. W Piedigrotcie, centrum neapolitańskiego święta, to dziecinne upodobanie do zgiełku przybiera oblicze wręcz dzikie. W noc 8 września gromady liczące nawet stu mężczyzn przeciągają wszystkimi ulicami. Dmą oni w ogromne papierowe trąby, których wyloty przysłaniają groteskowe maski. Gwałtownie, mówiąc raczej oględnie, jest się otoczonym, a z mnóstwa ich trąb wyrывa się ponury dźwięk raniący uszy. Widowisko jest bazą rozlicznych fachów. „Roma”, „Corriere di Napoli” – gazetciarze

Znana lista siedmiu grzechów
głównych pychę umieściła w Genui,
chciwość we Florencji, lubieżność
w Wenecji, gniew w Bolonii,
obżarstwo w Mediolanie, zawiść
w Rzymie, a w Neapolu lenistwo

przeciągają swoje krzyki w nieskończoność, jakby mieli kawały gumy w ustach. Ich wrzask jest głosem miasta-fabryki.

Jak się prowadzi interesy?

SWOISTE DLA NEAPOLU SPOSOBY zarobkowania graniczą z hazardem i splatają się ciasno ze świątecznymi uroczystościami. Znana lista siedmiu grzechów głównych pychę umieściła w Genui, chciwość we Florencji (dawni Niemcy byli innego zdania i nazywali Florencją to, co nosi miano greckiej miłości), lubieżność w Wenecji, gniew w Bolonii,

obżarstwo w Mediolanie, zawiść w Rzymie, a w Neapolu lenistwo. Loteria liczbowa, fascynująca tutejszych ludzi i rujnująca ich jak nigdzie indziej we Włoszech, pozostaje arcywzorem zarobkowania. Każdej soboty około czwartej robi się tłoczno na placu przed domem, w którym losowane są numery. Neapol to jedno z nielicznych miast z własnym ciągnięciem. Lombard i loteria są kleszczami, w których państwo trzyma ten proletariat: co podsunie mu z jednej strony, wnet odbiera z drugiej. Bardziej rozsądne i liberalne odurzenie hazardem, w którym uczestniczy cała rodzina, wypiera to alkoholowe.

Dostosowuje się do tego sposób prowadzenia interesów. Na rogu ulicy stoi na wyprężonej kolasce mężczyzna. Wokoło kłębi się stłoczony tłum. Kłapa kozła jest uniesiona, spod niej zaś handlarz, nie przerywając reklamy, coś wyciąga. Nim zdołamy zauważyć, co to takiego, ów przedmiot znika, owinięty różowym lub zielonym papierkiem. Człowiek unosi go wysoko i natychmiast jest on sprzedany za parę soldów. Czy w papierku są losy? A może ciastka z monetą w co dziesiątym? Co sprawia, że ludzi

Walter i Asja

Asja Lācis poznała się z Walterem Benjaminskim na Capri w 1924 r. Ich relacja opisywana jest zwykle na dwa sposoby: poprzez marginalizujące Łotyszkę stereotypy lub – przeciwnie – poprzez interpretacje przypisujące jej wielkie znaczenie w życiu filozofa. Pierwszy typ, ignorujący w zasadzie fakty, wydobywa przede wszystkim różnicę między nimi. Jak pisze Justine McGill, Lācis odgrywa w nim rolę klasycznej *femme fatale* – zmysłowej kobiety, artystki, marksizującej rewolucjonistki, która zawładnęła głową, ciałem i sercem czystego niczym anioł metafizycznego myśliciela. Takie podejście zdarzało się prezentować m.in. Gershomowi Scholemowi. Postrzegał on Lācis przez okulary swej przyjaciółki Dory Kellner, żony Benjaminskiego, obwiniającej Łotyszkę o ostateczne rozbitcie ich małżeństwa. Wszelki wpływ, jaki Lācis wywrzeć mogła na Benjaminskiego, Scholem przypisywał raczej oddziaływaniu Bertolta Brechta, z którym w 1929 r. aktorka go poznała. To on miał odpowiadać za porzucenie przez Benjaminskiego pomysłu przyjazdu do Palestyny i poświęcenia się odnowieniu myśli żydowskiej. Zarówno McGill, jak i Andris Brinkmanis zwracają także uwagę, że rolę Lācis zbagatelizowali redaktorzy pierw-

szego pośmiertnego wydania pism Benjaminskiego. W edycji z 1955 r. jej nazwisko usunięto z autorstwa tłumaczonego tu tekstu i z dedykacji, którą poświęcił jej Benjamin w *Ulicy jednokierunkowej*. Co więcej, prawdopodobnie aby marksistowskie wątki u Benjaminskiego nie wybrzmiały zbyt mocno, Adorno i Rexroth pominęli w zestawieniu tekst zawierający teoretyczną podbudowę dla teatru Lācis – napisany w pierwotnej wersji w 1928 r. *Program proletariackiego teatru dla dzieci* (drukem ukazał się dopiero w 1968 r., od razu inspirowany twórców eksperymentalnego teatru w RFN).

Drugi sposób interpretowania ich relacji akcentuje zbliżające przyjaciół i kochanków podobieństwo. Przede wszystkim fascynację teatrem. Kiedy się poznali, Lācis była już znaną, zaangażowaną politycznie reżyserką i aktorką, pracującą pionierskimi metodami z rosyjskimi dziećmi. Benjamin zaś pisał rozprawę na temat niemieckiego dramatu. Łączyło ich też zainteresowanie światem dzieci i nowatorskimi programami kształcenia. Lācis w 1918 r. objęła pierwszą reżyserką posadę w rosyjskim mieście Orel, gdzie zamiast rozbudowywać miejski teatr, skoncentrowała się na zaspokojeniu edukacyjnych

potrzeb sierot, które straciły rodziców podczas I wojny światowej. Teatr miał im zrekompensować lata straconej edukacji i uwolnić ich od traumatycznych przeżyć. Taka praca Lācis musiała Benjaminskiemu imponować. Sam miał syna, pasjonowały go wystawy zabawek i książki dla dzieci – wśród jego dzieł zebrałych łatwo znaleźć teksty poświęcone tym zagadnieniom.

Od 1926 r. zmienił się styl Benjaminskiego – zaczął odchodzić od hermetycznego języka akademii. Nie brakuje sugestii, że wpływ na nowy sposób pisania Benjaminskiego miała relacja z Asją Lācis i oddziaływanie jej wizji teatru: zamiast rozwijać argumentację w linearną narrację, teksty i książki Benjaminskiego stały się aforystyczne i fragmentaryczne, tak jakby tworzyły sąsiadujące z sobą teatralne sceny. Zmiana stylu ma jednak niewątpliwie związek także z niepowodzeniem jego projektu habilitacyjnego. Benjamin potrzebował nowych źródeł finansowania, a dziennikarstwo okazało się najważniejszym z nich. Na początku lat 30. publikował ok. 15 artykułów rocznie, a *Neapol* to tekst, który zainicjował jego współpracę z „Frankfurter Zeitung”.

ogarnia taka pożądlivość, a ten pan jest nieprzenikniony jak sam Mograby³? Sprzedaje pastę do zębów.

Nieocenionym narzędziem takiego interesu jest aukcja. Gdy uliczny handlarz już około ósmej rano rozpakuje towar, prezentując swej publiczności po kolei parasole, płótno na koszule, chustki – nieufnie, jak gdyby musiał w pierw sam sprawdzić ich jakość – następnie stopniowo się rozgrzewa, rzuca fantastyczne ceny, oferując okazałą sztukę sukna za 500 lirów; gdy rozkłada ją, z powrotem składa i za każdym ruchem spuszcza z ceny, aby w końcu, gdy już jako szczupły tobolek trzyma ją na ręce, wziąć za nią 50 – wówczas okazuje się wierny prastarym jarmarczynom praktykom. Śliczne historie krążą o osławionej namiętności neapolitańczyków do handlu. Na ruchliwym placu pewna otyła pani upuszcza wachlarz. Bezradnie rozgląda się wokół, sama z powodu swej nieforemności niezdolna się poń schylić. Ale oto staje przy niej dżentelmen deklarujący chęć pomocy – za 50 lirów. Targują się, dama odzyskuje swój wachlarz za 10.

Błogie roztargnienie w składzie towarów! Gdyż i on tworzy całość ze straganem: bazar. Uprzywilejowany jest długi pasaż. Jeśli przeszklony, to marny w nim sklep z zabawkami (w którym można też kupić perfumy i kieliszki do likierów), mogący wytrzymać porównanie z bajkowymi galeriami. W Neapolu jako galeria funkcjonuje główna ulica, Toledo. Jedna z najruchliwszych na Ziemi. Po obu stronach tego wąskiego korytarza leży porozkładane beczelnie, prostacko i ponętnie wszystko, co trafiło do portowego miasta. Zaiste, tylko baśnie znają takie długie korytarze, które trzeba przemierzać, nie spoglądając ani w lewo, ani w prawo, jeśli nie chce się trafić na diabła. Jest dom towarowy, w miastach ponadto magnetycznie przyciągający plac handlowy. Ale nie ma on uroku, więcej jest go we wszelkiej zbieraniu spiętrzonej na szczupłej przestrzeni. Ale oto w innym miejscu wynurza się znów, z natłoku małych kramów, jakiś niewielki sklepik – z piškami do gry, mydłami i czekoladą.

Egzystencja to sprawa kolektywna

ROZPROSZONE, POROWATE I SPLĄTANE JEST ŻYCIE PRYWATNE. TYM, CO wyróżnia Neapol spośród wszystkich wielkich miast, jest jego podobieństwo do hotentockiego króla; wszelkie zachowania i urządzenia prywatne przenika nurt życia zbiorowego. Egzystencja, coś dla północnego Europejczyka najprywatniejszego, tutaj jest, jak w królu Hotentotów, sprawą kolektywną. Tak więc dom to bynajmniej nie azyl, w którym ludzie się chronią, lecz niewyczerpany ich zasobnik. To, co żyje, wylewa się nie tylko przez drzwi. I nie tylko na plac przed domem, gdzie ludzie wykonują swoją pracę na stołkach (bo potrafią z własnego ciała zrobić stół). Gospodarstwa domowe zwisają z balkonów jak doniczkowe rośliny. Z okien najwyższych pięter zjeżdżają w dół na sznurach koszyki na pocztę, owoce i węgiel.

Jak izba ze swoimi sprzętami, paleniskiem i ołtarzykiem powraca na ulicę, tak też ulica wprowadza się do izby, tyle że o wiele głośniejsza. Nawet w najuboższej pełno jest świec woskowych, biskwitowych świateł, fotografii na ścianach i żelaznych łózek, tak jak na ulicy – wozów, ludzi i światła. Za sprawą biedy nastąpiło rozciągnięcie granic i odbija się w tym, jak

w lustrze, najpromienniejsza swoboda ducha. Na spanie i jedzenie nie ma żadnej określonej pory, często też miejsca.

Im uboższa dzielnica, tym więcej garkuchni. Z palenisk pod gołym niebem każdy, jeśli go stać, bierze to, czego mu trzeba. Ta sama potrawa u każdego kucharza smakuje inaczej; gotuje się nie na chybił trafił, lecz podług sprawdzonych przepisów. Kiedy w oknie najskromniejszej nawet trattorii wyłożony jest do oceny stos ryb i polci mięsa, to jest w tym pewien niuans przekraczający oczekiwania znawcy. Z myślą o tym żeglarski ludek powołał na rynku rybnym do istnienia imponującą republikę w niderlandzkim stylu. Rozgwiezdy, raki, polipy z wód zatoki rojących się od żywych stworów pokrywają lady; często łyka się je na surowo, z lekka tylko skropione cytryną. Fantastycznie zaczynają wyglądać nawet banalne zwierzęta lądowe. Na czwartym–piątym piętrze tych czynszówek ludzie trzymają krowy. Zwierzęta nigdy nie wychodzą na zewnątrz, a ich racice są już tak przerośnięte, że nie mogą one ustać na nogach.

Jak w ogóle da się spać w takich izbach? Co prawda, stoi w nich tyle łózek, ile się zmieści, ale nawet jeśli jest ich sześć albo siedem, to lokatorów bywa często ponad dwakroć więcej. Dlatego dzieci widuje się na ulicach do późna w noc, około dwunastej albo nawet drugiej. Następnie, polegając za ladą albo na schodach, śpią one aż do południa. Taki sen zatem – który odrabiają również mężczyźni i kobiety w mrocznych zakątkach – niepodobny jest do osłoniętego snu na Północy. Także tu następuje przenikanie się dnia

z nocą, hałasów ze spokojem, zewnętrznego świata z ciemnością wewnątrz, ulicy z domowym zaciszem.

Kontynuację mamy nawet w zabawkach. Załawiona Madonna, z Dzieciątkiem o spelzłych monachijskich kolorach, wisi na murach domów. Chłopczyk, którego trzyma przed sobą niczym berło, jest sztywny i ciasno spowinięty, pozbawiony rąk i nóg dokładnie tak samo jak drewniane lalki w najnudniejszych sklepikach Santa Lucii. Z takimi zabawkami bachory mogą się rozkładać gdzie popadnie. One też dzierżą w swych piąstkach berła i różdżki magiczne, którymi jeszcze dziś bizantyjski Zbawiciel okazuje swą władzę. Z tyłu surowe drewno, parę maźnięć farbą tylko z przodu. Niebieska suknia, białe cętki, czerwona lamówka i czerwone policzki.

Jednak demon sprośności zagnieździł się w wielu takich lalkach, spoczywających w witrynach pod stosami taniej papeterii, drewnianych klamerek i blaszanych baranków. W przeludnionych dzielnicach również dzieci szybko zaznajamiają się ze sprawami płci. Ale jeśli gdzieś przychówek zostaje przetrzebiony, umiera ojciec rodziny albo matka mocno niedomaga – to nie od razu potrzebny jest bliższy lub dalszy krewny. Jakaś sąsiadka na czas krótszy lub dłuższy bierze dziecko na utrzymanie, i tak przenikają się wzajem rodziny w sytuacjach poniekąd równoznacznych z adopcją. Prawdziwymi laboratoriami tego wielkiego wzajemprzenikania są kawiarnie. Życie nigdy w nich nie osiada, nie wchodzi w stagnację. Są to prozaiczne, otwarte miejsca w typie ludowych kawiarni politycz-

nych, których ciasnomieszcząńska kawiarnia wiedeńska o literackim sznycie stanowi przeciwieństwo. Kawiarnie neapolitańskie są małowodne. Dłuższe w nich przesiadywanie jest raczej wykluczone. Filiżanka supergorącego espresso – w gorących napitkach to miasto jest nie do pobicia, podobnie jak w sorbetach, pienistych winach i lodach – i do widzenia, drogi gościu. Stoliki lśnią miedzią, są małe i okrągłe, a nieokrzesane towarzystwo już w progu niechętnie robi w tył zwrot. Tylko nieliczni zajmują tu miejsce przez chwilę. Kilka szybkich ruchów dłoni – i to jest całe zamówienie.

Język gestów ma tu zakres znacznie większy niż gdziekolwiek indziej we Włoszech. Ich mowa jest dla kogoś z zewnątrz zupełnie niezrozumiała. Uszy, nos, oczy, pierś i ramiona to maszty sygnałowe sterowane palcami. Ten podział powraca w ich wymyślnie specjalistycznej erotyce. Uczynne gesty, niecierpliwe dotyki przykuwają uwagę obcego swoją regularnością, która wyklucza przypadek. Tak, tutaj mógłby on zostać okpiony i sprzedany, ale neapolitańczyk dobrodusznie go odprawia. Parę kilometrów dalej, w stronę Mori. *Vedere Napoli e poi Mori*, mówi on za starym powiedzonkiem. „Zobaczyć Neapol i umrzeć” – wtóruje mu Niemiec. — **2**

Tłumaczył Ireneusz Kania

Napodstawie: Walter Benjamin, Gesammelte Schriften IV.1, red. T. Rexroth, Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 1972. Pierwotnie tekst ukazał się w „Frankfurter Zeitung”, 19 sierpnia 1925.

Śródtytuły zostały dodane przez redakcję.

¹ *Domus Vettiorum*, odkopany w latach 1894–1895 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Wygotowane do czysta kocie czaszki grały jakąś rolę (amuletów bądź przedmiotów magicznych) w ludowych wierzeniach neapolitańskich.

³ Tytułowy bohater popularnego w latach 20. XX w. zbioru baśni.

Walter Benjamin

(1892–1940) Niemiecko-żydowski filozof, teolog, teoretyk kultury, autor *Pasaży* – monumentalnej syntezy życia kulturalnego i społecznego XIX-wiecznego Paryża, a także wielu inspirujących współczesnych myślicieli esejów i miniatur filozoficznych, jak np. *W sprawie krytyki przemocy* czy *O pojęciu historii*. Zmarł – prawdopodobnie śmiercią samobójczą – 26 września 1940 r. w Portbou, próbując przedostać się do Ameryki z ogarniętej nazizmem Europy

Asja Lācis

(1891–1979) Łotewska aktorka i reżyserka, przez lata angażowała się w proletariacki teatr uliczny dla dzieci, wierząc w edukacyjną moc tej sztuki; jej talent znany był także w międzywojennych Niemczech, gdzie blisko współpracowała z Bertoldem Brechtem; od 1917 r. sympatyzowała z bolszewikami, lecz w trakcie stalinowskich czystek została zesłana w 1938 r. do kazachskiego obozu pracy, skąd po 10 latach powróciła do Rygi

Ekstatyczny podróżnik

Adam Lipszyc

w rozmowie z Markiem Maraszkim

Benjamin to fascynujący myśliciel. Znał na pamięć Goethego, ale był też zaciekawiony kreskówkami z Myszką Miki. Uznając kulturę masową za wartościowy przedmiot analiz, stał się prekursorem zmiany w humanistyce

Z *Czy po 80 latach śmierć Waltera Benjamina wciąż jest dla nas tajemnicą?*

Wiemy na pewno, że we wrześniu 1940 r. Benjamin próbował wydostać się z zajętej przez Niemców Francji. Jako komunizujący Żyd i znany intelektualista musiałby mieć wiele szczęścia, by przeżyć w okupowanym Paryżu. Chciał dotrzeć do Portugalii, skąd mógłby popłynąć do USA, gdzie czekali na niego przyjaciele z Frankfurtu – Theodor Adorno i Max Horkheimer. Hiszpańska straż zatrzymała go jednak w Portbou na hiszpańsko-francuskiej granicy i zagroziła, że odeśle z powrotem. Nocą zażył śmiertelną dawkę trucizny.

Z *Pojawiające się białe plamy powodują, że w ich miejsce wkra-
dały się domysły: dlaczego właści-
wie popełnić miał samobójstwo,
skoro towarzysząca mu grupa
uchodźców kolejnego dnia ruszyła
dalej i dotarła szczęśliwie do
Lizbony?*

Znana jest relacja Lisy Fittko, działaczki antynazistowskiej, która

rozpocząła wtedy swoją misję przeprowadzania uciekinierów przez Pireneje. Według jej słów, kierując się wskazówkami lewicowego burmistrza miasteczka położonego u stóp gór, ona i Benjamin sprawdzali początek szlaku, którego całość mieli przemierzyć następnego dnia razem z resztą grupy. Szlak był w porządku, ale Benjamin, oceniając swoje siły, postanowił spędzić noc w górach, tak by nie musieć dwa razy pokonywać tej samej drogi. Następnego dnia Fittko dotarła do niego z pozostałymi uchodźcami. Cała trasa była dla Benjamina niezwykle wyczerpująca. Fizyczne wycieńczenie, a przede wszystkim poczucie skrajnej niepewności i rozpacz wywołana sytuacją polityczną złożyły się na decyzję o samobójstwie. Sądzi się dziś, że w hiszpańskiej administracji panował wówczas potężny bałagan i stosunek do tego rodzaju uciekinierów nieustannie się zmieniał. Wiele więc zależało od dnia i przypadku. Należy też jednak pamiętać, że Benjamin od zawsze był człowiekiem depresyjnym i już kilka lat wcześniej pla-

nował samobójstwo. Spisał wtedy nawet testament.

Z *Jest jeszcze jeden aspekt tej śmierci, do którego często się powraca – walizka, którą Benjamin miał ze sobą przed śmiercią, a której zawartość pozostaje nieznana. Spekuluje się, że znajdowała się tam np. ostateczna wersja jego słynnych Pasaży. Odkładając na bok wydarzenia w samym Portbou, wydaje się, że „walizka Benjamina” mogłaby symbolizować w ogóle życie tego myśliciela, spędzone w podróży, rozpoczynane wciąż na nowo.*

Szczerze mówiąc, wątpię, czy w tej walizce znajdowały się aż takie skarby. To część popkulturowego mitu. *Pasaże* pozostały nieukończone, ale mamy je w postaci, która pozwala wyrobić sobie wyobrażenie o tym wspaniałym przedsięwzięciu. Nawet to, co z nich zostało, składa się na jedno z najważniejszych dzieł XX-wiecznej humanistyki. I kropka.

Ale co do podróży, to tak, jak najbardziej: podróż i ruch stanowiły żywioł Benjamina. Nieustannie się przemieszczał, fascynowała go sama idea pojawienia się gdzieś po raz pierwszy. Nazwałbym przy tym Benjamina podróżnikiem eks-tatycznym, ponieważ geografia nie była dla niego homogeniczna, lecz pełna wybuchowych osobliwości. Podróż to dla niego wrażliwość na to, co nowe. Cały czas się zastanawiał, czym różni się doświadczenia przyjeźdnego od doznań ludzi miejscowych. Analizował miejsca wszystkimi zmysłami, poprzez jedzenie, wrażenia erotyczne, doświadczanie obcego języka. To trochę tak, jakby każde nowe miejsce kryło dla niego całość

człowieczeństwa zaklętą w nowej konfiguracji. W ramach ulotnego doświadczenia próbował za każdym razem dotrzeć do Absolutu: autor *Pasaży* to zbieracz cytatów, wrażeń – ktoś powiedziałby: kulturowych śmieci – który poprzez te jednostkowe wrażenia pragnie się przebić do czegoś fundamentalnego.

Z *W to doświadczenie podróży wpisane jest też wygnanie?*

Tak, choć z pewnej perspektywy można by powiedzieć, że to przygodność historyczna. Gdyby nie dojście Hitlera do władzy, to kwestia wygnania nie zaznaczyłaby się przecież tak wyraziście w biografii Benjamina, zwłaszcza w ostatniej dekadzie jego życia. Z innej perspektywy jednak wygnanie jest wpisane w jego myśl od początku, ponieważ zasadniczym elementem jego wczesnej filozofii języka jest idea, że „imiona”, iskry czystej mowy, są rozproszone, wygnane właśnie w mowie powszechnej. Prawda rozproszona jest w codziennych doświadczeniach.

Z *Berlińskie dzieciństwo na przełomie wieków, stanowiące literacki powrót Benjamina do miasta, w którym przyszedł na świat w 1892 r., to próba poradzenia sobie z banicją?*

Pisał tę książkę, mając świadomość, że Berlin to dla niego miasto najpewniej już na zawsze utracone. Przyznawał, że nad *Berlińskim dzieciństwem...* zaczął pracować jeszcze przed wyjazdem, myśląc o tym przedsięwzięciu jako o szczepionce na wygnanie. Ostatecznie poczucie straty nie dotyczy jednak wyłącznie konkretnej przestrzeni, lecz staje się figurą losu, która pozwala nam

myśleć także o przejściu między dzieciństwem a dorosłością jako pewnego rodzaju wygnaniu. Benjamina fascynował rozdźwięk między tym, jak doświadczamy świata w dzieciństwie, a tym, jak odbieramy go jako dorośli.

Z *Czy Proust był dla niego inspiracją do filozofowania nad dzieciństwem? Benjamin tłumaczył przecież pierwsze tomy W poszukiwaniu straconego czasu na język niemiecki.*

Wpływ jest niewątpliwym, Benjamin był zafascynowany Proustem i jego medytacjami nad naturą pamięci. Projekt Benjamina jest jednak skromniejszy – i inny, choćby formalnie. *Berlińskie dzieciństwo...* to nie powieść – to seria migawek, „myśl-obrazów” (*Denkbilder*), w których mamy do czynienia z nieustanną dialektyką ruchu i zatrzymania. Kolejne wspomnienia przywodzą tu na myśl ponawiające się akty zanurzeń – zagłębiając się w żywiole pamięci, żeby zaraz wydobyć się z niego z jakimś nowym, zaskakującym rozpoznaniem. To także rodzaj laboratorium, w którym Benjamin studiuje relację między podmiotowością, językiem i doświadczeniem zmysłowym. Nie interesują go fakty, nie ciekawi, jak to było „naprawdę”. Próbuje raczej wydobyć na powierzchnię języka to, co pamięta jego ciało, by tym sposobem sięgnąć do głębszych pokładów własnej tożsamości, uplecionej ze źródłowych, dziecięcych doświadczeń.

Z *Zagadnienie językowości naszego doświadczenia zbliża nas do tradycji romantycznej, z której czerpał Benjamin.* 

Obronioną w 1919 r. z wyróżnieniem pracę doktorską poświęcił pojęciu krytyki artystycznej w romantyzmie niemieckim, przede wszystkim u Friedricha Schlegla i Novalisa. Ta rozprawa nie jest współcześnie czytana równie często jak późniejsze prace Benjamin, a szkoda, bo to świetna rzecz, bardzo ważna dla zrozumienia jego perspektywy. Pokazuje zresztą, że Benjamin, gdy tylko chciał, potrafił pisać arcyklowym językiem akademickim. Widać to szczególnie w kontraście do odrzuconego tekstu habilitacyjnego, czyli książki o dramacie barokowym: dzieła genialnego, a zarazem zupełnie skandalicznego z punktu widzenia wymogów uniwersyteckich.

Jeśli idzie o Benjamin, tradycja romantyczna jest nie do przecenienia jako źródło wpływu. Badacze często grają w pewnego rodzaju ping-ponga: czy Benjamin był bardziej żydowskim teologiem, czy może raczej marksistą? To oczywiście ważny spór, ale nie należy zapominać, że w przypadku Benjamin te inspiracje poprzedza przemożny wpływ tradycji romantycznej.

Z *Co ważnego odnalazł u romantyków?*

Wspomniał Pan o językowym zapośredniczeniu ludzkiego doświadczenia. Tę myśl zawdzięczał Benjamin przede wszystkim protoromantykowi Hamannowi, który jako pierwszy zwrócił uwagę na to, że w swojej epistemologii Kant nie uwzględnia zasadniczej roli języka w poznaniu. Jeśli jednak chodzi o romantyków w sensie ścisłym, to Benjamin rozpoznał u nich prymat

postawy krytycznej, który stał się rdzeniem jego własnej perspektywy.

Jeśli miałbym wyróżnić zasadnicze dla Benjamin punkty odniesienia w literaturze dawniejszej, wskazałbym, po pierwsze, właśnie wczesny romantyzm, a więc Novalisa i braci Schleglów, po drugie zaś – Goethego. Automitologizacja, której chętnie poddawał się Goethe, domaga się kontry ze strony tak ważnego dla wczesnych romantyków momentu krytycznego. Zarazem jednak Goethe daje Benjaminowi coś, czego nie mogą mu dać romantycy – wspomniany wcześniej moment ekstatyczności, dążenia do absolutnej prawdy pomieszczonej w tym, co lokalne. To coś, co Goethe określał pojęciem „prafenomenu”, dostrzegając go w przyrodzie. Benjamin szukał tego samego doświadczenia, czynił to jednak w świecie ludzkim, w świecie dziejów i kultury. Sądził, że iskry rozpoznania ukazują się w tekstach i twórcach kultury ludzkiej, ale jedynie wówczas, gdy podda się je czasem okrutnej, krytycznej dekonstrukcji.

Dla Benjamin postawa krytyczna to kwestionowanie znaczeniowych totalności. Tej postawy nie przynosimy jednak z zewnątrz: w samo dzieło sztuki wpisany jest krytyczny potencjał – tego także Benjamin nauczył się od romantyków. Dzieło sztuki nie mówi do nas po to, żeby narzucać jakąś ideologię, ale po to, by czytelnik aktywował ten uśpiony moment krytyczny. Stąd też zresztą tak wielkie znaczenie miał dla Benjamin jego spór z nieco dziś już zapomnianym kręgiem Stefana Georgego: członkowie i zwolennicy tej grupy bronili mityzatorskiej wizji kultury, wedle której poeta-kapłan produkuje zna-

czenia ku uwielbieniu czytelników, krytyk zaś jest jego ministrantem.

Z *Benjamin odwraca ten porządek.*

Tak. Dzieło Benjamin – i jego praktyka pisarska – to wielka pochwała zajęć nominalnie drugorzędnych i rzekomo odtwórczych: profesji tłumacza, krytyka literackiego, historyka. Benjamin przedkłada postawę dekonstruktora nad gest mityzatora, choć zarazem w samych krytycznych aktach dekonstrukcji poszukuje rozbłysków ekstatycznej prawdy. Jego perspektywa to niezwykle połączenie trzeźwości i dążenia do uniesień.

Z *Jako krytyk musiał również przyglądać się współczesnej mu kulturze.*

Adorno próbował przedstawić Benjamin jako kogoś, kto próbuje złapać równowagę między wielobarwnym, arcyzmysłowym Proustem a czarno-białym, arcyponurym Kafką. To nie najgorsza charakterystyka. Do tego zestawu dodałbym jeszcze co najmniej Karla Krausa, austriackiego dramaturga, publicystę i krytyka kultury, któremu Benjamin poświęcił wspaniały esej. W Krausie zobaczył uwspółcześnioną i udoskonaloną realizację postawy, którą analizował w swoim doktoracie. I u romantyków, i u Krausa Benjamin dostrzega urzeczywistnienie idei, że jeśli jakaś wypowiedź ma być prawdziwa, musi być zarazem aktem krytycznym. Nie ma prawdy bez sprawiedliwości.

Z *Inną przestrzenią inspiracji Benjamin był judaizm.*

Ze swojego arcymieszkańskiego domu rodzinnego Benjamin wyniósł

Autor *Pasaży* to zbieracz cytatów, wrażeń, ktoś powiedziałby – kulturowych „śmiec” – który przez te jednostkowe wrażenia pragnie się przebić do czegoś fundamentalnego

bardzo skąpą wiedzę o religii żydowskiej. Kluczowe znaczenie dla jego zainteresowania tym uniwersum miała przyjaźń z Gershomem Scholemem, jednym z najwybitniejszych znawców kabały. Z pewnością Benjamin dowiedział się od Scholema mnóstwa rzeczy o judaizmie, należy też jednak pamiętać, że, po pierwsze, Scholem był zafascynowany Benjaminskim i pozostawał pod jego silnym wpływem, po drugie zaś, sam pochodził z mocno asymilowanej rodziny i w okresie gdy przyjaźnił się z Benjaminskim, dopiero wchodził w świat judaizmu, spoglądając nań po części przez pryzmat swoich dyskusji z przyjacielem. Na dokładkę mistykę żydowską poznawał zrazu przynajmniej po części za pośrednictwem niemieckich romantyków i chrześcijańskich kabalistów.

Benjamin i Scholem bez końca dyskutowali o filozofii i judaizmie. Czytali Hermanna Cohena, który w arcyciekawy sposób zaplatał w swojej myśli neokantyzm i filozofię żydowską. Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że dla Benjaminskiego tradycja żydowska istotna jest ze względu na dwa osiowe momenty. Pierwszy to filozofia języka i mistyka imion.

Drugi to moment mesjański. Obie te dziedziny zajmowały go przez całe życie.

Z *Badania nad Kafką też można wpisać w przestrzeń tych zainteresowań?*

Tak, choć fascynacja Kafką to sprawa nieco późniejsza. Benjamin należy do najbardziej wnikliwych spośród wczesnych interpretatorów jego dzieła. W latach 30., kiedy Scholem mieszkał już w Palestynie, między nim a Benjaminskim rozgorzała korespondencyjna debata na temat twórczości Kafki. W tych listach, dyskutując o Kafce, przyjaciele spierają się o kwestie fundamentalne, w tym o miejsce Objawienia we współczesnym świecie. Obaj okropnie się pieklą, bo mają świadomość wysokiej stawki tego sporu.

Scholem był przekonany, że dzieło Kafki to świadectwo „nicości Objawienia”, czyli obecności bezznaczeniowej, ale obowiązującej transcendencji. Widział w tym potwierdzenie swego przekonania będącego podstawą jego kulturowej wersji syjonizmu, mianowicie że choć tradycja żydowska znajduje się (jak sądził: tymcza-

sowym) kryzysie, to jej spójność i ciągłość, oświetlana surowym światłem Objawienia, pozostaje nienaruszona. Benjamin natomiast próbował iść inną ścieżką: był przekonany, że można i należy posługiwać się elementami języka teologicznego, przede wszystkim zaś myśleć w kategoriach mesjańskich, nie wiążąc się z żadną formą Objawienia ani z losem narodu żydowskiego, choćby i nawet – jak Scholem – tradycję żydowską pojmowało się bardzo szeroko i nieortodoksyjnie.

Taka jest teologia u Benjaminskiego – zawsze w ukryciu. Jej szczątkowość nie powoduje jednak, że jest „słabsza” od tradycyjnej. Przeciwnie: ma być skuteczna właśnie przez to. Dla Benjaminskiego całościowa teologia musi być fałszywa, ponieważ jako totalizujący, domknięty system nie może sięgać transcendencji. Prawdziwie transcendentne może być tylko to, co ułamkowe. Dlatego, jakkolwiek brzmi to dziwnie, Benjamin mógł upatrywać aktu prawdziwej transcendencji we własnej działalności tłumacza, przekładającego Baudelaire’a czy Prousta na niemiecki. Z jego perspektywy takie operacje to prawdziwa teologia w dzia- ➤

laniu, która ma więcej wspólnego z transcendencją niż rytuał.

Z *Uwagę badaczy przykuwa także wielowątkowa historiozofia Benjamina.*

To prawda. Łączą się w niej barokowa tradycja wanitatywna, żydowski mesjanizm, marksistowski materializm, a wreszcie bardzo specyficzne myślenie o micie jako nawracającej w dziejach świata opresyjnej strukturze, którą emancypacyjne akty mesjańskie raz po raz muszą rozbijać. Benjamin próbował łączyć myślenie o mitycznej opresji i mesjańskim wyzwoleniu z marksistowskimi analizami alienacji i wizją rewolucji. Jego wizja dziejów to koncepcja historii jako procesu iście katastrofalnego, w ramach którego katastrofa za każdym razem przesłaniana jest przez nowe konstrukty mityczne, domagające się rozpoznania.

Z ową chmurną wizją dziejów skorelowana jest oryginalna metodologia badań historycznych, którą Benjamin rozwinął podczas pracy nad książką o pasażach. Rdzeniem tej metodologii jest postulat czesania historii pod włos, tzn. jej alternatywnego i subwersywnego czytania. *Pasaże* to wielkie archiwum ucisku, a zarazem nadziei. To konstelacyjny portret XIX-wiecznego Paryża, który miał uchwycić „wczoraj współczesności”. Głównym przewodnikiem Benjamina po tym mieście był Charles Baudelaire. Z jednej strony Paryż jako stolica kapitalistycznego świata to dla Benjamina miasto piekielne: uniwersum, gdzie monstrialne cierpienia przesłonięte zostają przez feerię mitycznych obrazów. Z drugiej strony jednak w tych właśnie

kłamiwych obrazach, w kulturze popularnej fantazjującej o nowych możliwościach technologicznych „wytraściły się” marzenia o świecie, w którym te wszystkie możliwości byłyby dostępne powszechnie i naprawdę zmieniłyby nasz świat. *Pasaże* są więc studium tego, co było, ale też próbą oddania sprawiedliwości temu, co ostatecznie się nie wydarzyło, pewnego rodzaju alternatywnym powidokom historii, ukazującym świat, w którym ludzie zamiast tyrać w fabrykach i odurzać się obrazami, próbują wyzyskać technologię do tego, by urzeczywistnić marzenia. Jako dzieło nieukończone *Pasaże* pozostają oczywiście niejednoznaczne w swoich konkluzjach, ale to przedsięwzięcie niezwykle i jeszcze dziś możemy się z niego wiele nauczyć. No bo pomyślimy: czy nawet takie hollywoodzkie głupstwo jak *Łotr Jeden* – produkt uboczny *Gwiezdnych wojen* – nie jest wspaniałą opowieścią o sile ludzi z marginesu, którzy nie dostali się do głównego wątku i nawet nie dysponują osławioną Mocą? Czy nie jest to wyraz marzenia o innym, prawdziwie demokratycznym świecie, gdzie nowa bohaterka kolejnej części sagi nie będzie musiała na koniec okazać się wnuczką kogoś bardzo ważnego? Czy nie oglądamy tu na ekranie samych siebie – nieszczęśliwych widzów zapatrzonych w mityczną sagę?

Z *Benjamina fascynowało też inne miasto, stanowiące pewną wizję przyszłości. Chodzi o Moskwę, do której wybrał się w 1926 r.*

Tak. Jak wiadomo, bezpośrednią przyczyną tej wizyty była miłość

Benjamina do komunistki Asji Lācis. Benjamin chciał też przyjrzeć się z bliska rzeczywistości, która mogłaby być przyszłością. *Dziennik moskiewski* i esej o Moskwie, będące produktem tej wizyty, to pod wieloma względami teksty bardzo ciekawe, pod względem politycznym jednak nie są – delikatnie mówiąc – szczególnie mądre. Benjamin nie rozumiał tego, co się dokonuje w Rosji. Tu i ówdzie odnotowywał wykoślawienia systemu, niewiele jednak potrafił uchwycić z tego, co się dzieje, z pewnością zaś nie potrafił przewidzieć dokręcania stalinowskiej śruby. Co więcej, nie znał rosyjskiego, więc szanse na zrozumienie tego, co go otacza, miał naprawdę marne. Jego zachwyt Moskwą jest w znacznej mierze zachwytem marzyciela. Píše o niej jak o mieście w ruchu, mieście, które nie przestaje się zmieniać. Jako opis pewnej fantazji esej o Moskwie to zresztą bardzo piękny tekst. Ale tylko tyle. Na szczęście proradzieckie sympatie Benjamina nie były zbyt zdecydowane, całym sercem popierał jedynie eksperymenty radzieckiego kina.

Z *Jaką więc przyszłość rysował Benjamin?*

W latach 30. w Europie trudno było mieć szczególne nadzieje na świetlaną przyszłość, nawet jeśli nie było się takim ponurakiem jak Benjamin. Jego ostatni tekst, *O pojęciu historii*, raz jeszcze prezentuje wizję dziejów jako permanentnej katastrofy, stanowi też jednak wyraz wiary w rewolucję – tyle że jej wizja jest wysoce niejasna. Więcej zapewne można wyczytać z jego słynnego eseju *Dzieło sztuki w dobie reprodukcji technicznej*,

pisanego pod silnym wpływem Bertolta Brechta, ale i ten tekst ostatecznie nie jest zbyt pomocny. Słynnej faszystowskiej estetyzacji polityki Benjamin przeciwstawia tutaj komunistyczne upolitycznienie sztuki. W naszych uszach brzmi to oczywiście strasznie. Gwoli sprawiedliwości należy zaznaczyć, że w tym hasle nie chodziło o socrealistyczne poddanie kultury ideologicznej władzy państwowej, lecz – przynajmniej w intencjach – o uczynienie z działalności artystycznej medium wspólnego działania politycznego, które upodmiotowiłoby masy. Tak czy owak, to okropne hasło. Ja sam wolę Benjamin, który uczy nas, jak poszukiwać krytycznego momentu w kulturze popularnej, jak łączyć fascynację Kafką i światem filmu, jak w obrazach, które nas bombardują, dostrzegać nie tylko fałsz, ale i wyraz autentycznych lęków czy wręcz obietnicę lepszego świata.

Z *Po śmierci Benjamin zniknął na jakiś czas z horyzontu humanistyki. Jak narastało zainteresowanie jego myślą?*

Benjamin powrócił pośmiertnie – czy też, dokładniej rzecz biorąc, w ogóle został wreszcie doceniony jak należy – dzięki wysiłkom kilkorga przyjaciół, przede wszystkim Adorna, Scholema i Hannah Arendt. Scholem przechował wiele prac Benjamin, Adorno, którego prestiż po wojnie stale wzrastał, nieustrudzenie propagował jego myśl, choć czasem też przedstawiał pomysły zmarłego przyjaciela jako własne. To dzięki niemu od lat 50. poczęto wznawiać pisma Benjamin. Kiedy w latach 60. wezbrała fala studenckich protestów, Benjamin był już rozpoznawany jako jeden z zasadniczych

punktów odniesienia całego ruchu. Oskarżano wówczas Adorna o cenzurowanie jego dziedzictwa, które postrzegano jako bardziej rewolucyjne, niż próbował je przedstawić autor *Dialektyki negatywnej*. Wiele w tym wszystkim było zwyczajnych nieporozumień, ale w każdym razie w świecie niemieckojęzycznym Benjamin stał się wówczas niezwykle istotny. W USA sporą rolę w propagowaniu myśli Benjamin odegrała Arendt, potem Susan Sontag.

W dalszej recepcji Benjamin wyróżniłbym co najmniej trzy ważne momenty. Pierwszy z nich to dekonstrukcja, która zaczęła się interesować Benjaminem, słusznie wyczuwając, że łączy ją z nim pokrewieństwo – tu warto wskazać Paula de Mana i Jacques'a Derridę. Drugi moment to zwrot kulturowy w humanistyce, konsolidacja tego, co nazywamy współcześnie kulturoznawstwem. Benjamin jest jego prajcem. Gdy kulturoznawczo nastawiona humanistyka zaczęła koncentrować się na świecie obrazów, z jeszcze większą mocą mogła docenić jego myśl. Wspaniałe dzieło Georges'a Didi-Hubermana, który twórczo reinterpretuje Benjamin, by w nowy sposób myśleć o świecie obrazów, jest tu bodaj najważniejszym przykładem. Wreszcie należy wskazać moment wyłonienia się perspektywy postsekularnej, prób nieortodoksyjnego wyzyskania teologicznych perspektyw do myślenia o naszym świecie. W ten sposób odczytuje myśl Benjamin choćby Giorgio Agamben.

Z *Jak scharakteryzować obecnie rangę myśli Benjamin?*

Można bez wahania powiedzieć, że Benjamin stał się dla nas nie-

odzowny. Jak wskazuje recepcja jego dzieła, jego myśl stanowi dziś punkt odniesienia dla wielu gałęzi współczesnej humanistyki. Benjamin to fascynujący myśliciel, który znał na pamięć Goethego, ale był też zaniepokojony kreskówkami z Myszką Miki. Dzięki temu stał się prekursorem zmiany w humanistyce: uznania kultury masowej za wartościowy przedmiot analiz. Wspaniałe jest jednak to, że o kulturze popularnej Benjamin myślał z tym samym zawrotnym wyrafinowaniem i pasją, z jaką analizował Goethego. To filozoficzny geniusz, który pisał o jedzeniu, zabawkach i brukowaniu ulic. To także myśliciel profetyczny, zwłaszcza gdy idzie o analizy mitycznej maszyny kapitalizmu.

Ja sam nie przestaję się zastanawiać, jak wyglądałaby jego późniejsza praca, gdyby udało mu się dotrzeć do Stanów. Wierzę, że w odróżnieniu od Adorna i Horkheimera nie byłby najeżony na kulturę amerykańską, ale raczej szczerze nią zaniepokojony. Naprawdę dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, co Walter Benjamin miałby do powiedzenia o Nowym Jorku. — **Z**

Adam Lipszyc

Dr hab., prof. w Polskiej Akademii Nauk, filozof, tłumacz. Autor m.in. *Sprawiedliwość na końcu języka. Czytanie Waltera Benjamin, za którą otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia (2013)*

Ruchy owada

MAŁGORZATA LEBDA

KIEDY O NIM MYŚLĘ, TO ZDARZA MI SIĘ CZUĆ WE WŁOSACH RUCHY OWADA. JAK WTEDY kiedy kilkadziesiąt lat temu nakazał, abym zatrzymała się w miejscu i nie wykonywała gwałtownych gestów. Pszczoła. Musiała przywędrować do pniaka, który – odkąd pamiętam – służył nam za całkiem solidny stół, a stamtąd w moje rude cienkie włosy razem ze złotym plastrem, który ojciec ceremonialnie przyniósł z pasieki. Zebraliśmy się tam, aby napełniać ciepłe brzuchy pierwszym w tamtym roku miodem.

Pamiętam chłód jego dłoni, palce, które próbowały wysledzić owada, i to, jak przeżuwany w tamtej chwili plaster miodu staje mi gardle. Głosy rodzeństwa, które rwało kawałki wypełnionego jasnym miodem plastra, były podniesione, pracowały echem w mojej głowie. Pamiętam bardzo wyraźnie jeszcze to: przejeżdżający główną drogą autobus linii numer osiemnaście, który łączył naszą wieś z oddalonym o kilkanaście kilometrów miastem. Potrafię odtworzyć w pamięci twarz kobiety, która przyłożyła w autobusie skroń do szyby. Zamknęła oczy. W środku nie było innych ludzi, tylko ona, wysiadająca na ostatnim przystanku. Jej głowa kołysała się w rytm poruszeń pojazdu. Pomyślałam wtedy, że to niewyobrażalne, by poddawać się w taki sposób mdlącym ruchom autobusu. Tych kilkanaście sekund, podczas których śledziłam ruchy osiemnastki, pozwoliło poczuć mi wobec kobiety głębokie współczucie, wtedy jeszcze z pewnością nie potrafiłabym tego nazwać tym słowem. Wyglądała na zmęczoną, skóra jej twarzy była blada. Nie wiedziałam nic o jej powrocie: czy wracała do pracy? Czy wracała od chorej matki,

której zawiozła obtoczoną w jajku i mące pierś indyka? Matki, która leżała w miejskim szpitalu, w łóżku ustawionym pod oknem, skąd obserwowała ptaki układające gniazdo?

Gwałtowny ruch dłoni ojca uświadomił mi, że operacja przy skórze mojej głowy została zakończona. Brak bólu pozwolił mi mieć przez krótką chwilę nadzieję, że owad przeżył. Spojrzałam na ojca, który ze skóry kciuka wyciągał żądło. Możliwe, że była to zapowiedź tego, co jeszcze przyniesie nam tamten maj.

Od miesiący trwały przygotowania do komunii. Brat, który w najbliższą niedzielę miał w jasnym, paradnym stroju wystąpić w zimnych murach kościoła pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła, już od kilku dni odsuwany był od wszelkich obowiązków, a w szczególności od prac fizycznych. Należało zadbać, żeby jego dłonie były gładkie i – broń Boże – niepokaleczone przez ostre żdźbła czekające na postawienie w kopy i ułożenie w równe rzędy na dziełowych polach. „Książę Staszko”, pomyślałam o nim i zaczęłam łączyć obrzędy kościelne z jasnością – gdybym знаła wtedy słowo „predestynacja”, to pomyślałabym o tym właśnie słowie na opisanie statusu mojego starszego brata. Matka patrzyła na niego z troską, zachłannie. Ona, która przecież jeszcze kilka lat temu nie wyobrażała sobie, że mogłaby usiąść z trójką dzieci karmiących się przyniesionym przez jej męża a ich ojca miodem, przyglądała się nam wszystkim jak suka przygląda się miotowi, który właśnie wydała na świat.

Dzieci na naszych rodziców spadły niespodziewanie. Pobrali się późno, po czterdziestce, chociaż poznali się podobno już dwadzieścia lat wcześniej. Kiedyś zapytałam ich wprost: czy to znaczy, że przez tych dwadzieścia lat my, ich dzieci, byliśmy w brzuchu mamy i ona nas przez ten cały czas nosiła w tym brzuchu? Zbledli. Ojciec zapalił klubowego i odpowiedział: no tak jakby. Uruchomiło to we mnie niespokojne sny i szaleńczą pracę myśli i wyobraźni. No bo jak to? Tyle czasu w więzieniu brzucha naszej matki? Musiało minąć jeszcze kilka dobrych lat, żeby uspokoił mnie Robek, starszy kuzyn, który kiedy siedzieliśmy na obsypanych wiśniami drzewach i brzuchy pękały nam od czerwonych owoców, opowiedział mi i swoim siostrom o szczegółach damsko-męskiego przytulania się i konsekwencjach, jakie z tego płyną. Poczułam ulgę. Długo miałam jednak żal do ojca, którego słowa zasiały przecież w moim młodym umyśle niepokój. Szybko zorientowaliśmy się, że rodzice naszych kolegów, koleżanek i kuzynostwa są mniej więcej o połowę młodszy od naszych. Możliwe, że z tego właśnie powodu nasi pozwalali nam na dużo więcej niż młodszy opiekunowie współtowarzyszy zabaw. Byliśmy dla rodziców, mam tego pewność, jak egzotyczne rośliny, które ktoś podrzucił w prezencie, a oni nie wiedzieli dokładnie, jakiego światła potrzebują te kwiaty, jakiego podlewania, nawożenia, jakiej temperatury, po omacku, uważnie obserwując, metodą prób i błędów badali różne możliwości, dając przy tym roślinom wolność w wypuszczaniu pędów i liści. Główne zasady: nie ingerować nazbyt gwałtownie, obserwować i powtarzać gesty, które przyniosły pożytek, unikać tych mogących zahamować wzrost, dużo światła.

Autobus zdążył nawrócić u szczytu wsi, tam gdzie kończy się asfalt, pod domem Śliwińskiego, i wracał z miarowym pomrukiem przez rozgrzane ciało osady. Kobieta, pomyślałam o niej znowu, musiała już ruszyć w górę wsi, po chwili asfalt musiał zmienić się pod jej butami w żwirowe podłoże, z pewnością wykrzywiała na nim kostki. A może ściągnęła buty? ➔

Wracła pod las. Autobus wioził z powrotem nagrzane powietrze, które zawsze wywoływało u mnie ból głowy i mdłości.

Książę Staszko zwolniony z prac polowych, dotknięty jakimś tajemniczym nastrojem, z nieznikającym z ust uśmiechem, który balansował na granicy wyższości i radości, spacerował boso wokół nas. Dzień puchł od słońca, nasze ciała napełnione słodkim miodem ułożyliśmy na grubym kocu, który matka, przewidując nasze obżarstwo, rozłożyła nieopodal krzaku agrestu. Komunijsny nastrój uchronił nas przed spędzaniem dnia na rozgrzanej polanie w górze wsi. I chociaż dzień wcześniej ojciec nie darował nam pracy, tamtej soboty mogłyśmy towarzyszyć bratu i przyglądać się dostojnym ruchom młodego człowieka, który jutro – tak to sobie wyobrażałyśmy – zje Boga.

Rodzice wrócili do gorączkowych przygotowań, ze strychu docierał do nas zapach wędzonej kielbasy i boczku. Na parapety matka powystawiała ryż i mielone mięso, które wieczorem miały trafić w liście kapusty.

Nasze ciała zaczęły pracować na niewielkiej przestrzeni koca. Wiadomo było, że nie należy – broń Boże – wystawiać nóg na białe ciało brata, nie mogło bowiem się zdarzyć, żeby jakiś fragment jego ciała został nierówno naznaczony słońcem. Jutro wielki dzień, w którym wszystko powinno się zgadzać, nawet pociągnięcia słońca na jego białej skórze. Co chwilę zmieniałymy jednak nasze pozycje, raz moja dłoń lądowała na gołych plecach siostry, za chwilę czułam jej pulchne uda na moich wystających żebrach. Dzień nadymał się od upału. Pamiętam moment, kiedy moje powieki zamykały się, ale źrenica jeszcze nie powędrowała w tył i mogłam oglądać fioletowe żyłki wnętrza powieki i czerwony kolor jej samej. Chwilę potem byłam w ciemności, gdzie – jestem tego pewna – zbliżał się sen, gorączkowy, gwałtowny, już z tego snu podchodziły do mnie spasioone psy, aż spłoszył je wrzask, który dobiegł z zewnątrz.

Brat trzymał się za dolną wargę, co chwilę gwałtownie ją pocierając. Jego twarz była rozpalona. Siostra, podobnie jak ja wybudzona z rozkładającego swoje macki snu, podniosła z koca martwą pszczołę. Pokaż, powiedziałam do brata. W dolnej wardze tkwiło jeszcze żądło z fragmentem odwłoka pszczoły. Spojrzeliśmy po sobie w strachu. Książę został ranny, i to na własnym dworze, w czasie pokoju, w przeddzień ceremonii. Mydło. Siostra już po chwili nacierała jego puchnącą wargę szarym mydłem. On wydobywał z gardła ochryple jęknięcia. Zabijają nas, rzucił. Tymi dwoma słowami sprawił, że spłynęła na mnie cała groza tego wydarzenia. Może zwalniając nas z prac polowych i oporządzania zwierząt, oczekiwano od nas, od młodszych siostr księcia, roztoczenia nad nim uważnej opieki? Na moich skroniach pojawiły się zimne krople. Książę puchł.

Należało ukryć ranę odniesioną przez brata, nie było to możliwe bez ukrycia jego samego. Pomysł był prosty – należało nie wystawiać go na czujne spojrzenia rodziców. Oni, w chwilę po uządleniu, tak mocno zajęci bieżącymi pracami, przywołali całą naszą trójkę na obiad. Leż tu, udawaj, że śpisz, powiedziałam do niego. Rodzice, co nie zdarzało się często, pozwolili nam wyjść z obiadem na zewnątrz. A Staszko? Zapytał ojciec. Staszko oddaje się drzemce, jest zmęczony, przejęty, niech zażywa powietrza, powiedziałam, naśladując ton wypowiedzi, który podsłuchałam w Teatrze Telewizji, zabiorę też dla niego odpowiednią porcję, zakończyłam.

Ojciec uśmiechnął się, już dawno temu zorientowałam się, że lubi, kiedy mówimy do niego jak dorośli, że ceni sobie gesty, które są zapowiedzią naszej zbliżającej się dorosłości.

Zabrałam porcje dla siebie i dla księcia. Mieliśmy nadzieję i tak wszystko ustaliliśmy, że wydawało się bardzo prawdopodobne, by doprowadzić jego spuchniętą twarz pod, jak nam się wydawało, bezpieczną osłonę nocy. Księżę odmówił jednak pokarmu. Żeby nie wzbudzać podejrzeń i nie wracać z pełnymi talerzami, podzieliłyśmy z siostrą porcję pomidorowej pomiędzy siebie. Na drugie były skrzydełka kurczaka pociągnięte złotą skórą panierki, buraczki ćwikłowe na ciepło i *purée* z ziemniaków ze smażoną cebulką i skwarkami. Wszędzie mięso, którego smak teraz, po tylu latach, jest dla mnie trudny do wyobrażenia.

Pękały nam brzuchy, które dobrze jeszcze nie otrząsnęły się ze słodkości miodu. Zobacz, powiedziała siostra i dotknęła swojego brzucha. Jej pępek sterczał. Tak ma krowa, kiedy wejdzie w wujkową kukurydzę, zaraz wybuchnie, mówiła, zbliżając podbródek do klatki piersiowej tak, aby mieć dobry widok na dolną część ciała. Księżę leżał z twarzą zwróconą w kierunku pasieki, tyłem do okien kuchni, z których co chwilę wyglądali albo matka, albo ojciec i upominali nas, że tkwiąc na tym słońcu, powinniśmy dużo pić. Brat leżał bez słowa z grymasem bólu na twarzy, z otwartymi ustami i schnącym na dolnej wardze mydłem. Zrobiło mi się go żal, pomyślałam, że może opuchlizna nie zejdzie do jutra, a wtedy z pewnością ksiądz proboszcz odmówi bratu bożego ciała.

Leżeliśmy na rozgrzanym kocu, a wewnątrz nas rozpychał się strach. Uszczypnij, powiedział w końcu brat i podstawił mi pod dłoń czerwoną od słońca rękę. A ty mnie, zwróciłam się do siostry, wystawiając w jej kierunku ciepłą dłoń. A ty mnie, zwróciła się do brata moja i jego siostra. Stworzyliśmy z rąk trójkąt. Na trzy, zawyrokował on i zaczął odliczać: jeden, dwa, trzy. Ból pulsował jeszcze przez chwilę. No to nie sen, powiedział. No to przejebane, dodał po chwili. Z tego musisz się wypowiadać, rzuciła siostra, ale dostrzegając, że to nie czas na dokładanie mu trosk, sprostowała: nie, tak tylko gadam, takie tam głupoty.

Oglądam fotografie z niedzieli, która nastąpiła po sobocie, w której księżę a mój brat doznał obrażeń dolnej wargi, rozległych i bolesnych. Fotografie wyciągnęłam z górnej szuflady nakastlika, który przez lata ustawiony był obok naszej wersalki. Zdjęcia są wyblakłe, teraz widzę złe kadrowania i prześwietlenia. Nie miałam ich w dłoni blisko dwadzieścia lat. Jest księżę, ubrany w biały garnitur, trzyma w lewej dłoni świecę. Obok stoimy my, wystrojone, włosy mamy ułożone w wysokie koki, całkiem przyzwoicie zrobione jak na kilkulatki. Przypominam sobie, że tego dnia ciocia Ania pociągnęła moje usta szkarłatną szminką. A później w czasie przyjęcia, które odbywało się w naszym domu, podchodziła do mnie i poprawiała pomadką kontury moich ust. Jesteś piękna, mówiła mi przy tym, a ja jej wtedy wierzyłam. Na fotografii widać czerwień moich ust, które odznaczają się w porównaniu z białą, niemal

Byliśmy dla rodziców,
mam tego pewność, jak
egzotyczne rośliny, które
ktoś podrzucił w prezencie,
a oni nie wiedzieli
dokładnie, jakiego światła
potrzebują te kwiaty

prześwieconą twarzą mojej siostry. Ona odmówiła tamtego ranka czerwieni, ale powiedziała do siostry naszej matki: chcę pachnieć tak jak ty. Ciocia bez słowa wyciągnęła z czarnej torebki mały flakonik i nakazała nam wystawić wskazujące palce. Uroniła na nie po kropelce perfum. Tu i tu, powiedziała, wskazując miejsca za uszami. Fotografia przypomniła mi ten zapach, mocny, ciężki, jakby rozetrzeć płatki róży z czerwonym winem.

Przesuwam wzrok na matkę, jest piękna, już zapomniałam, że był czas, kiedy rysy jej twarzy były gładkie. Sukienka w grochy delikatnie podkreśla jej talię, spięte na szczycie głowy włosy są ciemne, nie dotknięte jeszcze srebrem. Ojciec stoi obok niej, już zapomniałam, że przewyższał matkę o głowę. Zdjęcie zrobiono na chwilę po uroczystości w kościele, pod jego ceglanymi murami. Ojciec był na tyle szybki, że zdążył ściągnąć marynarkę, i stoi tam, wprawdzie w białej koszuli, ale głęboko rozpiętej, stoi tak, przypominając trochę, że należy bardziej do ziemi niż do nieba. Ma w sobie coś z mężczyzn, którzy zamieszkują łuk Karpat. Dopiero po wielu latach zorientuję się, że obsesyjnie właśnie tego szukam: ciemnej skóry, włosów, wyraźnych rysów twarzy i oczu, które mogą dawać i odbierać.

Wracam wzrokiem do centrum kadru, żeby przyjrzeć się księciu uważniej. Jego twarz jest zniekształcona, być może obraz opuchniętej wargi nie byłby tak widoczny na oglądanych przeze mnie fotografiach, gdyby nie ingerencja księdza proboszcza. Ten dostrzegając przed mszą powiększoną wargę mojego brata, spojrzał na niego przenikliwie, tak jakby próbował rozwiązać trudne matematyczne zadanie, i prawą dłonią ściągnął swoją górną wargę na dolną. A wargi miał ciemnożółte od papierosów, których nie palił chyba tylko podczas mszy. Tak, w taki sposób masz pozować do zdjęć, nakazał.

Przeglądam pozostałe fotografie z tego dnia, na każdej mój brat z wysiłkiem próbuje naciągnąć wąską linię swojej górnej wargi na obfitość dolnej. Jego twarz, twarz księcia Staszko, wydłuża się przy tym, i jest smutna. Teraz potrafię to nazwać – bezbrzeżnie smutna. — 

Małgorzata Lebda

Dorastała w beskidzkiej wsi Żeleźnikowa Wielka. Autorka pięciu książek poetyckich – ostatnie trzy z nich składają się na wydane właśnie *Sprawy ziemi* (2020). Za tom *Sny uckermärkerów* nagrodzona Nagrodą Literacką Gdynia (2019). Doktorka nauk humanistycznych. Nauczycielka akademicka. Ultramaratonka. Fotografuje. Mieszka w Krakowie

Z *Czego szuka Pani w literaturze?*

Olśnienie, zachwyty, piękna, pragnienia, odpowiedzi, ale też pytań, wątpliwości, napięcie, brudu życia. Szukam pracy w języku, która potrafi zredefiniować moje nawyki zarówno pisarskie, jak i czytelnicze. Szukam fragmentów jak te z Inger Christensen: „antonówki istnieją, antonówki istnieją”, czy z Michaela Ondaatje’ego: „Całuję brzuch / całuję twoją pokrytą bliznami / łódkę skóry. Płynęłaś / z nurtem historii / i ją weźmiesz ze sobą // Brzuch każdego z nas / całowały usta / obce drugiej osobie // co do mnie / błogosławię każdemu / kto ucałował cię właśnie tutaj”, i jeszcze z Tomasza Tranströmera: „(...) Bałtyk szumi także na środku wyspy, w głębi lasu człowiek jest / na pełnym morzu (...)”. Mogłabym tak bez końca.

Z *W jaki sposób Pani pracuje?*

Z każdym rokiem w sposób coraz bardziej planowy. Nie potrzebuję do tego laboratoryjnych warunków, najlepiej – a może słowo „najprzystojniejszy” jest właściwsze – pracuje mi się blisko natury. Lubię też mieć w zasięgu głosu bliską mi osobę. Warunkiem koniecznym jest dla mnie głowa pozbawiona wielkich obowiązków, stan idealny to brak deadline’ów. Blisko mi do przekonania, które żywi Peter Handke, a które opiera się na tym, że



fot. Bartek Warzecha

Małgorzata Lebda

nie można napisać książki, „czekając na telefon”. Oczywiście można, ale w idealnym świecie, chciałoby się pracować bez czekania na telefon, który odrywa od tkanki tekstu. Szczególnie wyraźnie odczuwam to obecnie, pracując nad prozą.

Z *Co najchętniej Pani czyta?*

Ostatnie lata zbalansowały ilość czytanej poezji względem prozy. Staram się utrzymywać higienę czytelniczą i nie popadać czytelniczo w jeden rodzaj literatury. Lubię te momenty przejścia jak np., kiedy odkładałam

prozę Miljenki Jergovicia i przechodzę do wierszy Krystyny Miłobędzkiej, a po tym przychodzi czas na zbiór esejów Dubravki Ugrešić. Mieszam czytane języki, do tego dochodzi oczywiście literatura naukowa związana z moją pracą akademicką i publicystyka, której jako obywatelka jestem ciekawa. Fascynujące jest dla mnie obserwowanie tego, co się dzieje w tych wszystkich dykcjach. To orzeźwiające i inspirujące doświadczenie.

Z *Jaką funkcję może współcześnie spełniać / spełnia literatura?*

Wierzę, że może zmieniać ludzi, pokazywać różnorodność świata, wyrabiać empatię, uczyć tolerancji, rozmowy, dialogu, dawać nadzieję, co jest dla mnie równoznaczne z prowokowaniem do działania. A tak bardzo teraz tego potrzebujemy. — **Z**



■ Scena z południowokoreańskiego filmu *Parasite* (2019) w reżyserii Joon-ho Bong.
Bohaterowie próbują zarobić na życie, składając dla dostawców pudełka na pizzę
fot. Gutek Film



Ludzie • Książki • Zdarzenia

Państwo podziemne

ŁUKASZ NAJDER

Nasze przeświadczenie, że w dobie COVID-19 „wszyscy” odizolowali się od wszystkich w swoich przestronnych, zaizolowanych mieszkankach – i że „każdy” oddaje się w nich kulinarno-czytelniczej pasji – było w znacznej mierze iluzją wynikającą z braku zainteresowania tym, co poza nami, a nie oglądem rzeczywistości

Z KUCHNI, NIM UDAŁEM SIĘ DO pokoju, w którym pracuję zdalnie jako redaktor, obserwowałem rytuały tej dziwnej wiosny. Już po ósmej rano wtaczały się tu dostawczaki Tesco i jasne, wysokie fury kurierów. Sunęły ostrożnie, jakby wiozły niewybuch albo papieża, bo uliczki osiedlowe są wąskie i zastawione naszymi rodzinnymi kłami, tanimi SUVami, peugeotami i renaultami drugiej młodości. Przy szkole na Boya trwała budowa – dzięki przeświadowi między blokiem 83 a 84 widziałem poruszający się żuraw. Na tyłach fryzjera i ODIDO powstawał kolejny nowy parking z wszelkimi tego procesu ➔

konsekwencjami, a więc przesywającym dźwiękiem szliferek, krzątaniem mikrokoparek i spychów, basem ubijarki, nagłymi gejzerami pyłu. Dozorczyń krążyła od klatki do klatki z pękiem worków foliowych pod pachą i miotłą w garści, przemykał listonosz, straż miejska patrolowała okolicę. Nieliczni sąsiedzi wybierali się na roztropne zakupy – do Żabki, apteki, piekarni, warzywniaka.

To wszystko było pozorem normalności. Albo inaczej – normalnością, w której nie uczestniczyłem. Albo jeszcze inaczej – jedną z dwóch normalności. Bo odkąd uderzyła pandemia, my funkcjonowaliśmy w swojej normalności, a oni, tamci, wy – w swojej.

Co w grudniu było jedynie newsem z odległych Chin, serią kadrów rodem z *Contagion* i memem o nietoperzu, już w połowie marca okazało się również i naszą rzeczywistością. Zaskakującą, dziwną, brutalną.

Ale – daliśmy radę! Dla zdrowia bliskich i populacji zostaliśmy w domach. W domach – myśliśmy ręce z wprawą i zjadłością godną lady Makbet. Przeszliśmy w tryb *home office*, zrzuciliśmy bieg na *slow life* i oddaliśmy się binge-watchingowi. Między telekonferencjami w zoomie i *Spiskiem przeciwko Ameryce* piekliśmy chleb i demonstrowaliśmy na Instagramie, że upiekliśmy chleb. To idealny czas, by nadrobić zaległości w lekturach, zniwelować „stosiki wstydu”. Albo choć mocno tego zapragnąć. Maraton powtórkowy *The Wire*? Nauka esperanto? Kurs flamenco z instruktorem z Youtube’a? Wirtualne zwiedzanie 10 największych muzeów świata? Przegląd szaf i priorytetów? Bardzo proszę. Kiedy na Facebooku czy twitterku pisaliśmy o tej zupełnie nowej sytuacji, pisaliśmy „cała Polska”, „każdy”, „wszyscy”, „my” – „my” jak w „siedzimy” bądź „nie wychodzimy”. Nasze pandemiczne życie miało być czymś w rodzaju rezydencji artystycznej we własnym mieszkaniu.

Oczywiście się nie udało, bo jesteśmy głęboko uzależnieni od nagłówków, Kaczyńskiego, tokowania na swój temat. Dzień zmieniony w jeden wielki seans *mindfulness* bądź wieczory oddane Proustowi to złuda, Liga Mistrzów samooszukiwania. Przebudźcowane mózgi nie znają – i nie zaznają – spokoju. Warowaliśmy przed ekranami, wariowaliśmy przez domagające się uwagi i cukru dzieci. Na tym mijała nam izolacja.

Zaczęliśmy więc łaknąć czegoś szlachetniejszego i ważnego. Wielu z nas zostało strażnikami antypandemicznych rygorów, tworzyliśmy surową instancję, która rozliczała innych z dochowywania obostrzeń. Odwołujące się do rozsądku i wspólnego dobra #zostańwdomu podmieniliśmy na rozkaz-przyganę #zostańkurwawdomu. Bo z naszej perspektywy ci, którzy wciąż kręcili się po ulicach, byli nieodpowiedzialnymi idiotami i wrogami – agentami koronawirusa.

Tymczasem według raportu GUS „na koniec marca 2020 r. pracą zdalną objętych zostało 11% pracujących”, co więcej – „w stopniu znacząco wyższym niż średnio w Polsce przejście na pracę zdalną w obliczu nowej

Cyberkapitalizm dokonał
swoistego umagicznienia
rzeczywistości. Świat
wydaje się wielkim składem
z łakociami istniejącym
w jednym właściwie celu:
by zaspokajać nasze kaprysy

sytuacji związanej z rozprzestrzenianiem się COVID-19 miało miejsce w regionie warszawskim stołecznym”. Nasze przeświadczenie, że w dobie COVID-19 „wszyscy” odizolowali się od wszystkich w swoich przestronnych, zaikowanych mieszkankach – i że „każdy” oddaje się w nich kulinarno-czytelniczej pasji – było w znacznej mierze złudzeniem uprzywilejowanych, iluzją wynikającą z braku zainteresowania tym, co poza nami, serią wzajemnych odbić, a nie oglądem rzeczywistości. Stąd potem zaskoczenie, że ci na zewnątrz wcale nie są – albo przynajmniej nie są w przygniatającej większości – krnąbrnymi głupcami i lekkoduchami niosącymi resztkę choroby i śmierć, ale tworzą nieprzeliczony personel, który obsługuje naszą wygodną rzeczywistość. To dzienne i nocne zmiany w megafabryce późnego kapitalizmu, pracownicy służb i usług, obsługa dystrybutorów z przyjemnością, dzięki którym działa świat. No i oto byliśmy jak człowiek, który nagle dowiedział

się, że prócz umysłu i wykarmionego tłuszczami i kremem mięciutkiego ciała ma także kości, flaki, mięśnie i krew.

Klasa domowa i klasa doomowa

OPUBLIKOWANY NA STRONIE „KRYTYKI Politycznej” znakomity esej Bartosza Migasa *Narodziny klasy domowej* to rzecz o nas – nasze świadectwo urodzenia, opis-prognoza.

„Oto bowiem za chwilę będziemy mieć klasę ludzi, którzy pracują w ogromnej mierze zdalnie (...). Ludzie z tej klasy nie muszą wychodzić, nie tracą więc czasu na dojazdy, zawsze są w stanie wstać na chwilę od komputera i zrobić coś w domu, mogą załatwiać sprawy urzędowe i zakupy przez internet, nie muszą wychodzić do sklepów i stać w kolejce do kas, tylko zaznaczają produkty w internetowych katalogach, a kurierzy dowożą im je pod drzwi. Praktycznie nie muszą chodzić po ulicach i mimochodem brać udziału w przypadkowych interakcjach z innymi – w szczególności z ludźmi z klas niższych. Ludzie ci mogą funkcjonować w niemal wszystkich aspektach życia, nie opuszczając swojej domowej, towarzyskiej i informacyjnej bańki”.

Ale rzeczona „klasa domowa” pomimo obfitości najróżniejszych wysokich kapitałów własnych nie jest i nie będzie samowystarczającą grupą społeczną. Ba – funkcjonuje tak naprawdę dzięki „klasie outdoorowej”, zewnętrznej, klasie „ukrytej” za umowami i zadaniami samorządów terytorialnych, apką, formularzem zamówienia, linkiem do promocji, esemesem z informacją, o której godzinie spodziewać

się dostawy. To oni i one „zatrudnieni w usługach komunalnych, handlu, transporcie i produkcji” podtrzymują nasz dobrostan, uzupełniają lodówkę i biblioteczkę.

Obecna pandemia jest jednym z pierwszych testów kooperacji tych nowych dwóch klas. Testem odbywającym się w warunkach omal „bojowych”, zagrażających niekiedy zdrowiu, a nawet życiu. „Ktoś musi pozostać na zewnątrz, pomimo zapewnień, że »to bardzo niebezpieczne«, by ktoś inny mógł przeczekać apokalipsę bezpiecznie w domu” – jak zauważała na łamach „Nowego Obywatela” Magdalena Okraska.

Z kolei Ludwika Włodek w „Piśmie” tak opisywała sytuację pandemiczną we Francji: „Tak zwani rdzenni Francuzi zamknęli się w domach i zajęli pracę zdalną dla swoich redakcji i kancelarii. Na dwór wychodzą tylko pobiegać. Migranci z blokowisk na przedmieściach albo pracują jak przedtem, bo ich pracy nie da się wykonać zdalnie, albo właśnie wylądowali na bezrobociu, bo mieli zawody, które w czasach zamkniętych restauracji, kawiarni i większości sklepów po prostu stały się nieprzydatne. (...) Ci, którzy wciąż pracują, są często jedynymi żywicielami swoich rodzin. Nie mogą przestać przychodzić do pracy, nie mogą pozwolić sobie na luksus odosobnienia, na które tak narzeka zasobne mieszczaństwo z lepszych dzielnic”.

Presja, by zamożniejsza część społeczeństwa – co przekłada się również na postawę zamożniejszych państw Europy – mimo pandemii nie zmieniła swojego stylu życia i konsumpcyjno-estetycznych przyzwyczajęń, jest tak potężna, że specjalnie dla niej bywały poluzowywane rygory i obostrzenia. „Nawet po utracie pracy obywatele UE nie spieszą się do wykonywania nisko płatnych zawodów i pracy fizycznej, a uprawa, dostawa i sprzedaż żywności »białym panom« byłyby niemożliwe bez zagranicznej siły roboczej” – donosiła Olena Babakova, cytując w swoim tekście *Epidemia pokazała, że europejskie gospodarki zależą od migrantów* to, co Costi Rogozanu i Daniela Gabor napisali w „The Guardian”: „Ścinacze szparagów, zbieracze sałaty i opiekunowie medyczni wykonują dziś najbardziej wydajną formę pracy w Europie: tanią, wysoce produktywną i zazwyczaj na czarno – chociaż bywa to praca upokarzająca i stanowiąca zagrożenie dla zdrowia publicznego. Europejska ekonomia polityczna stworzyła uniwersalnego postkomunistycznego żołnierza, zdolnego do przekształcania się z robotnika rolnego w opiekuna, a z opiekuna w pracownika budowlanego wraz ze zmianą pór roku. Swoboda przemieszczania się przekształciła się w pęd za przetrwaniem, a nawet i ten przywilej został zarezerwowany dla osób sprawnych fizycznie”.

By nasycić apetyty i uniknąć „zmuszenia” własnych obywateli do wykonywania żmudnych, „wstydliwych” i niskopłatnych prac, Anglia, Niemcy i Austria utworzyły specjalne mosty powietrzne, którymi do nich transportowani byli pracownicy z Rumunii i Bułgarii. Zamknięcie granic i względy bezpieczeństwa okazują się fikcją – kwestią podrzędną wobec ekonomii.

Niezwykle bolesną lekcję koronawirusową odebrali zwłaszcza Amerykanie, u których pandemia nie dość, że zebrała największe żniwo – w połowie lipca było to ponad 130 tys. zmarłych i blisko 3,5 mln zakażonych – to przy okazji ukazała, jak silnie amerykańskie społeczeństwo naznaczone jest

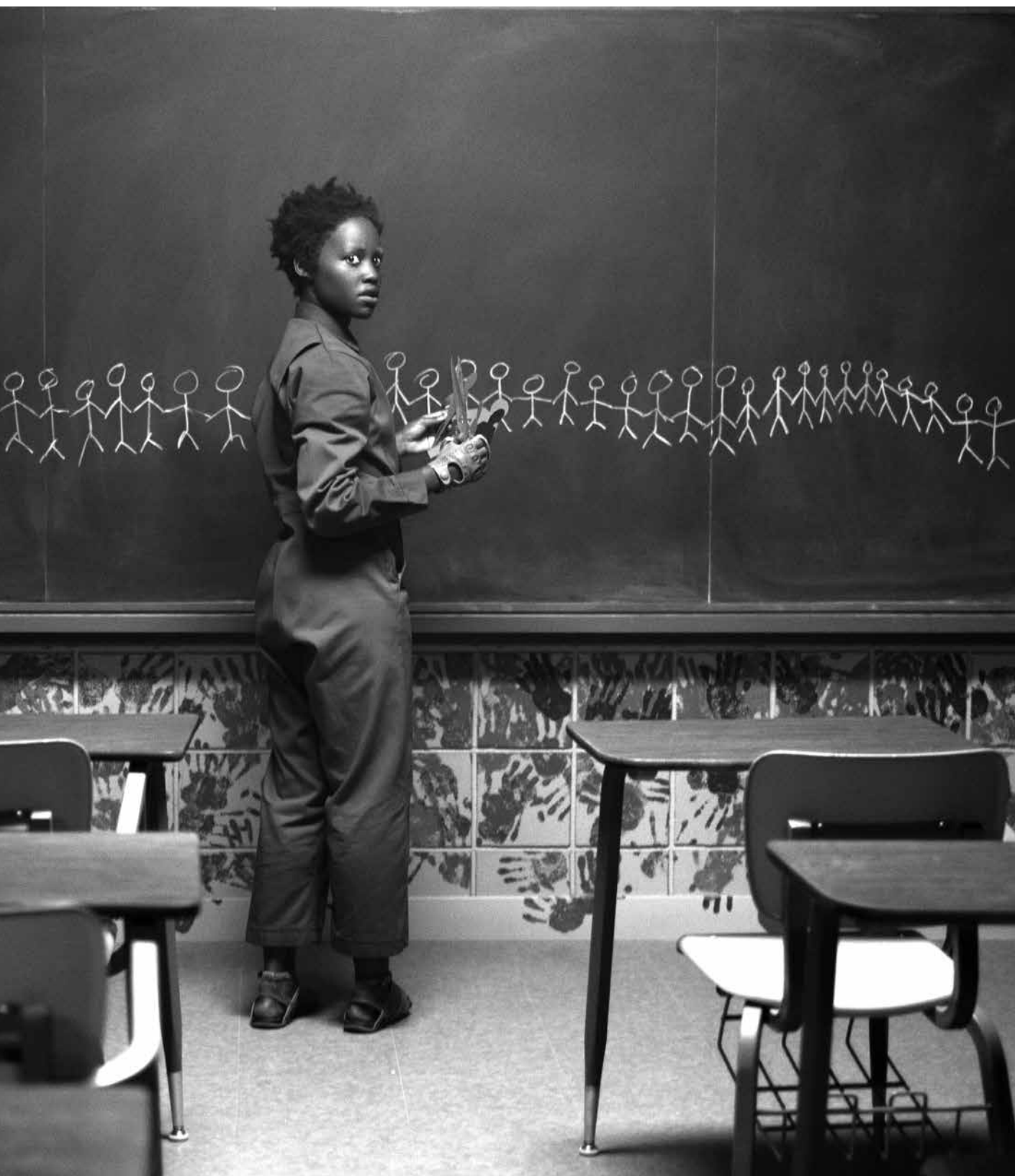
❑ **Lupita Nyong'o** w scenie z filmu Jordana Peele'a *To my* (2019) opowiadającego walegoryczny sposób o przedstawicielach sytej amerykańskiej klasy średniej i jej biedniejszych, wzbudzających lęk sobowtórach
fot. Alamy / BE&W

nierównościami. Plaga ta zweryfikowała nie tylko przekonanie o potęgde i sprawności logistycznej Stanów Zjednoczonych i kapitalizmu, ale i obnażyła skalę zależności – prawie nie do odróżnienia od „żerowania” – tych lepiej sytuowanych od tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na pozostanie w azylu, kiedy wokół szaleje wirus. A nie mogą, bo nie posiadają oszczędności albo boją się, że ich miejsce pracy zajmie ktoś inny. George Packer w „The Atlantic” pisał wprost, że „paczka młodej rukoli zamówiona na AmazonFresh jest tania i przychodzi następnego dnia po części dlatego, że ludzie, którzy tę rukolę uprawiają, zbierają, pakują i dostarczają, pracują nawet, kiedy są chorzy. Dla wielu pracowników sektora usług zwolnienie chorobowe to nieosiągalny luksus. Warto się więc zastanowić, czy zgodzilibyśmy się na wyższą cenę i nieco dłuższy czas wysyłki, żeby mogli zostać w domu” (tłum. M. Budzińska).

W „The Baffler” z kolei Musa al-Gharbi bezlitośnie punktował hipokryzję i fałszywą solidarność lewicujących wrażliwców, zwłaszcza tych z Nowego Jorku. „Styl życia współczesnych miejskich elit opiera się w ogromnej mierze na istnieniu grupy bezbronnych, zdesperowanych ludzi, którzy wykonają wszelką potrzebną pracę, kiedy tylko się tego od nich zażąda i za jakąkolwiek cenę. Będą spełniać dowolne zachcianki klasy menadżerskiej, z uśmiechem znosić nieuprzejmość i pomiatanie i pojawią się w pracy bez względu na to, co dzieje się w ich życiu. (...) Bastion liberałów, oświeceni eksperci i profesjonaliści pewni siebie i swoich racji. Mówią i czują rzekomo wyłącznie »śluszne« rzeczy. Chwalą się »uczciwą« konsumpcją – wybierają produkty organiczne, bez GMO i powstałe z poszanowaniem zasad *fair trade*. A jednak ich styl życia zależy od armii słabo opłacanej służby, która ma się stawiać po naciśnięciu guzika 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu i którą można beztrudno odprawić – niech sobie radzi – gdy tylko przestaje być potrzebna” (tłum. M. Budzińska).

Cyberkapitalizm – kapitalizm smartfonów, social mediów i platform internetowych – poprzez to, że jest coraz bardziej technicyzowany i skomplikowany, a zarazem na pozór łatwy w obsłudze, dokonał swoistego umagicznienia rzeczywistości. Świat wydaje się wielkim składem z łakociami istniejącym w jednym właściwie celu: by zaspokajać nasze kaprysy, dzięki którym nabywamy symbole podtrzymujące status i samopoczucie. W rezultacie jednak z pola widzenia i wrażliwości na ogół znikają ci, którzy zasuwiają po drugiej stronie iPhone'a czy laptopa. Nie widzimy łańcuchów wyzysku, stresu i znoju, bo najbardziej interesuje nas nasza własna emocja w finale transakcji. Czy będziemy zadowoleni z tempa dostarczenia zamówionego produktu bądź usługi i jakości tychże? System ocen tylko czeka, byśmy mogli skarcić zbyt opieszałego kuriera, restaurację dostarczającą ➔





nie dość ciepłe jedzenie, sklep, który nie zadbał o perfekcyjne zabezpieczenie tabletu czy widelca do roweru. Osoby zapewniające nam dostawę dóbr i przyjemności są kimś na kształt życzliwych, małomównych elfów, które na chwilę wychynęły z kryjówki, żeby zarobić na swoje utrzymanie. Ilość codziennych interakcji, deficyt uwagi, brak czasu i natłok treści nie sprzyjają zapewne spokojnej refleksji nad tym, jakim kosztem to wszystko się odbywa – jak wygląda mapa naszych pragnień. I jak głębokie i rozległe jest to podziemie, w którym magazynierzy, kucharki, pracownicy centrów logistycznych, kierowcy czy pakowacze siedzą i czekają na nasz sygnał.

Odzyskiwanie głosu

OSTATNIE LATA TO DOBRY CZAS DLA OPOWIEŚCI O „LUDZIACH Z PODZIEMIA”. O tych, których nie było zazwyczaj widać w topowych mediach informacyjnych, mainstreamowych serialach, budujących, kolorowych klipach kampanii wyborczych – uśmiechnięta rodzinka z labradorem, pobudzony człowiek sukcesu, aktywni seniorzy – na okładkach tygodników opinii. Jakby dotychczasowy model narracji liberalnej okazał się ostatecznie nazbyt wąski i zakłamy, by sensownie wytłumaczyć wydarzenia i procesy w rodzaju triumfu PiS-u i Andrzeja Dudy, nieoczekiwanego zwycięstwa Donalda Trumpa, brexitu, hegemonii Viktora Orbána, powszechnego wzrostu postaw nacjonalistycznych i populistycznych, gigantycznych nierówności społecznych, zachwiania wiary w instytucje demokratyczne i samą demokrację.

Nie oznacza to oczywiście, że beletrystyka i literatura faktu nie podejmowały nigdy wcześniej tematu biedy, dyskryminacji, nieszczęścia czy wyzysku jednostek i grup społecznych. Książka Urszuli Glensk *Historia słabych. Reportaż i życie w dwudziestoleciu (1918-1939)* jest panoramą takich zejść do piekieł i podziemi – panoramą relacji reporterskich z przytułków dla bezdomnych, terenów powodziowych, kopalń, fabryk, rzeźni, mieszkań i dzielnic ubogich, ulic, na których zdesperowane kobiety oferują swoje ciało za pieniądze bądź jedzenie. Tym cenniejsza to rzecz, że w efektywny i dobitny sposób neguje sanacyjną *belle époque*, najbardziej chyba idealizowany okres w historii Polski – krainę efektywnego dobrobytu, Luxtorpedy i rycerskich zasad.

W zupełnie innym miejscu i czasie – kilkadziesiąt lat później i kilkanaście tysięcy kilometrów dalej – Barbara Ehrenreich przez dwa lata pracowała jako kelnerka, sprzedawczyni w Walmarcie, sprzątaczką i opiekunką zniedołężniałych i chorych, by napisać *Za grosze pracować i (nie) przeżyć*, reportaż z gigantycznej, aczkolwiek na co dzień dla wielu niezauważalnej, strefy niskopłatnych prac. Podjęła się tego wysiłku reporterskiego, bo „biedni zniknęli z szeroko pojętej kultury, z politycznej retoryki i intelektualnych przedsięwzięć, tak samo jak z codziennej rozrywki”. Swoją cel osiągnęła – książka stała się bestsellerem i wywołała w USA ogólnonarodową dyskusję.

Blżej nas, bo w Niemczech, działał i tworzył Günter Wallraff, mistrz reportażu wcieleniowego i autor wstrząsających książek i tekstów o tureckich gastarbeitersach, pracy w brukowcu, alkoholikach, bezdomnych, ofiarach rasizmu, telemarketerach. Wallraff na własnej skórze przekonał się, czym jest

bezlitosne oko społeczne, które albo nie widzi tych „na dnie” i „obcych”, albo *a priori* widzi w nich degeneratów i przestępców. W wywiadzie udzielonym Katarzynie Bielas w „Gazecie Wyborczej” opowiadał: „Kiedy wcieliłem się w Turka Alego, własna matka mnie nie poznała. Kiedyś po pracy przyszedłem do niej jako Ali, kolega jej syna. Wszedłem do kuchni, zamieniliśmy parę słów i wyszedłem. Potem przebrałem się i wróciłem już jako ja. »Co to za nieprzyjemny człowiek tutaj był? – zapytała. – Miał takie czarne, świdrujące oczy«. Powiedziałem: »To był mój najlepszy przyjaciel, bez niego w pracy nie dałbym sobie rady«. A ona: »Ty za bardzo ufasz ludziom. Zobaczysz, on ci jeszcze zaszkodzi. Ja znam się na ludziach«”.

Didier Eribon, francuski socjolog, w bardzo osobistym, wstrząsającym *Powrocie do Reims* na przykładzie swoim i własnej rodziny udowodnił, że można latami „nie widzieć” położenia nie jakichś tam uogólnionych biednych czy wykluczonych, ale nawet tych biednych i wykluczonych, którzy są najbliższymi. Eribon wiele pisał o homofobii czy nietolerancji, ale dziwnym trafem nigdy omal w swojej karierze naukowo-pisarskiej nie poruszał kwestii, która miała okazać się kluczowa, by zrozumieć własne życie i życie jemu podobnych: ubóstwa, z którego się wywodził, proletariackiego rodowodu, niewyobrażalnego poświęcenia ze strony rodziców, by mógł się kształcić, „zdrady klasowej”. Po latach wrócił do Reims, prowincjonalnego miasta, z którego uciekł do Paryża, by podbijać tam akademię i obracać się w końcu w kulturalnym, wyrafinowanym

towarzystwie. Dopiero z perspektywy minionego czasu – i nabytego doświadczenia – widzi, w jakiej pułapce tkwili jego ojciec i matka, jak daremne były ich próby awansu społecznego, z ilu marzeń i pasji musieli na zawsze zrezygnować, by zarobić na utrzymanie swoje i dzieci.

Powrót do Reims to również książka o tym, jak lewica francuska straciła z oczu klasę robotniczo-ludową i pozwoliła jej tym samym na dryf w kierunku lepenowskiego Frontu Narodowego. Klasa ta nie tylko oddała nacjonalistom swój głos w wyborach, ale i przejęła ich rasistowsko-ksenofobiczno-homofobiczne spojrzenie na świat.

Sukcesorem Eribona jest Édouard Louis. To właśnie Eribonowi Louis zadedykował swój autobiograficzny debiut *Koniec z Eddym*, który stał się wydarzeniem literackim we Francji i megabestsellerem. Wzorem mistrza Louis reflektor swojej bezkompromisowej opowieści kieruje na przeszłość własną i rodziny – pracowników fizycznych mieszkających w zapadłej dziurze w Pikardii. Tematem jest tu nie tylko homofobia, przemoc i totalne niezrozumienia, z jakimi na każdym kroku styka się młody Louis, ale i powody, dla których jego dom i miasteczko są nimi przesyczone. Społeczność, w której urodził się i wzrastał autor *Końca z Eddym*, czuje się porzucona przez Francję, nic niewarta, godna pogardy – i pogardy doświadczająca, zupełnie niezauważalna przez wielkomiejskie elity, polityków, twórców kultury. Kisi się więc w beznadziei i brutalności. Nie sposób z tym walczyć, można tylko, śladem Eribona, uciec.

O podobnych przejściach napisał również J. D. Vance w *Elegii dla bidoków*. Jest to rodzaj autobiografii, będącej z jednej strony portretem społeczności, z której autor się wywodzi – ubodzy, agresywni i pogrążeni w nałogach mieszkańcy appalachijskiego „pasa rdzy”, a z drugiej – opowieścią o tym, jak udało mu się stamtąd wydostać i nie podzielić losu wiejących na zasiłkach i wyniszczonych używkami ziomków. Vance dał im ekspozycję, pokazał rodakom i światu tych, o których mówi się rzadko – w samych Stanach Zjednoczonych sprzedały się 2 mln egzemplarzy *Elegii dla bidoków* – poinformował o problemach, tak indywidualnych, jak i systemowych, ukrytych na co dzień za propagandą supermocarstwa, ale zarazem – co zarzucali mu krytycy – mniej lub bardziej świadomie utrwalił ich obraz jako obiboków i przegrywów, którzy nie chcą zerwać ze swoim sposobem na życie. Nie chcą, choć przecież mogą, na co dowodem jest sam Vance – prawnik, żołnierz, pisarz. Sporo w tym prawdy, a i postawa Vance’a, zwłaszcza tego Vance’a z finałnych partii książki, Vance’a zainstalowanego już w lepszym świecie, wywołuje mieszane uczucia, bo autor *Elegii dla bidoków* pozwala sobie co rusz na przygany i moralizowanie rodem z periodyku „Najwyższy Czas!” i kreuje siebie na herosa wyciętego wprost z pism Ayn Rand. Na przykład wtedy kiedy z dumą oznajmia, że na pewnym etapie życia miał trzy prace jednocześnie. Jakby kompletnie umykało mu to, że coś musi być nie tak, skoro trzeba mieć trzy etaty, żeby żyć i przeżyć.

Lecz temat „ludzi z podziemia” to nie tylko książki. W roku 2019 swoją premierę miały dwa znakomite filmy poruszające problem niedostrzegania tych, którym się nie powiodło, ubóstwa, wykluczenia na mar-

gines. Mam na myśli południowo-koreański *Parasite* i amerykański *To my*. Są to obrazy dość podobne fabularnie i formalnie. Oba opowiadają o zamożnych rodzinach 2+2 i rodzinach będących tychże rodzin groteskowymi odbiciami, oba wykorzystują sztafaż gatunku popularnego – *To my* horroru, a *Parasite* farsowej komedii o spryciarzach – by przeprowadzić błyskotliwą krytykę współczesnych stosunków ekonomicznych i nierówności, które ostatecznie prowadzą do eskalacji przemocy, dzikiej walki o przetrwanie i zbrodni.

To my jest wirtuozerską i brutalną wizją, według której nasz świat ma swoje zniekształcone, „gorsze” odbicie – swoją podziemną wersję, w której egzystują nasze sadystyczne i nieszczęśliwe kopie. Atak sobowtórów na rodzinę

Osoby zapewniające
dostawę dóbr
i przyjemności są
dla nas kimś na
kształt życzliwych,
małomównych
elfów, które na
chwilę wychynęły
z kryjówek, żeby
zarobić na swoje
utrzymanie

Wilsonów w ich letnim domku to główny wątek filmu, ale równie istotna, co makabryczne pojedynki i umiejętne budowanie suspense jest tu warstwa alegoryczno-symboliczna. Bezlitośni, pokraczni, okaleczeni i posługujący się częściej skowytami niż mową Red, Abraham, Umbrae i Pluto są tymi, których ludzie tacy jak Wilsonowie, syta klasa średnia, oglądają bardzo niechętnie i równie niechętnie wchodzi z nimi w jakiejkolwiek interakcje. Najlepiej, by takich osobników w ogóle nie było. Albo byli wyłącznie gdzieś tam u siebie – poza spojrzeniem i świadomością tych, którym widok innych / biednych / źle ubranych kwasi humor, a nawet wywołuje automatyczny lęk o własne bezpieczeństwo.

Z kolei mieszkająca w suterenie rodzina bezrobotnych Kimów nie widzi już innego sposobu na zakosztowanie dostatku niż podstęp i oszustwo, dzięki którym dostaną się do wytwornej rezydencji bogatych Parków jako służba i nauczyciele ich dzieci. Tam oddają się orgii imitacji (znamienne, że i doppelgängerzy w *To my* małpują swoje ofiary), do rozpuku korzystają z wygód i spiżarki, bo nielimitowana konsumpcja i wylegiwanie się w wannie są dla biedaków nie tylko doraźną, intensywną przyjemnością, ale i wyrwaniem się z przypisanych im ról, ucieczką, choćby i chwilową, z upokorzenia i wegetacji w norze. Dzieło Bong Joon-ho to znakomite, nieoczywiste kino o ułudzie i daremności wszelkiego rodzaju planów na życie, które snują ci uwięzieni na dole. *Pasożyt* jest z jednej strony ekranizacją traktatów Dostojewskiego czy Kafki o ludziach spod podłogi, ludziach insektach, nie-ludziach, na których ludzie patrzą z odrazą i zatkniętym nosem, z drugiej – *memento* o tym, że „mnóstwo ludzi żyje pod ziemią”, każdy w istocie na kimś pasożytuje, a podziemie składa się z wielu poziomów.

Ważnym i pożytecznym nurtem są również socjologiczno-kulturoznawcze prace zwrócone ku głębszej historii, wydobywające na światło dzienne położenie i dramaty ludzi żyjących lat temu kilkadziesiąt i więcej, doskrobujące się do prawdy o nich ukrytej za popularnym wyobrażeniem, krzywdzącym stereotypem, publicystyczną karykaturą, kliszą z filmu kostiumowego, serialu czy beletrystycznych romansideł. Znamienne, że są to prawie bez wyjątku książki kobiet o kobietach: Alicja Urbanik-Kopeć napisała o robotnicach fabrycznych (*Anioł w domu, mrówka w fabryce*) i służących (*Instrukcja nadużycia*), również o służących – Joanna Kuciel-Frydryszak (*Służące do wszystkiego*), Marta Madejska o łódzkich włókniankach (*Aleja Włókniarek*). Warto dodać tutaj na pewno jeszcze i *Cięcia. Mówioną historię transformacji* Joanny Wawrzyniak i Aleksandry Leyk, a także *Dzieci rewolucji przemysłowej. Kto naprawdę zbudował współczesny świat* Katarzyny Nowak.

Kłopot w tym, że rozbuchany przemysł kulturalny, karuzela premier i „wydarzeń artystycznych dekady” skutecznie neutralizują rewolucyjny bądź choćby „tylko” krytyczny potencjał tego rodzaju książek i filmów. Gniew wywołany lekturą zostaje dość szybko rozbrojony, przekaz na dobre przepada w medialnej paplaninie, czyjeś nieszczęście zostaje przez nas wchłonięte – jak cierpki alkohol, powiedzmy, czy lukrecja – i rozpuszczone w umyśle razem z innymi atrakcjami kulturalnymi.

Problem z książkami i tekstami prasowymi „otwierającymi nam oczy” jest też i taki, że wszystkie są opowieściami zapośredniczonymi – ludzie,

o których w nich mowa, sami nie mówią, powtarza się za nimi to, co się chce powtórzyć. Eribon, Vance czy Louis, owszem, mówią sami za siebie, ale zauważmy, że odezwali się dopiero, kiedy mieszkali gdzie indziej, zdobyli wykształcenie i pozycję. Ci z dołu do wyartykułowania swojego losu i emocji wciąż potrzebują pośredników – badaczy, dziennikarzy, reporterów – którzy zstępują do nich, by tym na górze ofiarować dojmującą „prawdę”. Ale ta „prawda” to przecież rezultat wielu zabiegów pisarsko-wydawniczych – od selekcji zebranego materiału począwszy, a na wymogach obranego gatunku i poglądach polityczno-estetycznych autora skończywszy.

Wystarczy poświęcić chwilę i sprawdzić, kto opowiada o pandemii w naszych mediach i bańkach socjalowych, komu daje się do ręki megafon, a komu podsuwa dyktafon, kto jest bohaterem-na-dajnikiem „dzienników pandemicznych”, kto – i komu – spowiada się ze swoich izolacyjnych lęków, irytacji, czarnych prognoz, kłopotów z fryzurą.

No kto – i komu?

Nowa normalność, stary bezwzględny świat

CI, O KTÓRYCH PISZĘ TUTAJ JAKO o „ludziach z podziemia”, obywatelach „państwa podziemnego”, potrzebują z naszej strony mniejszych i większych zabiegów, uczuć, konkretnych gestów. Jednak są i takie, jakich raczej na pewno nie potrzebują. Nie potrzebują więc empatii rozumianej jako współczucie korespondencyjne, gniewny komentarz na Facebooku czy „pochylanie się”. Przypuszczam, że

nie potrzebują również praktycznych rad, jak powinni ukształtować swoje życie. Grożenie paluszkami i wytykanie, gdzie popełnili błąd, a kiedy mogli się bardziej postarać bądź dłużej posiedzieć nad podręcznikami, również jest na nic. Podobnie – coachingowe maksymy, neoliberalne, dopingujące bonmoty, murale korzystające z poetyki superbohaterskiej, oklaski na balkonach, emotikony.

Pandemia to również pytanie skierowane do nas, jaką to „ofiara” jesteśmy w stanie ponieść w imię międzyludzkiej solidarności, braterstwa i siostrzeństwa, polepszenia losu bliźnich-rodaków, zabezpieczenia się przed kolejną plagą, następną katastrofą. Czemu z taką ochotą bierzemy udział w zrzutkach i parafilantropijnych czelendzach, a na choćby sugestię o wyższych podatkach reagujemy „okradaniem” i „gułagami”? Dlaczego skwapliwie i z radością posyłamy strudzoną medykę Big Maca i margheritę, a potem oddamy swój głos albo na tych, którym marzy się prywatyzacja szpitali, albo na tych, którzy w imię doraźnych politycznych korzyści gnoją strajkujących lekarzy rezydentów? (I ci, i ci nie przejmują się ponadto od lat niedofinansowaniem opieki zdrowotnej i emigracją zarobkową wykwalifikowanego personelu szpitalnego.) Jak długo wytrzymamy bez obsesyjnego, dehumanizującego utyskiwania na pracownice na pocztach, kurierów, pielęgniarki, listonoszy, nauczycieli, „urzędasów” najniższego szczebla czy konsultantów z biur obsługi klienta? Kiedy zobaczymy w nich nie chłirców i leni, ale przepracowanych, wypalonych i kiepsko zarabiających ludzi umieszczonych

w dysfunkcyjnym, nie z ich winy, systemie nastawionym na optymalny zysk i najniższy koszt? Jak bowiem w tekście *Czego uczy nas koronawirus* na portalu „Nowego Obywatela” zauważał Jonathan Cook: „Kiedy prześladowe nas śmierć, nie zwracamy się do bankierów, dyrektorów korporacyjnych lub zarządzających funduszami hedgingowymi. A mimo to właśnie takich ludzi nasze społeczeństwa wynagradzają najlepiej. Jeśli pensje są główną miarą wartości, to siłą rzeczy właśnie oni są najbardziej cenieni. Ale to nie są ludzie, których potrzebujemy jako jednostki, jako społeczeństwa, narody. To raczej lekarze, pielęgniarki, pracownicy służby zdrowia, opiekunowie i pracownicy socjalni będą walczyć o ocalenie naszego życia, ryzykując własne” (tłum. M. Okrasa).

Pomagając im, pomagamy również sobie. Tej wersji nas z przyszłości, której się jednak nie powiodło. Bo nasza pozycja społeczna i zawodowa jest iluzją. Jeśli nie wywodzi się z ustosunkowanego, zamożnego rodu, nie wykonujesz fachu, który zawsze jest w cenie, czy też nie wypchałeś sobie zawczasu poduchy finansowo-ratunkowej, to przy pierwszym lepszym kryzysie finansowym czy tąpnięciu na rynku pracy raz-dwa dołączysz do tych, których się nie widzi i nie zauważa, a których się wzywa – kiedyś dzwonczkiem, dzisiaj smartfonem. Dlatego nowoczesne, proekologiczne, sprawiedliwe państwo zorientowane na zdrowie, edukację i bezpieczeństwo obywateli, a nie wielki biznes i zachłanne grupy wpływów przyda nam się wszystkim. Potrzebujemy tej nowej strategii, tego nowego państwa już, bo po pandemii – i każdej innej klęsce i bessie – podziemie będzie się rozrastać i wielu z nas tam wyląduje.

Czytanie i oglądanie nie załatwi tej sprawy. Książki, filmy i dokumenty o biedzie i wykluczeniu, uberyzacji pracy i braku pracy, o magazynierach z Amazona, pracownikach najemnych, wielkomiejskich prekariuszach i półniewolnikach z Ukrainy, o tych wszystkich w taki bądź inny sposób eksploatowanych, poniżanych i zaszachowanych przez turbokapitalizm powinny być dopiero wstępem do naszych realnych działań politycznych, społecznych i emocjonalnych, bodźcem do rozejrzenia się wokół siebie, wyjścia myślą i okiem poza ekran i papier. Samo zaliczenie, choćby i ze łąką w oku, reportażu o wyzyskiwanych ochroniarzach czy najnowszego kina zaangażowanego, to wciąż tylko rozrywka, konsumpcja produktu kulturalnego, pozorne uczestnictwo w czyjejś tragedii.

W zakończeniu *Historii słabych* Urszula Glensk napisała: „żeby coś zmienić – trzeba wiedzieć, żeby wiedzieć – trzeba zobaczyć”. Patrzmy więc, dowiedzmy się i – działajmy. — 

Lukasz Najder

Redaktor w Wydawnictwie Czarne, publikował m.in. w „Dwutygodniku”, „Polityce” i „Piśmie”. W marcu 2020 r. we wspólnej serii Wydawnictwa Czarne i „Dwutygodnika” ukazała się jego książka o afektach i złudzeniach w późnym kapitalizmie zatytułowana *Moja osoba. Eseje i przygody*

O Internecie, czyli o Polsce

PIOTR KOSIEWSKI

Wydanie książki Szymona Rogińskiego Internetu zbiegło się z 30-leciem przemian zapoczątkowanych w 1989 r. Być może to zbieg okoliczności, ale ta fotograficzna publikacja mówi wiele o Polsce.

Pokazuje też problemy z opowiadaniem o rzeczywistości, w której przyszło nam żyć

SZYMON ROGIŃSKI JEST DZIŚ JEDNYM Z NAJCIEKAWSZYCH POLSKICH fotografów. Ma bardzo różnorodne doświadczenia: zajmował się fotografią modową, pracował w Dziale Fotografii Muzeum Narodowego w Gdańsku oraz studiu fotograficznym „Gazety Wyborczej”. Jednak przede wszystkim jest uznawany – obok Mikołaja Groszperre’a, Zuzanny Krajewskiej, Rafała Milacha i Wojciecha Wilczyka – za jednego z najważniejszych przedstawicieli nurtu „nowych dokumentalistów”, zaprezentowanych przed laty na głośniejszej wystawie *Nowi dokumentaliści* przygotowanej przez Adama Mazura w Zamku Ujazdowskim. Tym jednym mianem określono wtedy bardzo odmiennych artystów, których jednak, jak podkreślał współpracujący przy powstaniu tej ekspozycji Marek Grygiel, łączy „nowe widzenie”, czyli „dostrzeganie i uwznioślenie tego wszystkiego, co będąc marginesem codziennego życia, staje się w ich interpretacji głównym punktem odniesienia naszej egzystencji”.

Termin „nowi dokumentaliści” nawiązywał do nurtu dokumentalnego polskiej tradycji powojennej fotografii. Do twórczości autorów skupionych w latach 50. i 60. ubiegłego stulecia wokół takich pism jak „Polska” czy „Świat”. Jednak Rogiński sięgnął też do znacznie starszej tradycji: do „fotografii ojczystej” Jana Bułhaka, czyli do idei opowiadania o Polsce za pomocą zdjęć, jej dokumentowania, ale też kreowania wyobrażenia o własnym kraju. Wreszcie do zapoczątkowanej przez Bułhaka w okresie międzywojennym, a kontynuowanej przez kolejne pokolenia tradycji publikowania książek fotograficznych starannie edytowanych i pokazujących polski krajobraz w jego bardzo różnych odsłonach.

W przypadku Rogińskiego istnieje jeszcze jedno źródło inspiracji: amerykańska fotografia, ale też szerzej: tamtejsza sztuka (nieprzypadkowo doszukiwano się m.in. podobieństw między pracami polskiego artysty a obrazami

Edwarda Hoppera). Rogiński wielokrotnie mówił o swej fascynacji Ameryką. Jednak, jak podkreślał w rozmowie z Marcinem Grabowieckim opublikowanej na łamach „Digital Camera Polska”, musiał się „zderzyć z faktem, że Ameryka miała i ma wielu genialnych fotografów, którzy już od ponad stu lat skutecznie i wspaniale uwieczniają ten kraj. Obrazy z filmów amerykańskich uzupełniają resztę”. I dodawał: „Wszystko, cokolwiek się tam sfotografuje, jest w pewnym sensie wtórne. Jadąc przez Stany, non stop miałem wrażenie napotykania rzeczy, które znam. (...) Po powrocie zrozumiałem, że wokół mnie jest świetny kraj, którego widoki są na świecie nieznane”.

Polska prowincjonalna

W 2003 R. ZACZĄŁ POWSTAWAĆ CYKL *Polska*. Rogiński fotografował nocą. Z jego zdjęć wyłania się, jak pisał Adam Mazur, kraj „mroczny, niepokojący, czasem groteskowy. Niektóre kadry przypominają klatki z filmów grozy, thrillerów, ale także nawiązują do halucynacyjnej estetyki gier komputerowych”. Równolegle zaczyna powstawać drugi cykl *Jasność*, do którego zdjęcia są robione o świetle, w porze przejścia między nocą a dniem.

Fotograf nieustannie szuka ujęć, które są pomiędzy. Które ujawniają to, co nie jest dostrzegane. To, co tajemnicze i groźne. W najgłośniejszej jak dotąd serii *UFO* z 2007 r.

Rogiński fotografował miejsca, które były łączone z pozaziemskimi przybyszami, miejsca odludne, naznaczone obecnością Obcych. Niby zwykle krajobrazy: drogi, pola, leśne ostępy. A jednak kadrowanie czy sposób oświetlenia sprawiają, że wydają się niepokojące, skrywające tajemnice.

Niesamowitość, wydobywanie tajemniczości z najbardziej banalnych widoków – wszystko to stało się niemalże znakiem rozpoznawczym fotografii Rogińskiego, niezależnie od tego, czy fotografował Warszawę, czy dalekowschodnią metropolię. Jednak wśród wszystkich jego zdjęć te zamieszczone w książce *Internet* wydają się najmniej tajemnicze, a nawet zwyczajne. „Mogą być podziwiane i lubiane przez każdą i każdego: hipstera z planu Zbawiciela w Warszawie, nauczycielkę spod Radomia i przedstawiciela śląskiej klasy robotniczej” – podkreśla Monika Kostera w tekście zamieszczonym obok fotografii.

Ponownie oglądamy Polskę nocą. Zdjęcia przedstawiają zaułki miast, zwykle targowiska, małe sklepiki umieszczone w odrapanych pawilonach, budach z blachy falistej czy starych kamienicach. Na tych fotografiach są zarówno XIX-wieczna zabudowa, typowe budynki z czasów PRL-u, jak i postmodernistyczna architektura doby polskiej transformacji. Wszystkie ujęcia łączy przedstawianie bezludnych, jakby wypranych z życia krajobrazów. Powracają też szyldy czy reklamy związane z Internetem, niektóre wyszukane, inne wręcz banalne: „Telefony komórkowe. Skup-sprzedaż. Sim-lock”, „COMP DATA”, „Komputery”, „Centrum komputerowe Alister”, „Serwis komputerowy DARTEK.PL”. Uderza zwyczajność, ale też nieatrakcyjność tych zdjęć.

Sfotografowane przez Rogińskiego miejsca wydają się anonimowe. Jakby zostały wykonane „gdzieś w Polsce”. Czasami tylko napis na szyldzie ujawnia nazwę miejscowości. Można sądzić, że z wszystkich zdjęć układa się portret Polski prowincjonalnej, małomiasteczkowej czy wiejskiej. Czy tak jest rzeczywiście? Ostatnia z fotografii przedstawia pawilon Cepelii w samym centrum Warszawy, przy skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich. Powstały według projektu Zygmunta Stępińskiego i uznawany za jedno z czołowych dzieł późnego modernizmu. W III RP pomalowano go na pomarańczowo, oszpecono przybudówkami, oblepiono reklamami, a na dachu zamieszczono elektroniczny wyświetlacz kursów walut oraz słynny licznik długu wymyślony przez Leszka Balcerowicza. Po wszystkich przekształceniach stał się najbardziej karykaturalnym symbolem przemian po 1989 r.

Zdjęcie pawilonu Cepelii zaburza przekonanie, że gdzieś daleko jest ta Polska praśnych reklam, odrapanych, a czasami kiczowatych budynków. Ona jest równie blisko jak ta zmodernizowana, estetyczna, pyszniąca się swą nowoczesnością. „Sprzedaż usług internetowych czy komputerów nie wymaga reprezentacyjnych miejsc – podkreśla Rogiński. – Większość sfotografowanych przeze mnie obiektów mieści się w kategorii tzw. architektury cienia: to budki, baraki, stare budynki”.

W *Internetach* udało się Rogińskiemu uniknąć fascynacji malowniczością nijakości czy brzydoty. Dostrzegania w ruderach ukrytego piękna – a to częsta pokusa, czego przykładem jest wstęp do tej publikacji autorstwa

wybitnego architekta Bolesława Stelmacha, zatytułowany właśnie *Piękno brzydoty*.

Spacer po Internecie

FOTOGRAF ZASTAWIŁ JEDNAK więcej pułapek. Jedną z nich jest projekt graficzny książki przygotowany przez Noviki Post Studio. Czytelnik ma mieć poczucie, jakby chodził po sieci: karty publikacji przypominają kolejne odsłony internetowych stron. Są też komentarze. Przy niektórych zdjęciach podano nawet propozycje tagów, którymi należy opatrzyć poszczególne fotografie (i to od ich odpowiedniego użycia, a nie samej fotografii zależy jej popularność). Zamieszczono nawet komunikaty pojawiające się w sieci: „To zdjęcie nie jest dostępne w Twoim kraju” czy: „Wszystkie niezapisane zdjęcia zostaną utracone”. Cyfrowy świat został w *Internetach* przepisany na analogowy. Tę zmianę zaakcentowano również samym sposobem wydania tomu: grubością użytego papieru czy twardą oprawą obłożoną płótnem.

Fizyczny, namacalny wymiar *Internetów* jest znaczący w świecie, w którym większość zdjęć pozostaje jedynie w wersji cyfrowych obrazów. To jeszcze dobitniej podkreśla złożone relacje między światem realnym a wirtualnym, wymóg nieustannego poruszania się w obu przestrzeniach. Owa hybrydowość naszego istnienia przyjmuje zresztą bardzo różne postaci, o czym pisze Edwin Bendyk w tekście towarzyszącym zdjęciom. Wskazuje on m.in. na wymiar społeczny i polityczny sieci: jej znaczenie dla samoorganizacji, budowania poparcia, mobilizacji, organizacji manifestacji. To właśnie sieć pozwalała np. 

współuczestniczyć tysiącom Ukraińców i Ukrainek w wydarzeniach na kijowskim Majdanie w 2014 r.

Czas pandemii jeszcze bardziej uwypuklił egalitarny wymiar sieci. W przymusowej izolacji to jej istnienie umożliwiło wielu osobom dalszą pracę, ale też stawało się, znacznie częściej niż dotychczas, narzędziem budowania relacji, także międzypokoleniowych. Izolacja pokazała również niesamowitą zdolność do przejmowania czy wykorzystywania rozmaitych narzędzi, jakie daje Internet, czego przykładem może być chociażby nagła popular-

ność w Polsce mobilnej aplikacji internetowej TikTok, do niedawna używanej przede wszystkim przez nastolatków. To istotny kontekst, jaki upływ czasu dodał książce Rogińskiego.

Doświadczenie wiosennych miesięcy 2020 r. jeszcze wyraźniej



□ Zdjęcie pawilonu Cepelii zaburza przekonanie, że gdzieś daleko jest ta Polska przasnanych reklam, odrapanych, a czasami kiczowatych budynków. Ona jest równie blisko jak ta zmodernizowana, estetyczna, pyszniąca się swą nowoczesnością
fot. dzięki uprzejmości artysty i galerii Piktogram

wydobyło też problematyczność tytułu publikacji. „*The Internets* [spolszczone na potrzeby publikacji jako *Internety* – przyp. P.K.] to popularne, żartobliwe określenie używane, by zasugerować, że dana osoba nie umie korzystać z Internetu, nie zna nowych technologii bądź ma do nich zaściankowe podejście”. Ta definicja – zaczerpnięta z angielskiej wersji Wikipedii – znalazła się na okładce książki Rogińskiego, w znacznej mierze determinując odbiór publikacji, budując dystans między odbiorcą a światem w niej przedstawionym.



Czy jednak w użyciu tego słowa nie kryje się ironiczny podtekst? Przecież sfotografowane miejsca przyczyniły się do upowszechnienia Internetu, oswojenia się z nim. Na jednym ze zdjęć siedziba naprawy komputerów Sellkom sąsiaduje z delikatesami rybnymi „Gadus. Fishing & Processing” i reklamą TAXI ECHO, na innym punkt komputerowy PC Power ulokował się tuż obok kebab baru Abdallah. Fotografie Rogińskiego uderzają w mainstreamowe wyobrażenia o tym, jakie podejście do Internetu jest pożądane. Wymuszają, jak zauważył sam autor, dostrzeżenie rozbieżności między wirtualnymi obrazami a rzeczywistością. — 



Szymon Rogiński
Internety

Narodowy Instytut Architektury
i Urbanistyki, Warszawa 2019, s. 64

Piotr Kosiewski

Krytyk i historyk sztuki. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego” i magazynu „Szum”

Świat z pralinką

ILONA KLIMEK

*Karol i Wiktor konfrontują się
z rzeczywistością, szukają języka, którym
można ją opowiedzieć, a wszelkie trudne
doświadczenia zabarwiają wyobraźnią.
Robią to jednak nie po to, by zapomnieć
o świecie, ale by uczynić go bardziej znośnym*

NA *BRACI KRWI* SKŁADA SIĘ 20 przepełnionych znaczeniami i możliwościami interpretacyjnymi miniatur prozy poetyckiej ilustrowanych przez Alicję Białą. Autorem tekstów jest Peter Milčák – słowacki poeta, tłumacz i założyciel wydawnictwa Modrý Peter drukującego głównie poezję. Książka powstawała bardzo długo – Milčák pisał teksty powoli i stopniowo przez 24 lata, w różnych miejscach i momentach życia. Decyzja o polskim wydaniu zapadła ponad cztery lata temu na Międzynarodowym Festiwalu Poezji „Wiersze na asfalcie” w Mińsku, gdzie poeta spotkał się z Bohdanem Zadurą, który zaproponował pracę translatorską nad tekstem.

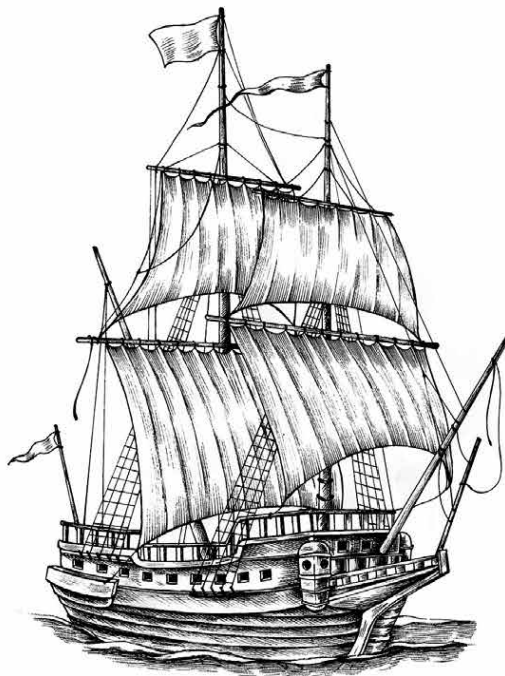
Rynek polskiej książki wciąż nie jest jeszcze przyzwyczajony do ilustrowania literatury dla dorosłych. Stąd pierwsze zetknięcie z tomem Milčáka podsuwa skojarzenie: książka dla dzieci. Jednak bliższa lektura wyraźnie pokazuje, że *Bracia krwi* to przede wszystkim

lektura dla dorosłych. Lektura do smakowania, oglądania, odnajdywania znaczeń i sensów po to, by je zgubić i za chwilę zacząć poszukiwania na nowo.

Niewykluczone oczywiście jest odbycie tej podróży z młodszym czytelnikiem lub czytelniczką. Być może zresztą to im łatwiej będzie się odnaleźć w świecie wyobraźni zaprojektowanym przez autora. A świat ten jest z pozoru bardzo prosty: zamieszkują go bracia Karol i Wiktor, o których nie wiemy za wiele poza tym, że łączy ich wyjątkowa relacja polegająca na wzajemnym wsparciu i udzielaniu sobie pomocy w sytuacjach niebezpieczeństwa. Kolejne miniatury nie tworzą ciągłej opowieści, lecz ukazują jedynie wycinki z życia bohaterów, ułożone niekoniecznie w chronologicznym porządku. Złudzenie prostoty stwarza także językowy sposób konstruowania historii. Słowacki poeta buduje krótkie, często pojedyncze zdania, które sprawiają, że powierzchowna warstwa tekstu wydaje się oddawać wręcz prozaiczne sytuacje.

Ta prostota jest dla *Braci krwi* niezwykle istotna. To ona stanowi klucz, który pozwala wnikać pod powierzchnię czy – jak pisze o tym Milčák – znaleźć przejście między dwoma stronami tak, jak to próbują zrobić Karol i Wiktor, posługując się umówionymi znakami. Postawę wobec świata, którą przyjmują bracia, dobrze oddaje motto tomu mówiące o tym, że podczas spotkania z niedźwiedziem nie należy uciekać, krzyczeć czy wspinać się na drzewo, tylko pozostać na swoim miejscu, zachować spokój i przemawiać do zwierzaka niskim głosem. Tak właśnie doświadczają rzeczywistości Karol i Wiktor – konfrontują się z nią, szukają języka, którym można ją opowiedzieć, a wszelkie trudne doświadczenia zabarwiają wyobraźnią. Robią to jednak nie po to, by zapomnieć o rzeczywistości, ale by uczynić ją bardziej znośną. Skaza w obrazie świata widoczna jest już w pierwszej miniaturze opowiadającej o tym, że Wiktor wszędzie nosi ze sobą czarny balonik, w którym zamknięta jest dusza jego stryja Floriana. Niby mamy tu do czynienia





il. dzięki uprzejmości Wydawnictwa Wolno



z balonikiem – symbolem dziecięcej beztroski, lecz czerń wprowadza pewien niepokój, dobrze spuentowany w ostatnim zdaniu: „Wiktor ma czarny balonik, ale z dwiema duszami nie ma łatwego życia”. Dziecięce zetknięcie ze śmiercią, noszenie w sobie śladów naszych bliskich zmarłych wprowadzają w klimat kolejnych miniatur, gdzie powrócą jeszcze m.in. marynarz czekający na śmierć, człowiek bez głowy czy chłopiec, który pragnie zostać „uszlą muchą za okienną szybą”.

W świecie Karola i Wiktora nie dominują jednak śmierć i smutek, lecz wyobraźnia, ciekawość i uważność. Karol więc odwiedza dom cudów oraz przykłada ucho do ziemi, by nasłuchiwać nadejścia wiosny, a Wiktor przemienia się w Włóczykija, gdy zakłada zielony kapelusz, i wierzy, że niedźwiedź z rękojeści noża może ożyć, gdy znajdzie się dla niego odpowiednie miejsce. Chłopcy nie robią nadzwyczajnych rzeczy, tylko odkrywają codzienność, w którą przecież wplecione są najważniejsze doświadczenia: miłość, śmierć, nadzieja, szukanie sensu i ładu w świecie oraz w sobie. Ta opowieść pokazuje, że nie trzeba wieść wyjątkowego, niesamowitego życia, by intensywnie doświadczać rzeczywistości. Istotna jest przede wszystkim perspektywa, z jakiej na nią patrzymy. Dobrze mówi o tym

historia, w której czekolada zostaje zestawiona z pralinką. Tę pierwszą możemy dzielić na coraz mniejsze kostki, a w efekcie nie odczuć głębi jej smaku. Inaczej natomiast jest z pralinką – obcowanie z nią symbolizuje czerpanie esencji z rzeczywistości, głębokie i rozumiejące doświadczanie świata. „Ponieważ jest świat bez pralinki. I jest świat z pralinką” – puentuje autor. Karol i Wiktor zdecydowanie stoją po stronie tego drugiego.

Teksty kolejnych miniatur przeplatają ołówkowe rysunki Alicji Białej, która współpracowała już z Wydawnictwem Wolno przy poetyckim projekcie *Polska* Marcina Świetlickiego. Tym razem jednak zdecydowała się na inną estetykę niż kolażowa. Rysunki są subtelne i szczegółowe, ich szarość zostaje przełamana jedynie przez powracający co kilka stron czerwony balonik. Być może to symbol braterskich więzi – duszy Wiktora w Karolu, i odwrotnie. Szarość wydaje się bardzo dobrze dopełniać znaczenie tomu. To, jakie barwy nada się kolejnym ilustracjom, zależy od samego czytelnika i czytelniczki.

Tak właśnie zbudowani są *Bracia krwi*. To po naszej stronie leży decyzja o tym, jak będziemy wraz z bohaterami doświadczać świata i jakie barwy mu nadawać. Głębokie zanurzenie Karola i Wiktora w rzeczywistość sprawia, że muszą skonfrontować się też z jednym z chyba najtrudniejszych doświadczeń, czyli perspektywą katastrofy i końca świata. Chłopcom jednak udaje się w tej wizji odnaleźć odrobinę nadziei. Będę wracać do *Braci krwi* także dlatego, żeby obudzić ją również w sobie. — **z**



Peter Milčák

Bracia krwi

tłum.: Bohdan Zadura, il.: Alicja Biała,
Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2020, s. 40

Ilona Klimek

Redaktorka miesięcznika „Znak”, recenzentka

Życie Warszawy

MARCIN WILK

Redaktorka i autor zasługują na uznanie. Opowiadając dzieje Warszawy, nie zatrzymują się przy gablocie w salonie, by podziwiać zgromadzone tam pamiątki. Idą na zaplecze, sprawdzają plany budowy, dopytują o historię mieszkańców. Ożywiają, jak to się ładnie mówi, dzieje

N NA POCZTÓWKACH Z TAMTYCH CZASÓW ELEGANCKO ubrane damy przechadzają się po czystych ulicach, wypoczęci panowie w melonikach kłaniają się nisko, a gromadka szczęśliwych dzieci oczekuje na świetlaną przyszłość. Tymczasem codzienność przedwojennej Warszawy symbolizowały raczej mieszkania bez dostępu do bieżącej wody, oddzielne ubikacje, panie przymierzające ubrania w sklepach, ale niemogące sobie pozwolić na ich kupno. Masy żyły w ubóstwie i brudzie. W dwóch niewielkich objętościowo zeszytach z serii „Z Archiwum Historii Mówionej – Warszawa Zapamiętana” jest trochę pocztówek, ale dostajemy także obrazy mniej atrakcyjne, np. namalowane przez osoby pochodzenia robotniczego.

Autorce opracowania Magdzie Szymańskiej udało się stworzyć przestrzeń do szerszej opowieści niż tylko ta zanurzona w polityce czy działalności oficjalnych instytucji. Przedwojennych oficerów poznajemy nie tyle jako mężczyzn, z których dumna jest ojczyzna i rodzina, ile jako ojców, którzy dostarczają zmartwień córkom, każąc im co rusz zmieniać miejsce pobytu. Kobiety zresztą nie zawsze, mimo postępującej emancypacji, miały równe prawa. I to też odzwierciedlają te wspomnienia. Jedna z bohaterek do dziś zastanawia się, dlaczego nie przyjęto jej na medycynę. ➤



Motywowana rozmaitymi
uprzedzeniami pamięć
ma, niestety, skłonność do
zapominania, że społeczność
żydowska, różnorodna zresztą,
stanowiła w przedwojennej
Warszawie potężną
„mniejszość” liczącą blisko
400 tys. z prawie 1,3 mln
mieszkańców w ogóle

Wypada zaznaczyć, że otrzymujemy wśród wspomnień głosy przedstawicieli społeczności żydowskiej, co w tego typu popularyzatorskich publikacjach wcale nie jest standardem. Motywowana rozmaitymi uprzedzeniami pamięć ma, niestety, skłonność do zapominania, że społeczność żydowska, różnorodna zresztą, stanowiła w przedwojennej Warszawie potężną „mniejszość” liczącą blisko 400 tys. z prawie 1,3 mln mieszkańców w ogóle. Słysząc w zamieszczonych w zbiorze o dwudziestoleciu międzywojennym głosach, jak antysemityzm narasta w latach 30., na chwilę przed apokalipsą. Przemoc na ulicach, na uczelni, w życiu kulturalnym i społecznym, u wielu osób – zwłaszcza Żydów – należała do repertuaru codzienności. Po 1939 r. było zresztą jeszcze gorzej.

W wielkiej masie warszawskiej były też gospodie, bony, nianie, służące i ordynansi, choć – niestety – pojawiają się oni wszyscy najczęściej jako osoby towa-

rzyszające, nie zaś jako podmiot, a przecież ich punkt widzenia z pewnością mógłby wzbogacić wiedzę o przeszłości. Inna sprawa, że dotarcie do takich świadków zawsze jest trudne, nie garną się oni do mikrofonu, nie znajdują pewnie specjalnej przyjemności w opowiadaniu o przykrych doświadczeniach, a przecież te na ogół kształtują ich losy.

W drugiej części wspomnień poświęconej okupowanej Warszawie słychać płacz i jęki, nawet jeśli ludzie starają się żyć względnie normalnie. Codziennosc sprawia, że zamiast rzadkich frykasów coraz częściej na stole (o ile w ogóle) pojawiają się herbata z marchwi i czarny chleb.

Cytowane w tych dwóch niewielkich objętościowo zeszytach opowieści to efekt niełatwych redaktorskich decyzji. Wyobrażam sobie główkowanie, które wypowiedzi wybrać z 6 tys. przygotowywanych w ramach działalności Archiwum Historii Mówionej, projektu relacji biograficznych. Nagrywano je w nurcie *oral history*. To dobra metoda, bo odsłania często kulisy oficjalnej historii, pozwala uruchomić perspektywę słabo reprezentowaną.

Docenić w tym miejscu muszę obecność zwierząt w opowieściach świadków. Najczęściej są to psy, pojawiają się też konie, przelatuje kanarek. Ich los nie jest wesoły, niestety, chociaż prawdopodobnie Żółka, mały ratlerek, mógł mieć więcej szczęścia, skoro oko na niego miała hrabianka. Właściciel warszawskiej stajni pan Leon oficjalnie oświadczał, że „u mnie furman, który bije konia, nie może pracować”. Nic nie wiadomo za to o tym, jak dokonał żywota kocur, który został znaleziony przed bramą getta. Można się tylko domyślać, jaki głód i ziąb panował, skoro mięso „przydało się” na obiad (a właściwie – co podkreśla autorka wspomnienia – „na trzy obiady”), a z futra zrobiono skarpetki.

Wojna zdevastowała Warszawę. W samej stolicy liczba nieruchomości zabudowanych od listopada 1939 r. do maja 1945 r. znacząco się skurczyła. „Oceniano, że budynków zniszczonych »całkowicie«, nienadających

się do odbudowy było 44 procent, zniszczonych, ale możliwych do odbudowania – 15,2 procent, a mało uszkodzonych i nieuszkodzonych – 40,4 procent” – pisze Grzegorz Piątek w *Najlepszym mieście świata*. Jego opowieść to rekonstrukcja procesu odbudowy miasta po wojnie – procesu trudnego, złożonego i opartego zarówno na wielkich nadziejach, jak i na niemałych konfliktach. Osią książki jest działalność Biura Odbudowy Stolicy. Piątek – z wykształcenia architekt – rozбивa temat na wiele ciekawych wątków. Opowiada np. o domkach fińskich: prowizoryczne, mające służyć maksymalnie 10 lat drewniane zabudowania cieszyły się ogromnym popytem. Już w maju 1945 r. aż 250 postawiono na Polu Mokotowskim, a kolejnych 160 przy Szwoleżerów, niedaleko Łazienek. Zastrzeżeń do nich można było mieć wiele, ale mimo to zamieszkać w nich chcieli m.in. architekci Jerzy Gieysztor i Zygmunt Skibniewski. Architekci zresztą to ważni bohaterowie tej książki, która w dużej mierze podąża za ich planami, marzeniami, a czasem i rozczarowaniami. To im, architektom – obok Warszawy – autor składa tę książkę hołd.

Najciekawsza w *Najlepszym mieście świata* jest brawurowa perspektywa. Trudno ją włożyć w gatunkowe ramy. Trochę za dużo Piątek przewertował archiwów, by powiedzieć, że to klasyczny reportaż. Dystans, z jakim traktuje naukowe pęta, nie pozwala nazwać książki monografią naukową. Układa się ów esej jednak w epopeję pokazującą miasto w przełomowym momencie. Znajdzie się tu nawet trochę pouczających sentencji, włącznie z ostatnim akapitem, w którym mowa o tym, że choć czasem nie wszystko udaje się tak, jak zaplanowaliśmy, nie powinniśmy się zniechęcać.

Czytałem te trzy warszawskie opowieści z satysfakcją. Tworzą one interesujące, a przez to potrzebne i ważne, uzupełnienie historii lat 1918–1944, która w powszechnej opinii – niestety – zbyt często sprowadza się ledwie do kilku upadków i niewielu wzlotów, mocno na dodatek spłaszczanych przez bieżące potrzeby polityczne. — 



Warszawa zapamiętana. Dwudziestolecie międzywojenne
oprac. Magda Szymańska

Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2018, s. 182



Warszawa zapamiętana. W okupowanej stolicy
oprac. Magda Szymańska

Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2019, s. 232



Grzegorz Piątek

Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949

Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2020, s. 544

Marcin Wilk

Dziennikarz, autor literackiego bloga „Wyliczanka”, kurator związanych z literaturą wydarzeń. Autor dwóch biografii: *Tyle słońca. Anna Jantar*. *Biografia* (2015) oraz *Kwiatkowska. Żarty się skończyły* (2019). Ostatnio wydał reportaż historyczny *Pokój z widokiem. Lato 1939* (2019)

Źle napisany świat. Komuniści, władza i literatura

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Ponad 100 lat po rewolucji październikowej Rosja sowiecka wciąż budzi gorące zainteresowanie intelektualistów. Wpływa na to m.in. głębokie zakorzenienie niemałej ich części w lewicowej tradycji, w której nie tylko idzie o to, by interpretować świat, lecz przede wszystkim o to, by go zmieniać

WIELKIM WYZWANIEM JEST sama Rosja, w dziejach której totalitarny reżim nie był co prawda długim, ale z całą pewnością głęboko przestawiającym tamtejszą rzeczywistość zjawiskiem. Jedni wciąż rozliczają się z przeszłością własną i swoich bliskich – dobrym tego przykładem jest wydana niedawno książka *My, dzieci komunistów*. Drudzy patrzą na Rosję sowiecką przez pryzmat naszej narodowej martyrologii bądź – ogólniej – jej długiego, cywilizacyjnego konfliktu z szeroko rozumianym zachodnim konserwatyzmem.

Warto dodać, że jeszcze przed II wojną światową polska szkoła sowietologiczna, dobrze opisana choćby przez prof. Marka Kornata, stała u początków zachod-

nich badań nad nową rzeczywistością, zrodzoną z rosyjskiego żywiołu i niemieckiej filozofii. Została jednak na długo zapomniana – gdy miejsce II Rzeczypospolitej zastąpiła zależna od Moskwy Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Nie bez znaczenia jest również kwestia globalnych wpływów radzieckiego państwa, nie tylko w sferze politycznej i militarnej, ale też kulturowej i światopoglądowej. W białych krematoriach czerwonego totalitaryzmu skutecznie wyniszczano ludzi – jednak nie tylko intelektualny Zachód przez kilka dekad widział w nowym ustroju i państwie przede wszystkim nadzieję na zrealizowanie humanistycznych marzeń, wyzwolonych z logiki kapitału, mieszczańskiej obyczajowości i chyba przede wszystkim chrześcijańskiej religii. Do zmiany sytuacji w znacznej mierze przyczynił się narastający opór wśród nielicznych, ale wybitnych lewicowych intelektualistów, takich jak Albert Camus, George Orwell, a z młodszych Tony Judt, którzy usłyszeli również głos środkowych Europejczyków – dysydentów, outsiderów i życiowych rozbitków, choćby Polaków z kręgu paryskiej „Kultury”, a później ludzi demokratycznej opozycji zza żelaznej kurtyny.

✱

TRZYTOMOWY *DOM WŁADZY. OPOWIEŚĆ O ROSYJSKIEJ REWOLUCJI* PIÓRA JURIIA Slezkine’a, urodzonego w 1956 r. w Związku Radzieckim amerykańskiego historyka i pisarza, trudno nazwać objawieniem dla polskiego czytelnika.

Wszak to *Główne nurty marksizmu* Leszka Kołakowskiego, *Marksizm i skok do królestwa wolności*. *Dzieje komunistycznej utopii* Andrzeja Walickiego czy *Od białego caratu do czerwonego* Jana Kucharzewskiego stanowią jedno z najistotniejszych w zachodniej kulturze analiz marksizmu / komunizmu / sowietyzmu. Niemniej ta książka jest nową lekturą obowiązkową dla tych, którzy interesują się podobnymi zagadnieniami. I to opisywanymi w szerokiej interdyscyplinarnej perspektywie, która pozwala zobaczyć narodziny i szybkie zepsucie nowego systemu jako przebogaty we wzajemne oddziaływania fenomen metapolityczny, społeczny, narodowościowy, historyczny, kulturowy, urbanistyczny, edukacyjny, rodzinny i obyczajowy.

Istotna uwaga: ta książka ma pewien mankament. Ambicje autora, by na gruncie historii idei przedstawić ideologię komunistyczną i jej rosyjskie wcielenie przez analogię do chrześcijaństwa w jego rozlicznych rozgałęzieniach, niekiedy zdają się dość płytkie czy wręcz przyczynkarskie. Nie są to oczywiście nowe i zupełnie bezpodstawne próby – oświeceniową, w tym marksistowską, historiozofię i millenaryzm jako głębokie transformacje chrześcijańskiej eschatologii i soteriologii analizowano w XX w. dość często. Próbowano też pokazać je jako myślowo-dziejową konsekwencję Objawienia.

Dobrym przykładem pierwszego trendu jest *Historia powszechna i dzieje zbawienia* Karla Löwitha, znakomitym przykładem drugiego: *Chrześcijaństwo i pojęcie postępu* Emmanuela Mouniera. Słzki nie chyba jednak zbyt często zadowala się prostymi kliszami, hipotezy badawcze i analogie z dziedziny filozofii religii i historii idei przedstawiając jako pewniki, w prosty sposób przekładające struktury ideowe i instytucjonalne chrześcijaństwa na ich rzekome odpowiedniki dotyczące „rosyjskiego komunizmu w budowie”. Nieco złośliwie można powiedzieć, że to, co ma cenne zastosowanie w rozliczeniowych powieściach z kluczem w rodzaju *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego, jawi się jako nieco zbyt wątpliwa konstrukcja intelektualna w obszernej interdyscyplinarnej pracy popularnonaukowej.

A jednak tę książkę trzeba przeczytać. Słzki nie pokazuje dom na Bagnisku, radziecki dom władzy nad rzeką Moskwą, wybudowany na przełomie lat 20. i 30. XX w. w staro-nowej stolicy imperium, jako budynek najbardziej przyziemny i zarazem jako alegorię nowego ustroju. Pełne tragizmu napięcie tkwi w samym złożeniu: „dom” i „władza”. Jego pierwszy człon okazuje się ludzki i arcyludzki, pełen podłostek, ale też bezprzykładnego heroizmu. Drugi traktuje ludzi jako surowiec pod budowę nowego świata, którego millenarystyczne wspaniałości coraz bardziej odsuwają się w czasie lub są – za straszliwą nieraz cenę – dostępne nielicznym. Dom władzy w wię-

szości mieścił tych, którzy ze studentów, katorżników, robotników, Rosjan, Żydów, Polaków stali się przede wszystkim ludźmi sowieckiej władzy, elitą nowego państwa. I równocześnie w swym życiu i w śmierci należeli do Stalina, który wedle swej woli meblował ich świat. Albo go wraz z nimi unicestwiał.

*

TO, CO LUDZKIE, WIĄŻE SIĘ Z INTYMNością człowieczeństwa i gwałtami na nim, wrażliwością i nieczułością, marzeniami i podłościami dziadków i babek, ojców i matek, synów i córek. Dziadkowie i babki weszli w czas po rewolucji jako starsi już ludzie, często głęboko zanurzeni w swoim dawnym, przednowoczesnym, wiejsko-religijnym życiu, ojcowie i matki – jako ludzie, którym w czasie nagłych triumfów i karier rodzi się potomstwo i rozpadają pierwsze małżeństwa, synowie i córki – jako dzieci Października, którym miało być dane zobaczyć zrealizowany komunizm. Czy może ściślej: nowy, wspaniały ustrój, którego przedsmak – jak twierdzi Słzki – dawał im nie Karol Marks, lecz karty rosyjskich i zachodnich powieści. Lecz zamiast tego zobaczyli śmierć rodziców, prawdziwą biedę sowieckiej egzystencji, najazd Hitlera na Związek Radziecki i coraz bardziej niewydolny system, w którym nierzadko już po



Rzecz nieco
przerysowując,
można czytać
Dom władzy
jako opowieść
o radzieckim
komunizmie
traktowanym
niczym nieudany
projekt literacki

stalinizmie na nowo układali sobie życie, próbowali rozliczyć się z nieodległą przecież, ale otchłanną przeszłością. I często tracili wszelką wiarę w humanizm i komunistyczne idee – ratując się cynizmem, który pozwalał im trwać na powierzchni sowieckiego życia czy nawet ponownie opływać w dostatek.

Ten drugi człon złożenia jest nie tylko bezwzględnością rewolucji, nie tylko późniejszą inżynierią społeczną, którą rządziła instytucjonalna i ideologiczna przemoc, ale też przytłaczającą atmosferą nagonek w najsekretniejszych kręgach władzy. Przerazającą częścią książki Slezkine’a są opisy szczucia, werbalnego linczu i samokrytyk. Te ostatnie składała na plenum Komitetu Centralnego w grudniu 1936 r. choćby Nikołaj Bucharin, bolszewicki ideolog, zwolennik masowego terroru, który sam padł jego ofiarą – zabity w marcu 1938 r. w jednej z licznych wówczas egzekucji „starych towarzyszy”. Niedysiejsi idealisci w ciągu nieledwie dwóch dekad od wygranej rewolucji zamienili się w ludzi władzy, która czyniła z nich równocześnie katów i ofiary.

Władza była dla nich równoznaczna z zalegalizowanym terrorem, służącym potężnej transformacji społecznej, gospodarczej i ustrojowej. Umożliwiała też życie w niebywałym jak na zdewastowane wojną i rewolucją państwo komfortu. A równocześnie czyniła bezbronnymi wobec dusznej atmosfery sekty, jaką jawi się najściślejsza sowiecka elita, umiejętnie rozgrywana przez Stalina aż do jego śmierci w 1953 r. *Dom władzy* był również domem niewoli. Ta dwuznaczność sięga poza historię jednego budynku – dobrze uświadamia logikę całego systemu, który z jednej strony opierał się na koniecznej przecież modernizacji, sprzyjającej wyjściu z głębokiego cywilizacyjnego zapóźnienia rosyjskiego ludu, z drugiej – nadawał jej głęboko nieludzkie formy.

Rzecz nieco przerysowując, można czytać *Dom władzy* jako opowieść o radzieckim komunizmie traktowanym niczym nieudany projekt literacki. Albo jako o czymś hybrydowym, co o wiele bardziej „prawdziwe” było choćby w literackich szkicach niżli w rzeczywistości. Wszak słowa: dom nad rzeką Moskwą, można zapisać również w cudzysłowie. I wtedy będzie to tytuł jednej z najgłośniejszych rozliczeniowych sowieckich noweli, pióra Jurija Walentinowicza Trifonowa z 1976 r. Trifonow zamieszkał w domu władzy jako dziecko rewolucjonisty i rewolucjonistki. Walentin Andriejewicz Trifonow, wojskowy, zginął w 1938 r. jako ofiara wielkiego terroru. Jewgienija Abramowna Lurie, w połowie Rosjanka i w połowie Żydówka, przetrwała łagry, pisała powieści dla dzieci.

Rosyjscy rewolucjoniści byli przede wszystkim inteligentami / intelektualistami. Awans robotników do elity był rzadki i często wiązał się z wyobcowaniem, które widać było także w moskiewskim domu władzy. Inteligenci wciąż czytali – tego nauczył ich nie tylko mieszczański i inteligentki, na ogół przedrewolucyjny dom, ale także lata odosobnienia w carskiej niewoli. Największą popularnością cieszyły się „te same książki co na zsyłkach i w więzieniach”, poza rosyjską tradycją radykalną, reprezentowaną choćby przez Nikołaja Czernyszewskiego. Radzieckie państwo szybko zrozumiało, że wolnościowe pytania, które niegdyś stawiała sobie XIX-wieczna rosyjska lewicowa inteligencja, uderzałyby w nowy porządek. Ale poza tym bolszewicy chętnie czytali to, co poznali jeszcze w drodze ku rewolucji. To naprawdę frapująca i dająca do myślenia lista lektur.

Z pisarzy współczesnych mieszkańcy domu władzy chętnie czytali Romaina Rollanda. Mniejszym zainteresowaniem cieszyła się literatura radziecka: „Czytało [ją] raczej niewielu, jeśli nie liczyć osób bezpośrednio zaangażowanych w jej produkcję i rozwój”. Wyjątkami były *Jak hartowała się stal* Nikołaja Ostrowskiego i *Piotr Pierwszy* Aleksego Tolstoja, „powieść produkcyjna w formie realistycznego eposu historycznego”. Wszyscy dobrze znamy groźę tego obrazu – palonych przez nazistów książek. Ale w Rosji sowieckiej humanistycznym, inteligentnym marzeniom zadano cios nie mniej bolesny – życie, straszliwe nieraz życie poszło zupełnie inną drogą niż szybko postarzałe nadzieje twórców radzieckiego ustroju.

W 1935 r. dom władzy zamieszkiwało ponad 2600 osób. W tym ok. 700 wysokich urzędników państwowych i partyjnych – z rodzinami i samotnie. W czasie czystek w latach 30. i 40. z pewnością zabito spośród nich ponad 340 osób. 800 osób wygnano z tego zaczątku sowieckiego raju – i na różne sposoby szykanowano. Po II wojnie światowej dom nad rzeką Moskwą nigdy już nie wrócił do swej dawnej formy.

*

OPOWIADAJĄC TAK ZAGMATWANĄ HISTORIĘ, SLEZKINE DOKONAŁ BARDZO trudnej sztuki, odtworzył „źle napisany świat”. Połączył w czytelną całość prozę codziennych luksusowych sprawunków, XIX-wiecznych szpargałów na biurkach, damsko-męskich, na ogół mocno jednak patriarchalnych relacji, trud wychowywania i łatwość odtrącania własnych dzieci, sztukę pisania donosów, wziętych z książek tęsknot rosyjskiej inteligencji i instytucjonalnego horroru, który ci ludzie stworzyli, próbując budować świetlaną komunistyczną przyszłość. — 



Yuri Slezkine
Dom władzy. Opowieść o rosyjskiej rewolucji

tłum. Klaudyna Michałowicz i in.,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2019, s. 1100

Krzysztof Wołodźko

Dziennikarz i publicysta portalu Instytutu Spraw Obywatelskich, felietonista Polskiego Radia 24, TVP.INFO, „Gazety Polskiej”; pisze do tygodnika opinii TYGODNIK.TVP

Sokrates III RP

ANDRZEJ BRZEZIECKI

Romanowski każe świadomym obywatelom III RP spojrzeć w głąb siebie i odpowiedzieć – czy i oni nie przyłożyli ręki do psucia państwa, czasem choćby przez zaniechanie, niekiedy przez przyzwolenie, innym razem „dla świętego spokoju”

NAJNOWSZA PRACA ANDRZEJA Romanowskiego, będąca zbiorem jego publicystyki z ostatnich dwóch dekad, jest lekturą trudną – nie jest to wina autora, który świetnie operuje piórem i czyta się go doskonale, lecz tematyki, jaką podejmował i podejmuje w swych tekstach. Albowiem z takim nagromadzeniem absurdu i politycznej niegodziwości, o których pisze Romanowski trudno sobie poradzić. A pisze m.in. o praktyce lustracji i innych działaniach IPN, relacjach państwo–Kościół, maniakałnym stawianiu pomników Janowi Pawłowi II, promowaniu kultu żołnierzy wyklętych, zakłamywaniu różnych epizodów polskiej historii, pogardzie dla architektów Okrągłego Stołu, prawnym nihilizmie, braku miłosierdzia polskich katolików.

Nie są to sprawy niezbrane, często trafiały na czołówki gazet, ale podawane codziennie w mniejszych dawkach, mogły być jakoś przyswajalne. W ten sposób zdążyliśmy się przyzwyczaić do tego, że słowo nie oznacza tego, co znaczyć

powinno. Prawda, historia, niezłomność, katolicyzm – wszystkie one ztraciły swoje znaczenie, a my, już otępieni i znieczuleni kolejnymi absurdami, nie zwracaliśmy na to uwagi. Książka Romanowskiego wybudza nas z tego otępienia. To potrawa świetna, jednak ciężkostrawna.

Ostrze polemicznej szabli autora skierowane jest przeciwko obozowi IV RP czy, jak się teraz mówi, „dobrej zmiany”. To oczywiste, ale ponieważ zwolennicy „dobrej zmiany” zbyt często dogmatycznie trzymają się swojej narracji o Polsce, wątpliwe więc, by sięgnęli po książkę Romanowskiego i przejęli się jego argumentami. Praca jest niewygodna także dla przeciwników populistycznej prawicy. Pierwszy odruch jest, co prawda, banalny – ucieszy się taki zwolennik sił III RP, że Romanowski przywalił „dobrej zmianie”, następująca później refleksja jest już mniej radosna – bo gdy wczytać się uważniej w artykuły, widać, że ta druga, „nasza”, strona brała czynny udział w budowie takiej Polski, jaką mamy dzisiaj.

Wszystko zaczęło się od ustawy lustracyjnej i utworzenia IPN-u – w obu przypadkach zaangażowała się w to Unia Wolności, partia polskiej niepodległości i reprezentant inteligencji. Ludzie tacy jak Jan Lityński czy Bogdan Borusewicz parli do lustracji bez opamiętania. Prawnik Andrzej Rzepliński, tak hołubiony przez liberalne media w ostatnich latach, brał udział w pisaniu ustawy lustracyjnej godzącej, wedle Romanowskiego, w prawa człowieka (na marginesie dodajmy, że Romanowski nie neguje słusznej potrzeby badania esbeckich dokumentów jako źródeł historycznych, chodzi mu o polityczny użytek, jaki się z nich robi).

Inni, jak prezydent Bronisław Komorowski, ustanawiali święto żołnierzy wyklętych. To liberalni i lewicowi politycy zapewne dla świętego spokoju albo z przekonania, że tak wypada, nie potrafili sprzeciwić się Kościołowi, gdy było trzeba. Tak wyglądała sprawa choćby z nauczaniem religii w szkołach czy – w skali mikro – pomnikiem Jana Pawła II na Wawelu. Wszystko, na co stać było urzędników miejskich, to odwlekanie decyzji w sprawie budowy pomnika... aż pomnik postawiono z ominięciem prawa.

Przykłady można mnożyć, ale ich sens jest jeden – karpie ochoczo pomagały w szykowaniu wigilii.

Romanowski dobrze pokazuje proces, gdy od zmiany języka, zatarcia znaczenia pewnych słów dochodzi się do konkretnych rozwiązań ustawowych, które organizują nasze życie. Dlatego Lech Kaczyński nie zginął, ale „poległ”, dlatego w Polsce aż roi się od „oprawców komunistycznych”, dlatego patriotami mogą być tylko „niezlomni”, którzy nie podporządkowali się rozkazom legalnych władz, dlatego biskup Rzymu jest zawsze „Ojcem Świętym”. Archiwa Służby Bezpieczeństwa stają się pamięcią narodową, a lustracyjny prokurator rzecznikiem interesu publicznego. A gdy – nawet bezrefleksyjnie – mówimy „obóz posierpniowy”, to tak naprawdę wykluczamy część rodaków z narodowej wspólnoty.

Romanowski, niczym Sokrates Ateńczykom, każe świadomym obywatelom III RP spojrzeć w głąb siebie i odpowiedzieć na kilka pytań – czy i oni nie przyłożyli ręki do psucia państwa, czasem choćby przez zaniechanie, niekiedy przez przyzwolenie, innym razem „dla świętego spokoju”. Otóż tacy ludzie jak Borusewicz (który w 2005 r. poparł Lecha Kaczyńskiego) czy Rzepliński rękę do psucia prawa, a przez to państwa, przyłożyli.

Tezy Romanowskiego brzmią odważnie, radykalnie i odkrywczco – nie tyle jest to zasługą autora, ile pokazuje stopień naszego zac zadzenia językiem prawicy. Bo Romanowski tylko upomina się o prawdy i prawa podstawowe, a to my już nauczyliśmy się przechodzić do porządku dziennego nad wieloma sprawami. Swoją drogą – niemal wszystko, co dziś widzimy w ramach „dobrej zmiany”, miało swoje początki w rządach AWS. Wtedy to jednak były dziecinne igraszki.

Lecz sam publicysta także nie jest zupełnie „czysty”. W rozdziale o pochówku gen. Wojciecha Jaruzelskiego nie potrafi dojść do konstatacji, że być może najlepiej byłoby, gdyby pogrzeb generała był świecki. I, chyba na serio, autor pisze, że spór o pogrzeb pierwszego prezydenta III RP powinien dotyczyć kwestii: „W archikatedrze św. Jana, w Świątyni Opatrzności Bożej czy na Wawelu?”. Romanowski zwalcza, i słusznie, obecność Kościoła w polityce, ale chciałby, aby biskupi zabierali jednak głos – tyle że po jego stronie. Być może to kwestia innej formacji, ale trzeba zapytać autora: po co mu stanowisko Kościoła? Czy wyobraża sobie sytuację, w której nie pyta się go o zdanie i w której jest mu wszystko jedno, czy Kościół mówi językiem o. Tadeusza Rydzyka czy o. Ludwika Wiśniewskiego?

Wydaje się, że Romanowski, jednak *anima naturaliter christiana*, nie potrafi sobie takiej sytuacji wyobrazić. Jednocześnie jest on autorem świetnego eseju zamieszczonego zresztą w tym zbiorze – *Dziedzictwo świętego* – pokazującego ciemniejsze oblicze Jana Pawła II.

Książka ma też kilka wad. W kwestii formy jest to uporczywa powtarzalność tych samych argumentów. Ileż razy można czytać o Jerzym Giedroyciu, który mawiał, że historia Polaków jest jedną z najbardziej zakłamanych? Albo o Adamie Mickiewiczu, który podpisał lojalkę i dziś nie przeszedłby przez sito lustracji? Czy autor, ten wyjątkowej klasy erudyta, nie mógł znaleźć innych argumentów i przykładów? W efekcie, gdy czyta się kolejny tekst o lustracji, ma się wrażenie, że to jeden i ten sam esej na okrągło.

Innym problemem jest częste myślenie anachroniczne – być może w publicystyce uprawnione. Romanowski zna historię swojego kraju oraz narodu na wrywki i swobodnie łączy różne wydarzenia i zjawiska. Czasem zbyt swobodnie. Nie da się jednak pewnych wydarzeń przenosić z epoki w epokę, zwłaszcza wstecz. Jakkolwiek bardzo by się autor starał, XVII-wieczna unia hadziacka – porozumienie Rzeczypospolitej z zaporoskimi Kozakami – nie może być polsko-ukraińskim Okrągłym Stołem z końca XX w. Są też drobne błędy – jak choćby twierdzenie, że pojęcie III RP jest w nazwie konstytucji z 1997 r., gdy tymczasem pojawia się ono tylko w preambule.

Niezależnie od powyższych uwag trzeba przyznać, że książka Romanowskiego każdego czytelnika wytrącić może z komfortu myślowego automatyzmu. A to przecież cecha dobrej publicystyki. — **Z**



Andrzej Romanowski
Antykomunizm, czyli upadek Polski.
Publicystyka lat 1998–2019
 Wydawnictwo Universitas,
 Kraków 2019, s. 428

Andrzej Brzeziecki

Historyk, dziennikarz, autor m.in. książki
Tadeusz Mazowiecki. Biografia naszego
premiera (2015)



Walter Homolka

Upominanie się o Jezusa. Nazarejczyk z perspektywy żydowskiej

tłum. Agata Jankowiak, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2019, s. 144

„Powrót” Jezusa

Punktem wyjścia rabin Homolki jest fakt, iż „chrześcijan i Żydów łączy osoba Jezusa, ale dzieli wiara w Jezusa, który był Żydem”. W znakomity sposób przedstawia on „historyczny przegląd żydowskiego punktu widzenia na postać Jezusa”. Rozpoczyna od spojrzenia na ewangelie i źródła historyczne mówiące o życiu Jezusa. Ukazuje także wpływ, jaki wywarł On na żydowską starożytność i średniowiecze, koncentrując się na rozważaniach wokół Talmudu, anonimowego tekstu *Toledot Jeszu* oraz rabinicznych polemik skierowanych przeciw Chrystusowi. Najwięcej miejsca poświęca żydowskim i chrześcijańskim poszukiwaniom historycznego Jezusa rozpoczętym w oświeceniu oraz w kręgu ruchu Wissenschaft des Judentums. Homolka przedstawia najważniejszych myślicieli, np. Abrahama Geigera, Leo Baecka, Józefa Klausnera oraz konsekwencje ich badań w środowisku żydowskim. Książkę zamyka krytyczny esej o poglądach Benedykta XVI na Jezusa w świetle jego publikacji *Jezus z Nazaretu*, w którym autor zadaje pytanie, czy dla tego wybitnego teologa „Rabbi Jezus” jest ważny jedynie jako Chrystus.

Homolka próbuje przedstawić „powrót” do żydowskiej i chrześcijańskiej myśli religijnej Jezusa, bez którego obecności niemożliwy jest dalszy dialog między tymi religiami. Zauważa, iż: „Przez ostatnie dwa tysiące lat postrzeganie Jezusa przez Żydów przeszło przejmującą przemianę (...). To, co zaczęło się jako postawa obronna, stało się w znacznej mierze świadomym swoich racji związkiem z Jezusem, w którym jest on przedstawiany jako jeden z wielu głosów w ówczesnym żydowskim świecie”.

– Michał Galas



Damian Barnat

Między wiarą a niewiarą. Charles Taylor o kulturze świeckiej świata zachodniego

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2019, s. 399

Żyjemy w epoce świeckiej

Ta książka wyrosła z doktoratu. W jego recenzji Andrzej Szahaj napisał słowa rzadko przy takich okazjach spotykane. Stwierdził, że młody badacz „zrealizował stawne hasło hermeneutów, aby rozumieć autora lepiej, niż on sam siebie rozumiał” oraz że choć „zabrzmiało to jak herezja”, to „dla wielu lektura przyszłej książki Barnata będzie ciekawsza niż czytanie samego Taylora”. W osądzie tym jest tylko niewiele przesady: wobec braku polskiego tłumaczenia 800-stronicowego *A Secular Age* Charlesa Taylora praca Barnata będzie nieocenionym przewodnikiem po tej monumentalnej wizji powstania świeckiego Zachodu. Sądzę, że warto byłoby książkę przełożyć również na angielski jako *companion* bądź *reader's guide*.

Autor rekonstruuje koncepcję Taylora w sposób klarowny, wskazując jej mocne i słabe strony oraz uzupełniając ją o odwołania do bogatej literatury. Pokazuje, jakie kulturowe przemiany doprowadziły w XVIII w. do wyłonienia się „humanizmu wyjątkowego”, który stanowił alternatywę dla religii, i jak współcześnie świeckość stała się „kontekstem rozumienia” naszego życia. Punktuje też trudności politycznego stanowiska Taylora, który zachęca do „rozumnych działań dostosowawczych” na rzecz różnych grup religijnych i świeckich (czy skoro muzulmanki mogą mieć w dowodzie osobistym zdjęcie w hidżabie, to wyznawcy Łatającego Potwora Spaghetti mają prawo pozować w durszlaku na głowie?) – proponując własne sensowne rozstrzygnięcia. Świetna jest też końcowa polemika z heroldami postsekularyzmu – Barnat przekonująco pokazuje, w jak wielu aspektach żyjemy dziś w „epoce świeckiej”.

– Michał Jędrzejek



Gilles Fauconnier, Mark Turner

Jak myślimy. Mieszaniny pojęciowe i ukryta złożoność umysłu

tłum. Izabela Michalska, Biblioteka Kwartalnika Kronos, Warszawa 2019, s. 615

Pochwała wyobraźni

W jaki sposób jako cywilizacja przeszliśmy drogę od postugiwania się maczugą i dożywiania średnio trzydziestki do programowania sztucznej inteligencji, eliminując po drodze wszystkich naturalnych wrogów? Ok. 50 tys. lat, jakie nam to zajęło, z perspektywy ewolucji wydaje się mgnieniem oka. Nie dokonaliśmy podboju planety z powodu swojej siły, nie stało się to dzięki powstaniu języka. Według autorów źródłem naszego sukcesu jest kreatywność.

W *Sapiens* Yuval Noah Harari wysnuwał podobną tezę. To zdolność do tworzenia fikcji i rzeczywistości wyobrażonych, pisał, pozwoliła nam wykonać wielki jakościowy skok cywilizacyjny. Autorzy *Jak myślimy* rozwijają jego pomysł, wyjaśniając mechanizmy fenomenu, który zbiorczo nazywamy wyobraźnią.

Zdolność imaginacji służy nie tylko do konstruowania opowieści, ale pomaga tworzyć mieszaniny pojęciowe – nowe i zaskakujące mentalne konstrukcje, dzięki którym robimy analogie, uczymy się przez metafory i definiujemy abstrakcyjne byty. Nie jesteśmy ani superkomputerami, ani istotami wyjątkowo racjonalnymi, nie przetwarzamy obrazów tak szybko jak algorytmy, lecz instynktownie wiemy, że nie da się zapalić namalowanej przez Magritte'a fajki. Proste czynności myślowe okazują się piekielnie trudne do zrozumienia i naukowienia, dlatego czeka nas długa droga, zanim sztuczna inteligencja przejmie „twórcze” funkcje myślenia i będzie rozwiązywała postawione przed nią problemy. Stoimy zaledwie u progu stworzenia teorii kreatywności. Książka buduje jej obiecujące zręby i pokazuje, jak nie doceniliśmy tego obszaru myślenia.

– Ewa Drygalska



Justyna Wicenty
Kotysanka z huraganem

Wydawnictwo Dowody na Istnienie,
Warszawa 2020, s. 310

Zapamiętać wszystko

Taniec żałobny to krok do przodu i dwa kroki do tyłu, jak pisze Justyna Wicenty. To życie z utratą, która wraca jak bumerang. Uderza jak huragan ze zdwojoną siłą, bezlitosny, nieubłagany. Można go tylko przeczekać, licząc na to, że taskawy czas rzeczywiście zablizni rany.

Kotysanka z huraganem jest zapisem takiego oczekiwania. To roczny dziennik żałobny młodej matki; rozpisany na kilkaset notatek proces godzenia się z utratą kilkumiesięcznego syna, tym trudniejszą, bo niespodziewaną i niewyjaśnioną. Strona po stronie wchodzimy głębiej w codzienność życia naznaczonego traumą, ale też towarzyszymy narratorkę w szukaniu osobistych, świeckich rytuałów żałobnych, które mają nieco ulżyć w smutku. Kiedy opuszcza cię matka, stajesz się sierotą. Jak jednak nazywa się matka, którą opuściło własne dziecko? To śmierć, z którą nie sposób się pogodzić, ale trzeba nauczyć się żyć obok niej. W przypadku bohaterki reportażu pomoc nadchodzi z wielu stron – w postaci relacji z bliskimi, odtwarzania spłotów rodzinnej historii, terapii i wreszcie samego procesu pisania, który chroni pamięć przed degradacją, ale też pozwala ujarzmić lęk i poczucie winy.

Kotysanka... jest poruszającym elementem, który pokazuje naukę stawiania na nowo pierwszych kroków. Trudno wobec takiej historii przejść obojętnie, ale też niełatwo poddać ją ocenie. Niezwykłe intymny charakter żałobnego trenu wytrąca z ręki pytania o sens takiej literatury. Zamiast nich zostajemy z opowieścią surową jak norweski krajobraz, nagim obrazem cierpienia i zapisem codziennych zmagania z życiem, które nagle zmieniło swój kurs. Możemy się im tylko poddać.

– Oliwia Fryc



Aleksandra Grzemska
Matki i córki. Relacje rodzinne i artystyczne w autobiografiach kobiet po 1989 roku

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika, Toruń 2020, s. 424

Córki napisały

Wiek XX w literaturze dokumentu osobistego stale zamyka i otwiera się na nowo, skłania do zadawania pytań. Aleksandra Grzemska zastanawia się, jak przedstawiane są relacje matek i córek w szeroko pojętej literaturze autobiograficznej, koncentrując się głównie na tej powstałej w ciągu ostatnich 30 lat (z wyjątkiem opowieści Anny Sosnowskiej o Irenie Sol-skiej), a więc obejmującej jeszcze poprzednie stulecie. Badaczka zestawia ze sobą zarówno teksty (autobiografie, powieści – bezpośrednio bazujące na rodzinnych historiach lub zamieniające je w (auto)fikcyjne narracje, komiksy, rozmowy, poematy, wiersze), jak i artefakty (obrazy, rzeźby, instalacje, nagrania wideo i strony internetowe).

Najważniejszy motyw książki, czyli relacje matek i córek – serdeczne i chłodne, pełne czułości i rywalizacji, dodające skrzydeł i przysgniatające ciężarem win – zostaje rozłożony na czynniki pierwsze dzięki narzędziom interpretacyjnym, każdorazowo dobieranym tak, by nie stracić z oczu osobistych (nierzadko intymnych) doświadczeń kobiet połączonych więzami krwi. Córki wydobyły z czujnej i czasami czutej pamięci np. obrazy matek artystek, dialogując z ich twórczością, przepuszczoną przez filtr córeństwa rozumianego jako emocja, ale i afekt. Taki sam jak wstyd przebijający przez opowieści o niełatwych próbach porozumienia czy przejmujących historiach o chorobach. Przywołując m.in. Ewę Kuryluk, Magdalenę Tulli, Zuzannę Janin, Kierę Gatczyńską, monografka opowiada, jak dziedziczyły one (post)pamięć matek, chcąc ją ocalić, a jednocześnie zmagając się z nią jak z niechcianym darem. Darem, który można było ośwoić, zapisując.

– Anna Pekaniec



Renata Kim
Dlaczego nikt nie widzi, że umieram
Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2020, s. 287

Żeby ktoś wreszcie uwierzył

Renata Kim podejmuje ważny społecznie temat i oddaje głos osobom, które wyszły z przemocy relacji. Zaznacza przy tym skłuszenie, że przemoc w związku może stosować osoba każdej płci i orientacji seksualnej. Bohaterkami książki są jednak w większości kobiety, które doświadczyły przemocy ze strony partnera.

Dlaczego nikt nie widzi... składa się ze świadectw osób doświadczających przemocy psychicznej przeplatanych rozmowami z psychoterapeutką, life coachem, adwokatką i psychologiem. Wywiady te wyjaśniają mechanizmy manipulacji, które sprawcy stosują wobec najbliższych osób. Dają też oddech między wstrząsającymi opowieściami. Struktura książki nie jest konsekwentna, tak jakby autorka podążała za rozedrganiami rozmówczyń. Niektóre opowieści tworzą zamknięte rozdziały, niektóre przewijają się przez całą narrację, jest też rozmowa z bohaterką, pierwsze świadectwo komentuje zaś psychoterapeutka.

Książka ma dużą wartość edukacyjną. Poznajemy techniki manipulacyjne: bombardowanie miłością, przyciąganie–odpychanie, bierną agresję, projekcje. W toksycznych związkach pojawiają się wykorzystywanie, poniżanie, dręczenie, oszustwa, wyzviska, czasem też przemoc fizyczna i seksualna. Brakuje nazwania i opisanie zjawiska, które występuje w narracjach bohaterek szczególnie często, czyli gaslightingu. To okrutna manipulacja prowadząca do kwestionowania własnego zdrowia psychicznego przez osobę, która jej doświadcza. Uwiera nazywanie bohaterek i bohaterów książki ofiarami. To osoby, które doświadczyły długotrwałej przemocy, przetrwały ją i miały w dodatku dość siły i odwagi, żeby o niej opowiedzieć. Ocalały.

– Ewa Furgat

„... skąd nasz ród”

Nie jest wcale oczywiste, że to książka „zapomniana”. W końcu jej tytuł stał się w polszczyźnie synonimem ciemnoty i zapyzłości połączonych z groteskową „dumą narodową”

Tadeusz Zatorski

Germanista, tłumacz.
Ostatnio wydał: *Krótkie dzieje
o literaturze niemieckiej
XVIII i XIX wieku* (2019)

WOJCIECH MŁYNARSKI ZDEFINIOWAŁ „Ciemnogród” jako „swojskiej głupoty balon kretyński”. Cóż więc dziwnego, że obecną polską Downing Street lud nazwał „ulicą Ciemnogrodzką”? Ale kto czytał samą powieść Stanisława Kostki Potockiego, proszę podnieść rękę. Otóż to: nie widzę.

I trudno się temu dziwić. Wydana w 1820 r. *Podróż do Ciemnogrodu* to lektura mało porywająca. Bo też nie wątpla akcja, kończąca się – jakżeby inaczej? – zwycięstwem dobra nad złem, mądrości nad głupstwem i szczęśliwym małżeństwem dwojga bohaterów, jest w niej najistotniejsza. Ta akcja oparta jest zresztą na dobrze znanym i sprawdzonym modelu wypracowanym przez Sebastiana Branta w *Statku głupców* czy Jonathana Swifta w *Podróżach Guliwera*. Do Ciemnogrodu, osobliwego królestwa położonego chyba gdzieś w Azji, którego mieszkańcy mówią jednak językiem dziwnie zbliżonym do polskiego i ubierają się nawet podobnie jak polscy „Sarmaci”, peregrynują niczym do Rzymu przedstawiciele wszystkich nacji. Narrator wraz ze swym młodym przyjacielem Wacławem przyłącza się do wyruszającej tam właśnie narodowej pielgrzymki polskiej i w czterech częściach opisuje swoje wrażenia

z wyprawy. I to ów „opis obyczajów” ciemnogrodzkich, tzn. rzeczywistości społecznej w Polsce przełomu XVIII i XIX w., opis skądinąd dość rozwlekły, jest sednem opowieści.

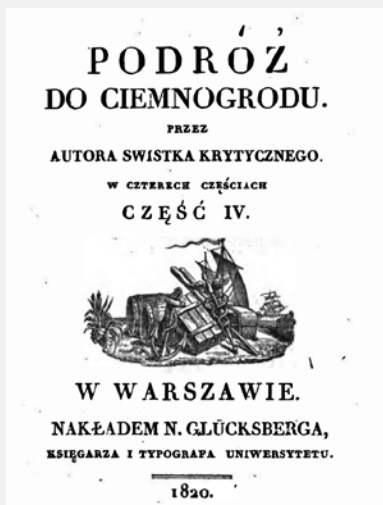
W Ciemnogrodzie panuje monarcha tytułowany „Najciemniejszym Panem”, ale władzę interesują głównie polowania i ucztę. Tematem plotek są też jego nieco końskie i mało skuteczne zaloty do lokalnych piękności. Nic więc dziwnego, że „Najciemniejszy Pan” wszystko podpisuje na oślep, najczęściej, jak mówią, ziewając, a prawdziwe rządy sprawuje zza jego pleców córka imieniem Pięknosława, źle starzejąca się singielka, rozkochana w zwierzętach futerkowych. Nie, nie – nie w kotach, w małpkach, więc kto chce zyskać dostęp do jej ucha, ofiarowuje jej takie właśnie stworzonko. Ale i ona może jedynie marzyć o dyktaturze. W rzeczywistości swoją władzę musi dzielić z miejscowymi duchownymi, „bonzami”, jak ich nazywa Potocki, przejmując to określenie ze współczesnych relacji o religiach Wschodu. Bonzowie nadają ton życiu kraju, budowę świątynne i klasztorne dominują w krajobrazie nędznych ciemnogrodzkich miast, i to oni sprawują nadzór nad oświatą oraz jedyną w państwie drukarnią. Mimo to owi święci i zwykle dobrze

W tej rubryce piszemy o wartościowych książkach z przeszłości, lekturach godnych uwagi. Niech nie umkną w pogoni za nowościami!

odżywieni mężowie bezustannie narzekają na upadek obyczajów oraz ograniczenie swych praw, bo „zaledwie raz lub dwa razy w rok święta Inkwizycja pali heretyków, kiedy dawniejszymi czasy odnawiało się co miesiąc to zbawienne widowisko”, a ostatnio niższemu duchowieństwu nakazano płacić jakieś groszowe daniny. Bonzowie trudnią się też wyganianiem szatana z opętanych, posługując się w tych egzorcyzmach „sierścią białą z końca ogona kota czarnego wyrwaną” – równie skutecznie jak ich dzisiejsi polscy następcy salcesonem.

Profetyczny dar Potockiego wprawia niekiedy w zdumienie. „Jest to Ciemnogrodzian maksymą, że ludźmi strachem i musiem rządzić tylko można”. Stąd zapewne znaczenie policji i jej metody: „Sposób działania policji jest azjatycki”. A na pokładzie statku płynącego do Ciemnogrodu „znajdowało się także starych bab kilka, które powiodły do tej podróży osobiwsze, a po większej części mistyczne lub iluminackie marzenia. Na ich czele był szarlatan, co w najściślejszym żył z duchami związku i za ich pomocą kieszenie iluminatów wypróżniał”. Chwilami *Podróż...* czyta się jak dziennik kupiony przed godziną w kiosku za rogiem.

Nie brak w Ciemnogrodzie ludzi, których myśl podąża nieco innymi drogami. Takimi światłymi wśród ciemnoty są „rządca” oraz „książę Bojostaw”. Ale i oni przecież muszą się dostosować do miejscowych obyczajów: pierwszy dopełnia „powierzchoennie wszystkich bałwochwalczych obrządków” i opłaca się „uboższym bonzom”, dzięki czemu on i jego rodzina żyją „dość spokojnie”, marząc po cichu



Stanisław Kostka Potocki *Podróż do Ciemnogrodu*

o powrocie do ojczyzny przodków Anglii. Drugi to również niewierzący praktykujący: uczestniczy „przykładnie” w nabożeństwach „krajowej religii”, uważa jednak „wieloliczne bóstwa, wymyślone od ludzi jako wyobrażenia atrybutów dobroci i potęgi jedynego Boga” i najwyraźniej – jak pewien współczesny polski „laicki racjonalista zafascynowany chrześcijaństwem”, który wyobrażając sobie „Polskę bez Kościoła”, widzi „czarny obraz” – godzi się z wszechwładzą bonzów jako niezbędną dla dzikiego ciemnogrodzkiego ludu, niezdolnego bez nich rozróżnić dobro i zło.

Wcale przy tym nie jest tak, że ów lud jest przez tychże bonzów bezlitośnie ciemniony i wyzyskiwany. Potocki trafnie opisuje błędne koło napędzające życie społeczne Ciemnogrodu: „bonzowie” są emanacją ludu, który wychowują, a który potem, stosownie przez nich „wyedukowany”, sam już domaga się od „Inkwizycji” palenia nieprawomyślnych książek i niszczenia wszelkich przejawów nowocze-

ności. Mało tego: powszechne jest dumne przekonanie, że to Ciemnogród ma być zaczynem swoistej „nowej ewangelizacji” zdemoralizowanego bezbożną filozofią świata: „Kiedyż przykład ciemnogrodzkiej ziemi stanie się dla niego opiekuńczą gwiazdą w głębokiej oświecenia nocy!”.

Zuchwałego autora *Podróży do Ciemnogrodu* szybko dosięga zasłużona kara: polscy „bonzowie” bez wielkiego trudu znajdują porozumienie z carem, a biskup Jan Paweł Woronicz podczas audjencji, której udziela mu Aleksander I, uzyskuje obietnicę dymisji Potockiego ze stanowiska ministra oświecenia publicznego. Rok później, 14 września 1821 r., Stanisław Kostka Potocki umiera w Wilanowie, ale nienawisć „bonzów” ściga go do dziś: w Lublinie, gdzie przyszedł na świat, próżno szukać ulicy noszącej jego imię. Może przypadająca za rok 200. rocznica śmierci byłaby dobrą okazją do przypomnienia tego niezwykle człowieka: archeologa, podróżnika, tłumacza *Dziejów sztuki* Winckelmanna, wreszcie generała artylerii i polityka, który wciąż nie doczekał się w swej ojczyźnie wyczerpującej biografii? My zaś moglibyśmy zająć się tymczasem roztrząsaniem ważkiego problemu, postawionego przez jednego z najwybitniejszych uczonych ciemnogrodzkich: czy „Ciemnogrodzianie są ojcami” Polaków czy też raczej ich „synami”. Może się jednak zdarzyć, że dojdziemy ostatecznie do tego samego wniosku co autor *Podróży...*: „zostawujemy (...) uczonym starożytnikom naszym do rozwikłania tę równie głęboką jak pożyteczną materię ich badań, które wyznajemy, że zdolność naszą przechodzą”. — Z



Ewelina Krupska

Ruchome ledy

na osiedlu czuć świeżą ziemią i nie wiemy,
czy to z grzebania ciał, czy z budowy wieżowca
jantaris. przez ten stan rzeczy trzeba nam światła,
pulsu, choćby miało to być nawet miganie
słabej, zimnej świetlówki. nogi jakoś same
niosą nas bliżej nocnych wystaw z piżamami,

w zasięg pracy neonów, w ruch komunikatów
LOMBARD POŻYCZKI DWADZIEŚCIA 24 H. to tam,
w kółku światła, możemy przeczekać do rana,
poprzytulani do siebie jak gołębie
w dziwnych pozach, nagle cwani, ze sposobem na wszystko:
gęsty drut, lekkie ciało, ziemię bliższą niż myślisz

„Odtąd poematem będziesz nazywał pewną namiętność do jednostkowych znamion, sygnaturę, powtarzaną w rozproszeniu, niezmiennie poza kręgiem logosu, nieludzką, ledwo oswojalną, nie do przygarnięcia przez rodzinę podmiotu: zwierzę przenicowane, zwinięte w kłębek, zwrócone ku innemu i ku sobie, w sumie coś skromnego, dyskretnego, bliskiego ziemi” – Jacques Derrida (tłum. M.P. Markowski)



fot. z archiwum Eweliny Krupskiej



Julia Fiedorczuk

Pisarka, poetka, tłumaczka, wykładowczyni w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Wydała pięć tomów wierszy, dwa zbiory opowiadań i trzy powieści, w tym nominowaną do Nagrody Nike *Nieważkość*. Jest popularyzatorką ekopoetyki i członkinią ASLE (Association for the Study of Literature and Environment); jej utwory tłumaczono na 19 języków. Otrzymała Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej za tom *Psalm*. Ostatnio opublikowała powieść *Pod słońcem*

„Jabłka do zagryzania lęku”

Zainteresowałam się poezją Eweliny Krupskiej po przeczytaniu *Mapy zalesienia* (Warszawa 2016). Zwróciłam uwagę na niezwykłą wyobraźnię tej poetki, wykraczającą daleko poza odruchowy antropocentryzm języków dominujących w naszej kulturze, podbijającą cielesny i zmysłowy charakter ludzkiego podmiotu i nasze zakorzenienie w ziemi, niewykluczające nomadyzmu. Podczas lektury jej debiutanckiego tomu przypominały mi się *Fale* Virginii Woolf: „Czuję, jak rodzi się we mnie tysiąc zdolności. Jestem na przemian figlarna, wesota, rozmarzona, melancholijna. Jestem czepiona dna, lecz płynę” (tłum. Lech Czyżewski). Spodobało mi się, że Krupska nie ma żadnych skłonności do sielanki i nie używa pojęcia natury, do którego ja sama także mam duży dystans z uwagi na jego nierozdzielny związek z dychotomią natura / kultura leżącą u podstaw światopoglądu wywyższającego człowieka względem innych istot. W poetyckim świecie Krupskiej ludzkiego podmiotu nie da się wyjąć ze środowiska, z krajobrazu, z pogody.

Nie da się go wywyższyc. W otwierającej *Mapę zalesienia* prozie poetyckiej czytamy: „Pękają lody szorstkiej jak drewno zimowej skóry. Rzeki będą przez jakiś czas nie do zatrzymania”. To opis zarówno pory roku, jak i stanu emocjonalnego, przy czym żaden z tych poziomów nie jest uprzywilejowany wobec drugiego.

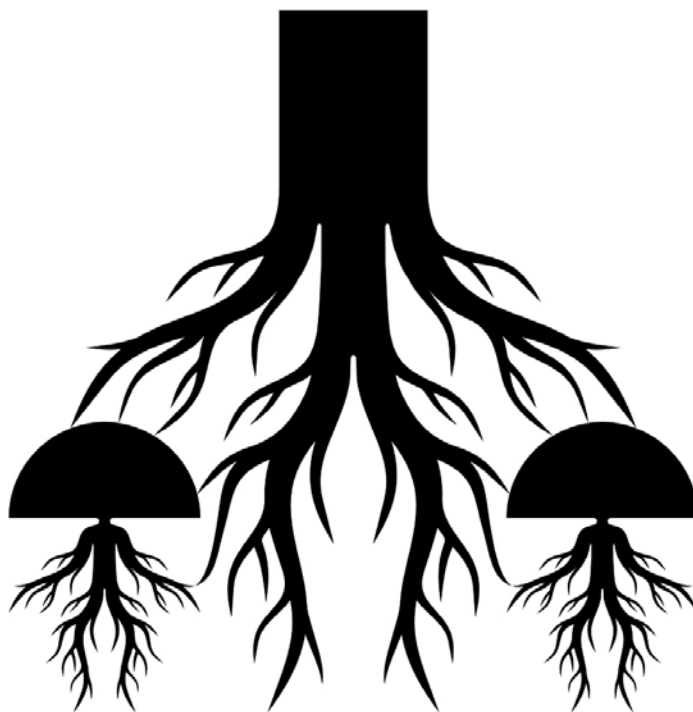
Tytuł niniejszego komentarza pochodzi z kolei z utworu *Kolekcja kamieni* (dostęp: <https://szarenagiejamy.blogspot.com/2019/07/kolekcja-kamieni.html>). Wiersz ten jest opisem złego snu, w którym pojawia się motyw jakiejś bliżej nieokreślonej katastrofy – „końca”: „śniło mi się patrzeć na koniec, szczytowe ściany domów // w nieco innym świetle niż zwykle. na czas końca // rozdawano nam jabłka do zagryzania lęku // – zielone i bez skaz”.

Jabłka – „zielone i bez skaz” – przywodzą na myśl raj i supermarket albo może: supermarket jako rajski ogród, jako jego plastikową podróbkę. Tam uciekamy, żeby stłumić lęk, opychając się pięknymi, sztucznymi owocami. W *Ruchomych ledach* dostrzegam podobny motyw – motyw ucieczki od ziemi („bliższej niż myślisz”) w pocieszenie niesione przez migające, sztuczne światła. Zapach świeżej ziemi pojawiający się na początku wiersza to jakby złamanie tabu, odstąpienie czegoś, co dla naszego komfortu powinno zostać ukryte. Zapach ziemi, rozkopanej być może w związku z budową wieżowca, przywodzi na myśl grzebanie zmarłych, bo przecież ziemia jest domem tego, co umarło lub umrze. Także naszym – mimo że nie chcemy o tym wiedzieć. Od tej niechcianej wiedzy, od początkowego objawienia ucieka się w wierszu „w zasięg pracy neonów” komunikujących treści związane z ludzkimi sprawami i sprawkami, z gorączkową aktywnością naszej cywilizacji. Ciekawe, że kiedy wreszcie łgniemy do siebie „w kółku światła”, wyglądamy jak gołębie – małe, sprytnie zwierzęta. W kłoszu zimnego blasku, który oddziela nas od nocy i od ziemi, sądzimy, że ze wszystkim sobie poradzimy, że na wszystko jest jakiś sposób. Tylko dzięki temu złudzeniu – dzięki nieskazitelnym jabłkom do zagryzania lęku – udaje nam się przetrwać w świecie, w którym „jantar” odnosi się do nowo powstającego wieżowca, a cała „natura” staje się zbędnym towarem. — Z

MYKOsystem

JOANNA GUSZTA

W obliczu kryzysu klimatycznego konieczna jest praca zespołowa. Również ta na poziomie międzygatunkowym



il. dzięki uprzejmości Małgorzaty Gurowskiej

Czasy nie sprzyjają psychicznej równowadze. W 2019 r. Triennale di Milano – jedno z najważniejszych wydarzeń międzynarodowych poświęconych refleksji nad projektowaniem – odbyło się pod hasłem „Broken Nature: Design Takes on Human Survival”. Gdy świat się kończy, jedynym sposobem na przetrwanie wydaje się praca zespołowa. Choć skuteczna współpraca między ludźmi w obliczu katastrofy ekologicznej jest na tyle trudnym wyzwaniem, że wręcz przekracza wyobraźnię, spychając myśli na tory depresji klimatycznej, błędem byłoby zakładać, że to tylko od niej uzależnione jest przetrwanie. Równie ważna jest współpraca międzygatunkowa. Tu z pomocą pojawia się mój bohater: grzyb.

Do przygotowania polskiego pawilonu na triennale w Mediolanie Instytut Adama Mickiewicza zaprosił kuratorsko-architektoniczno-artystyczny zespół: Agatę Szydtowską, Małgorzatę Gurowską i Macieja Siudę. W pracy kierowali się zasadą symbiozy – równości w procesie twórczym z zatarciem sztywnych podziałów

czy tradycyjnych ról, ale z przyjęciem unikalnej perspektywy i indywidualnych kompetencji każdego członka zespołu. Powstała wystawa o współpracy międzygatunkowej składająca się z drewnianej perforowanej instalacji (której otwory poetycko nawiązują zarówno do konstelacji gwiazd, obrazu grzybni pod mikroskopem, jak i do śladów działalności korników) oraz systemu znaków i infografik. Wymowne ideogramy przedstawiające bohaterów wystawy: człowieka, drzewo, kornika i grzyba, umieszczone w różnych konfiguracjach obrazują zachodzące między nimi procesy.

Twórców zainspirowały głównie grzyby. To one dzięki mykoryzie zapewniają drzewu korzystne związki organiczne, wnikać głęboko w korzenie i łącząc się z nimi na poziomie komórek. Zaufanie okazuje im prawie 90% roślin. Z drugiej strony dzięki współpracy z kornikiem wnikać „pod skórę” drzewa, rozkładając je, a na martwym drewnie dokonując oczyszczenia i przetworzenia w życiodajną energię. W naturze bioróżnorodność ubogaca,

każdy organizm jest równie ważny, a odgrywając swoją rolę, zapewnia równowagę w ekosystemie. Podobnie jest w społeczeństwie, co ostatnio uwypukla kryzys koronawirusowy. Być może w trosce o zdrowie psychiczne dobrze jest jednakowo uważnie zadbać o siebie, relacje z ludźmi (i to bardzo różnymi!) oraz z naturą. „Wolność, równość, symbioza” – jedno z haseł promujących wystawę może być dla nas dobrą odpowiedzią. — **Z**

Joanna Guszt

Współzałożycielka (z Maciejem Błażniakiem) studia graficznego Ładne Halo specjalizującego się w ilustracji książkowej, prasowej i reklamowej. Twórczyni książek dla dzieci. Mieszka i pracuje w Łodzi

w drodze miesięcznik

Od 47 lat pomagamy łączyć wiarę z codziennością.
Co miesiąc 144 strony inspirujących treści.



www.miesiecznik.wdrodze.pl

Miesięcznik „W drodze” przez cały rok w Twojej skrzynce?
Napisz do nas: prenumerata@wdrodze.pl



Bo liczy się każdy „Znak”

Kup na miesiecznik.znak.com.pl

E-prenumerata (pdf/epub/mobi) dostępna w portalu Publio.pl